

a MIAŁO

*być tak*

PIĘKNIE

*A. Rook*

NOVAE RES

A. Rook

**a MIAŁO**  
*być tak*  
**PIĘKNIE**



NOVAE RES

# Prolog

Nowy Rok. Za oknem fajerwerki i masa ludzi, którym alkohol wmówił, że są szczęśliwi. Mija kolejny rok, od kiedy uciekłam z mojego Piekiełka do zachodniego Eldorado. Przeżyłam wiele pełnych rozpaczyny dni, gdy próbowałam wydostać się z bagna. Wiedziałam, że nie będzie łatwo, biorąc pod uwagę grzeszki przeszłości, które tylko czekają, by wykorzystać potknięcie. Niestety wizja mojej osoby opływającej w dostatki, szastającą kasą na prawo i lewo nadal znajduje się w sferze moich marzeń. Nikt nie mówił, że będzie łatwo, ale tego, co zastałam na miejscu, nie wyobrażałam sobie w moich największych koszmarach.

Może zacznę od początku. Kilka lat temu sprzedałam wszystko, co mogłam, a niestety nie było już tego za wiele. Zapakowałam to, co mi zostało, w mój (nie) skromny samochód i w tempie ekspresowym wyjechałam „za chlebem”. W jeden tydzień rzuciłam pracę i uciekłam. Tak to chyba mogę nazwać, bo teraz nikt z mojego starego życia nie wie, gdzie jestem. I co się ze mną dzieje. I mam nadzieję, że tak zostanie na długo, choć biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia szanse maleją.

Wracając do mojej przygody życia. Po dwudziestu godzinach morderczej jazdy, jakby co najmniej goniła mnie śmierć, dotarłam do mojego raj. A przynajmniej miał to być mój raj, bo przywitała mnie tu ulewa, śmieci na ulicy i brak miejsc parkingowych. Miałam pokój w hotelu opłacony na dwa dni i parę groszy w kieszeni. Ambitny plan, który obmyśliłam podczas podróży, zakładał, że w ciągu tych trzech dni znajdę fantastyczną pracę z opcją zamieszkania. Paskudny (no bo i przecież najtańszy z możliwych) hotel na obrzeżach miasta, z marnym jedzeniem, ale za to z dostępem do bezprzewodowego Internetu, pozwolił mi rozpocząć poszukiwania.

Przygotowałam kilka wersji CV – do każdego typu pracy inne. Wiedziałam, że są małe szanse, że ktoś sprawdzi, jak marne jest faktycznie moje doświadczenie, zresztą liczyłam, że do pracy sprzątaczkii nie potrzeba referencji samej królowej.

Wysłałam setki maili i o dziwo już pierwszego dnia dostałam odpowiedź. Mały hotel szuka osoby do pomocy. Nie mogłam uwierzyć w swoje szczęście – chyba mój pech został w Piekiełku, skoro już pierwszego dnia znajdę pracę!

Nie zwlekając, wystroiłam się w sztywniackie wdzianko i pomaszerowałam na spotkanie. Zawsze jak się stresuję, to przesadzam z punktualnością i zazwyczaj jestem sporo przed czasem. Tak też było i tym razem. Żeby się czymś zająć, wdałam się z pogawędkę z panem kelnerem w knajpie, w której miałam spotkać moją przyszłą szefową. Po paru minutach zjawiała się ona. Pierwszy rzut oka i wiedziałam, że nie będzie łatwo. Po zdawkowych uprzejmościach wypaliła z grubej rury:

– Ty lubisz mężczyzn?

Po tym pytaniu powinnam już uciec, ale ciekawość wzięła górę.

– Nie wiem, w jakim kontekście pytasz, ale jeżeli chodzi o moją orientację, to preferuję mężczyzn...

– W takim razie nie mamy, o czym rozmawiać! – wypaliła. – Otaczam się tylko kobietami, które gardzą mężczyznami. – I dumnie wymaszerowała z knajpy.

Trochę mi zajęło podniesienie szczęki z podłogi. W trochę gorszym nastroju powlekłam się z powrotem do mojego pokoju. Cóż, na jednym ogłoszeniu świat się nie kończy. Jestem w największej stolicy Europy, na pewno gdzieś czeka na mnie praca (kasa) marzeń. Lekko zdesperowana rozpoczęłam kolejne przeszukiwanie Internetu.

Szybko wpadło mi w oko ogłoszenie „Szukam opiekunki dla moich 6 kotów, praca z zamieszkaniem i wyżywieniem”. To przecież idealne ogłoszenie dla mnie! Tylko dlatego, że jestem generalnie bezdomna, nie mam trzydziestu kotów. Szybko napisałam esemesa na podany numer. Nie minęła nawet minuta, kiedy numer do mnie oddzwonił.

– Witam, ja w sprawie odpowiedzi na moje ogłoszenie – rozbrzmiał miły męski głos w słuchawce...

Szybko opisałam, jak wielkim miłośnikiem kotów jestem i jak to będę je kochać bardziej niż siebie. Oczywiście udawałam pewien dystans, nie mogłam pokazać, że za kawałek dachu nad głową mogę nawet spać na legowisku dla kota.

- No więc byłbym zainteresowany spotkaniem z tobą, tylko muszę najpierw o coś zapytać...

Żółta lampka migająca w mojej głowie...

- Tak... więc moje koty to sześć krasnoludków, ja jestem siódmym krasnoludkiem. Czy zostaniesz naszą Królową Śnieżką?

- Cooooo?! - Boże, ja nawet nie zrozumiałam, o co mu chodzi; naprawdę nie mam problemów z językami obcymi, ale w tym momencie poczułam się, jakby facet mówił do mnie średniowieczną łaciną.

- No, szukam opiekunki dla kota i dla siebie - chyba nie wyobrażałaś sobie, że będę mieszkał z laską pod jednym dachem i nawet jej nie dotknę?

- Cóż, może jestem staroświecka, ale TAK właśnie sobie myślałam.

Tak więc kolejna praca marzeń spoliczkowała mnie prosto w twarz.

Musiałam spojrzeć prawdzie w oczy: nie mam kasy, nie mam gdzie mieszkać, ba, nie mam nawet nic do jedzenia... Dotąd emocje związane z szukaniem pracy skutecznie stłumiły burczenie w brzuchu. Teraz niestety pusty żołądek przypomniał o sobie. Głodna wiele nie zdziałam. Szybki rzut oka na menu hotelowe utwierdził mnie w decyzji, że nadszedł czas na pierwszą wycieczkę do pobliskiego marketu po jedzenie.

Po pierwsze miałam ograniczony budżet, a po drugie ograniczone możliwości. Nie ugotuję dwudaniowego obiadu w czajniku bezprzewodowym... Szybka przechadzka między półkami i podjęłam męską decyzję - butelka najtańszego wina (muszę przecież ukoić nerwy po tak ciężkim dniu wypełnionym szukaniem pracy) i komplet zupek chińskich. Przemyciłam moje zakupy do hotelu i zniechęcona niepowodzeniami jadłam zupkę i popijałam ją obrzydliwym ciepłym winem.

W nocy męczyła mnie bezsenność - nie wiem, czy spowodowana niestrawnością po mojej wykwintnej kolacji, czy zaczynałam sobie

uświadamiać, w jak beznadziejnej sytuacji się znajduję. Co zrobię jutro, gdy będę musiała wyprowadzić się z pokoju? Nie mam do czego i za co wracać. Zawsze mogę zamieszkać w aucie, ale stan paliwa też nie nastrajał optymistycznie...

Do rana nie wymyśliłam rozwiązania tej patowej sytuacji, więc niestety musiałam pozbierać graty i wynieść się z pokoju.

Pierwsza niespodzianka spotkała mnie już na parkingu. Zaparkowałam na placyku za hotelem, liczyłam, że nikt tam nie zagląda i w ten sposób uniknę biletu za parking, niestety za wycieraczką tkwił kwitek opiewający na kwotę dalece przekraczającą możliwości mojego portfela. Rozejrzałam się na boki, sprawdziłam, czy nikt nie patrzy i wywaliłam kartkę do kosza śmieci. Odjeżdżając, pomyślałam, że zanim dojdą do tego, skąd jest auto i kto jest jego właścicielem, minie dużo czasu - może wtedy będzie mnie już stać na zapłatę biletu.

Musiałam poszukać jakiegoś miejsca do spania, problem był jednak w tym, że nie posiadałam dostępu do Internetu. Nie mając za bardzo wyjścia, udałam się do pobliskiej kawiarni - oferowali lurowatą kawę, ale za to mieli darmowy dostęp do Internetu. Kupiłam najmniejszą i najtańszą kawę i rozpoczęłam poszukiwania miejsca, gdzie mogę się zatrzymać. Jak wyczytałam na lokalnych forach (tak, teraz już wiem, że powinnam od tego zacząć) najtańszą i najbardziej popularną opcją byłby wynajem pokoju w czyimś domu. Ofert znalazłam wiele, tyle że stan mojego konta na karcie telefonicznej mocno mnie ograniczał. Musiałam zdać się na przecucie (w sumie dzwoniłam tylko tam, gdzie podobał mi się wystrój pokoju - mogę być biedna, ale w ruderze mieszkać nie chcę). Nie za bardzo orientowałam się, w jakiej dzielnicy powinnam zamieszkać (poza tym, że w taniej). Znalazłam w końcu ładny pokój za rozsądne pieniądze i pojechałam. Na miejscu okazało się, że właścicielka powinna zostać profesjonalnym fotografem, rzeczywisty pokój miał bowiem z tym że zdjęcia tyle wspólnego, ile moje profilowe zdjęcie na Facebooku ze mną. Ale przyznam szczerze, byłam tak zmęczona i zdesperowana, że zdecydowałam się wziąć ten mikroskopijny pokoik. Wtargałam do tej klitki wszystkie moje toboły i usiadłam na łóżku. Więc po to przejechałam tyle kilometrów, po to

porzuciłam moje luksusowe mieszkanie - dla dwóch metrów kwadratowych i gołego materaca; kolejne bolesne zderzenie z rzeczywistością.

## Nowe wyzwania, stare śmieci

W moim nowym apartamencie mieściło się arcywąskie łóżko, komódka i szafa, za firankę służyła szmata nie pierwszej świeżości... Cóż, przynajmniej nie padało mi na głowę – czyż nie?

Po rozpakowaniu moich gratów, uświadomiłam sobie, jak beznadziejna jestem w pakowaniu walizek.

Też tak macie? Mogę mieć cztery listy, co ze sobą zabrać, a i tak zapakuję totalnie niepotrzebne rzeczy. Więc w walizkach znalazłam cztery rodzaje odżywek do włosów, kilka olejów do twarzy, wszystkie buty na obcasie, jakie miałam w domu, wieczorowe kiecki itp. Szkoda że zapomniałam, iż szukanie pracy to też łażenie od drzwi do drzwi, żeby zostawić swoje CV – w dziesięciocentymetrowych szpilach będę mieć trochę pod górkę.

Zapomniałam też o jeszcze jednej bardzo istotnej rzeczy – o pościeli. Nie wiem, co sobie myślałam, ale na moim nowym dziewięćdziesięciocentymetrowym łóżu był tylko goły i średnio czysty materac. Sprawdziłam stan gotówki w portfelu – nie stać mnie nawet na pół poduszki. Coś mi świtało, że kiedyś wozłam w aucie coś do okrycia. Po wyrzuceniu nieprzydatnych gratów, na dnie bagażnika moim oczom ukazał się stary spęczniały koc i poduszka. Miałam nadzieję, że najbliższe noce będą ciepłe.

Co do samochodu, jest to kolejna nielogiczna i irracjonalna zachcianka, jaką zafundowałam sobie w przeszłości. Nie mogę narzekać na jego funkcjonalność, jest to chyba jedyna rzecz w moim życiu, która się nie popsuła. Ale na tle gratów parkowanych na ulicy wyglądał nieporównywalnie lepiej. Niestety działało to na moją niekorzyść. Zaraz po przyjeździe jeden ze współlokatorów ostrzegł mnie, żebym nie parkowała pod domem, ponieważ sąsiedzi nie lubią obcych na swojej



ulicy. Wydaje mi się to dziwne, chyba dziewięćdziesiąt procent ludności tego kraju składa się z obcych. Ale wracając do samochodu, rada współlokatora jednym uchem mi wpadła, a drugim wypadła. Jak bardzo była prawdziwa, okazało się, gdy chciałam pojechać do sklepu – na moim miejscu parkingowym było pusto. Kto zabrał moją dziecinę? Kolejne pół godziny spędziłam, wisząc na telefonie i usiłując dowiedzieć się, co z moim autem. Niestety oficer po drugiej stronie słuchawki był nieczuły na mój drastycznie niski stan konta. Kiedy już chciałam się poddać, znalazłam auto na strzeżonym parkingu policyjnym. Odbiór samochodu mógł nastąpić po zapłacie mandatu – jak się domyślacie, jego wysokość znacznie przewyższała mój budżet. Ale, jako że każda dodatkowa doba to nowe koszty, musiałam go jakoś odebrać.

Nie zostało mi nic innego, jak schować dumę i zadzwonić do jedynej osoby, która mogła mi pomóc.

Boże, wyjechałam za granicę zarabiać kokosy, a dzwonię do znajomych po pożyczanie kasy?! Jak nisko jeszcze upadnę?!

Na szczęście udało mi się pożyczyć wymaganą kwotę, więc na drugi dzień odebrałam auto. Nie trzeba wspominać, że nie miałam pieniędzy na bilet, więc musiałam iść piechotą. Podczas mojego spaceru na parking czułam się, jakby wszyscy patrzyli na mnie z potępieniem w oczach, jakby każdy wiedział, że przyjechałam całkowicie zmienić życie, a jedynie zmieniłam kraj i nadal jestem takim samym nieudacznikiem. Na poprawę humoru, wracając do domu, podjechałam do pobliskiego sklepu dla ubogich ludzi i kupiłam sobie prześcieradło – było najwyraźniej już używane i w obrzydliwe różowe kwiatki. Ale co tam, są przecież jakieś granice biedy, prawda?

Przeprowadzka do pokoju wiązała się z jedną podstawową niewygoda: po raz pierwszy od długiego czasu musiałam mieszkać z innymi osobami. Dokładniej z dziesięcioma, z czego tylko jedna była kobietą. Do teraz zastanawiam się, jak na takim małym metrażu można upchnąć tyle osób, ale zaradność moich rodaków to temat na osobną książkę.

Za ścianą mojej celi mieszkała dwójka gejów, mili i fajni. Szkoda tylko, że dzięki ścianie pomiędzy naszymi pokojami, która najwyraźniej

wykonana była z jednej kartki papieru, zostałam niechcący zaproszona do ich bujnego życia erotycznego. Nie wiem, czy to oni byli tak głośni, czy ta ściana tak cienka. Ale wiercie: słyszałam WSZYSTKO.

Jedną łazienkę dzieliłam z pięcioma innymi osobami. Jestem strasznym pedantem, plamka na lustrze nie daje mi spać, a brudna toaleta przyprawia mnie o ból głowy. Niestety inni lokatorzy nie mieli z tym problemu. Próbowалам na samym początku sprzątać po wszystkich, ale było to jak walka z wiatrakami. Z braku pracy i żeby zabić wyrzuty sumienia, codzienne szorowałam już tylko moje dwa metry kwadratowe.

Mając dach nad głową (przynajmniej na najbliższe półtora tygodnia, bo tylko na tyle miałam pieniędzy), ze zdwojonymi siłami zaczęłam szukać pracy.

Wysyłałam wszędzie - nawet gdy moje CV w jedynym procencie nie pasowało do wymagań w ogłoszeniu. Nie wiem, na co liczyłam, może na to, że osoba rekrutująca będzie akurat w gorszej kondycji psychicznej i jednak zaproszą mnie na rozmowę? Albo po prostu chciałam zagłuszyć wyrzuty sumienia, że od prawie tygodnia nie zarobiłam ani grosza.

Od współlokatorów usłyszałam radę, żeby zarejestrować się w agencjach pracy, co zwiększy moją szansę na znalezienie zatrudnienia. Kupiłam więc butelkę taniego wina i w jeden wieczór zarejestrowałam się chyba w każdej możliwej agencji oraz wysuszyłam butelkę.

Kolejnego dnia z wielkim kacem, ale uciszonymi wyrzutami sumienia, czekałam na telefon.

Telefonu się nie doczekałam, za to dostałam maila - praca w hotelu. Już, teraz! Nareszcie mój marny los się odwrócił! Oczami wyobraźni widziałam siebie opływającą w luksusy. Zanim jednak zaczęłam wydawać moje wyimaginowane pieniądze, doczytałam treść ogłoszenia: „Praca w hotelu, w kuchni, na zmywaku”. Co?! Mam szorować gary?! Lubię sprzątać, owszem, ale moim szczytem marzeń nie jest szorowanie przez cały dzień kupy talerzy. Mogę pracować w hotelu, ale bardziej wyobrażałam sobie pracę jako pokojówka, gdzie poznaję bogatego gościa hotelowego i dalej już wszystko leci jak w bajce. Gdzie ja znajdę

mojego księcia, stojąc na zmywaku?

Miałam spory dylemat: z jednej strony bieda aż piszczy – nie wiem, gdzie będę mieszkać za tydzień – z drugiej strony zostały jeszcze resztki mojej dumy. Miałam dać odpowiedź najpóźniej na drugi dzień rano. Obiecałam sobie, że jeśli do tego czasu niczego nie znajdę, schowam dumę do kieszeni i pójdę szorować gary...

Teraz dopiero byłam zmotywowana – zaczęłam nawet szukać ogłoszeń na stronie dla moich rodaków.

Jedno wpadło mi w oko: „pracownik biurowy do agencji nieruchomości” – idealne dla mnie. Szybko zadzwoniłam, po krótkiej rozmowie kazano mi wysłać CV. Mój przyszły szef szybko oddzwonił i zaprosił mnie na rozmowę tego samego dnia.

– Hurra! Nie będę musiała myć garów!

Ubrałam się w najlepsze rzeczy, znalazłam najlepsze szpilki – i w drogę.

Po pięciu minutach marszu zrozumiałam, dlaczego wszyscy chodzą tutaj w płaskich butach. Prawie połamałam nogi, bo chodniki wykonane były z bardzo przypadkowych kostek brukowych, które tylko czekały, żeby uwięzić mój obcas. Pominę też niewybredne komentarze mijanych budowlańców.

W końcu dotarłam do mojego przyszłego miejsca pracy – mikroskopijne biuro z dwoma facetami w środku. Mój przyszły szef okazał się typowym Januszem biznesu – markowe ubrania kupione na pobliskim bazarze, podróbka rolexa na rękę i wylana na siebie ilość perfum, jakiej nie powstydziałaby się żadna perfumeria. Jego kolega w sumie niczym się nie różnił, poza tym, że nazywał się Ahmed.

Rozmowa przebiegała dość standardowo: dlaczego chcesz u nas pracować, co wiesz o wynajmie domów itp. Kiedy już w wyobraźni widziałam siebie za jedynym pustym biurkiem w pomieszczeniu, „Janusz” zapytał o to, jak wyobrażam sobie moje zarobki. Chciałam wyjść na człowieka zdystansowanego i zaproponowałam, by to on powiedział, ile chce mi płacić. Zanim zdążyłam wymienić portfel na większy, żeby pomieścić całą tę kasę, usłyszałam kwotę, która nie wystarczyłaby mi nawet na czynsz.

- Ale jak to? Podałeś mi teraz dzienną stawkę czy jak?

- Nie, tyle zamierzam ci zapłacić tygodniowo; po sześciu miesiącach możesz dostać małą podwyżkę - odpowiedział, szczerząc żółte zęby.

Z taką wypłatą, po sześciu dniach będę musiała zamieszkać na zapleczu tego biura i kraść kanapki z lodówki, żeby przeżyć. Niewzruszony „Janusz” stwierdził, że takie są tutaj stawki i mam dorosnąć. Cóż, nadszedł czas na moją pierwszą dorosłą decyzję. Wstałam i wyszłam.

Smutno wlokłam się do domu - czyli faktycznie zostało mi szorowanie garów... Musiałam podjąć kolejną bolesną męską decyzję: o ściągnięciu moich sztucznych paznokci; z takimi szponami jedynym, co mogłam szorować, były czyjeś plecy. Kolejny krok w kierunku totalnej beznadziei.

# Światełko w tunelu oznacza zazwyczaj nadjeżdżający pociąg

Podczas kolejnego przeglądania stron z ogłoszeniami, jedno wpadło mi w oko: „Szybki zarobek dla dziewczyn”. Nie urodziłam się wczoraj i wiem, że w takim ogłoszeniu nie mowa o składaniu długopisów, ale pytanie brzmiało: czy jestem aż tak zdesperowana? Chyba jednak byłam, bo szybko kliknęłam w ogłoszenie.

„Chcesz szybko dorobić i nie boisz się nowych wyzwań, napisz mi wiadomość, odezwę się”.

Od napisania jednej wiadomości chyba jeszcze nikt nie umarł. Szybko wyskrobałam maila i wysłałam. Długo nie czekałam na odpowiedź; dostałam wiadomość od Amandy:

„Szukam miłych dziewczyn do sponsorowanych spotkań z miłośnikami stóp. Jeżeli nie boisz się czegoś nowego i masz ładne stopy, to praca dla ciebie”.

Kwota podana za jedno spotkanie wywołała szybsze bicie mojego serca. Aż musiałam dwa razy przeczytać: zastanawiałam się, za co mogłabym zapłacić, otrzymując wynagrodzenie za tylko jedną godzinę pracy?! Tylko co dokładnie znaczy „miłośnik stóp”? Jeśli chce sobie na nie popatrzeć to ok, tylko gorzej, jak chce się z nimi dużo bliżej zapoznać.

Z pomocą przyszło mi jak zawsze Google. Szybko wpisałam w przeglądarkę „miłośnicy stóp”. Nie jestem wyjątkowo pruderyjna, ale niektóre zdjęcia uświadomiły mi, że z niektórymi ludźmi nie do końca jest wszystko ok. Przypadkowo wpadłam na blog dziewczyny, która od kilku lat zarabiała swoimi stopami. Wysokość jej zarobków wzbudziła we mnie dziką zazdrość. Przeglądając zdjęcia drogich torebek i wystawnego mieszkania, które zasponsorowali jej fetyszyści, coraz

bardziej zaczęłam się ku temu skłaniać. Oczywiście obudziła się we mnie sknera. Pomyślałam sobie: po co mam odpalać kasę komuś za znalezienie mi „przyjaciela”? Na pewno są specjalne portale do tego typu ogłoszeń. Cóż, nie myliłam się, Internet jak zwykle nie zawiódł.

Może to będzie moja droga do wielkich pieniędzy?

Przejrzałam inne ogłoszenia, nasunął mi się od razu jeden wniosek – podstawa to ładne zdjęcia. Krytycznie spojrzałam na moje nogi: nie takie złe, trochę zapuszczone, niestety ze względu na mój nikły budżet kosmetyczka odpadała. Szybko przejrzałam moje kosmetyki w poszukiwaniu pilnika, pumeksu i lakieru... Jest! Opłacało się targać je przez pół świata. Doprowadziłam nogi, do jako-takiego stanu i zrobiłam kilka zdjęć. Raz się żyje, od wrzucenia ogłoszenia do Internetu jeszcze nikt nie umarł, a poza tym kto mnie pozna po stopach? Załadowałam zdjęcia, wpisałam kilka słów, które skopiowałam z podobnych ogłoszeń, i wysłałam. Teraz zostało tylko czekać.

W międzyczasie zajęło mnie coś innego, więc pocztę mogłam sprawdzić dopiero wieczorem. Otworzyłam przeglądarkę, a moim oczom ukazało się ponad sto wiadomości od miłośników stóp! Zaczęłam przeglądać odpowiedzi, niektóre były dość neutralne, inne... hmm zawierały bardzo dokładne i plastyczne opisy. Większość załączyła swoje zdjęcia, na szczęście przeważnie były to zdjęcia twarzy – z ciekawością je przeglądałam. Spodziewałam się chyba perwersji wymalowanej na twarzy, a większość z tych facetów wyglądała normalnie. Zdałam się na przecucie i wybrałam jednego chłopaka jako mojego pierwszego potencjalnego klienta... Nie „klient” źle brzmi, „miłośnik moich stóp” o wiele lepiej. Napisałam kilka zdań o sobie (oczywiście wszystkie zmyślane) i zapytałam, czy chce się spotkać (nie mam czasu na nonszalanckie rozmówki, moje konto świeci pustkami!).

Odpowiedź przyszła momentalnie: chciał się spotkać jeszcze tego samego dnia. Lokalizacja nie była nawet taka zła, ale nurtowało mnie jedno – ile zapłaci mi za mój czas? Nie chciałam marnować ostatnich pieniędzy na bilet, jeśli mam zarobić marne grosze. Na szczęście mój nowy znajomy chyba czytał mi w myślach – sam rzucił kwotę, która zaparła mi dech w piersiach. Za dwie godziny siedzenia i nicnierobienia!

Nawet się nie zastanawiałam – umówiłam się z nim tego samego dnia wieczorem.

Dopiero w metrze dopadła mnie trema. A co, jeśli idę na spotkanie z jakimś psychopatą? Co, jeśli zamiast piąć z zachwyty nad moimi nogami, zabije mnie, a nogi zostawi sobie na pamiątkę? Cóż, zapłaciłam już za bilet i były to moje ostatnie pieniądze, więc co innego mi zostało? Myślałam, żeby komuś dać znać, gdzie będę, ale co miałam powiedzieć? „Idę dać się macać facetowi za kasę, jak mnie zabije, to szukaj mnie, proszę”? Lepiej zabrać swoje brudy do grobu.

Z metra do jego mieszkania miałam spory kawałek. Oczywiście na nogach miałam najwyższe buty, jakie tylko znalazłam w szafie, i były one obrzydliwie niewygodne. Z bólu zaciskałam zęby, a w myślach już liczyłam zarobioną kasę. W końcu dotarłam, drzwi otworzył mi facet sięgający mi ledwo do ramion – widzę, że nie tylko mnie poniosła fantazja przy opisywaniu siebie. Nie wiem, kto był bardziej stremowany – ja czy on. Zaprosił mnie do małego zatęchłego mieszkania. Mam nadzieję, że tu nie zginę, ani nie złapię jakiejś dziwnej choroby – myślałam.

Mój nowy kolega zaproponował mi coś do picia, chętnie się zgodziłam, niestety zamiast czegoś rozluźniającego przyniósł wodę z kranu. Szybka analiza czystości kuchni pomogła mi zwalczyć pragnienie.

Nie wiedziałam za bardzo, jak zacząć, więc usiadłam na najczystszej krześle i zdjęłam buty. Wycisnęłam nogi przed siebie i zamknęłam oczy. Starłam się nie patrzeć, jak ten mikrus z ekstazą na twarzy masuje mi nogi. W sumie w takiej ciszy minęła pierwsza godzina. Zaczęłam się już rozluźniać i cieszyć z mojej najłatwiej i najprzyjemniej zarobionej kasy, kiedy chłopak zapytał, czy może mi possać palec. Cóż, szybko się zastanowiłam, jakie straszne choroby mogę złapać, ale zanim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć, facet władował sobie pół mojej stopy do buzi. Boże, jakie to było obrzydliwe! Ale – jak zauważyłam po jego wyrazie twarzy – tylko dla mnie. Tak więc na mlaskaniu zeszła druga godzina. Nieśmiało obwieściłam, że czas już minął i to koniec naszego dzisiejszego spotkania. Wytarłam stopy w najczystszy ręcznik i ładnie

poprosiłam o moją zapłatę.

Wtedy mój mały kolega powiedział, że nie ma pieniędzy i mi nie zapłaci. Nie wiedziałam, czy mam się roześmiać, czy rozplakać, ale nagle ogarnęła mnie taka furia, że myślałam, że go rozszarpię.

- Ty zboczuchu! - wrzasnęłam. - To ja znoszę twoją gębę na moich nogach, a ty, że kasy nie masz?! Biednego i zdesperowanego człowieka oszukiwać!?

Nie wiem, co mną kierowało - chyba poczucie, że to już koniec mojej przygody i wszystkich moich marzeń - ale z całej siły kopnęłam go między nogi. Facet zwinął się w kłębek na podłodze. Ale zamiast jęku bólu lub płaczu usłyszałam jęk rozkoszy. Zdezorientowana stałam nad nim, nie wiedziałam, czy mam go znowu kopnąć, czy brać nogi za pas. Mój znokautowany kolega, dalej klęcząc przede mną, wysapał:

- Możesz to zrobić jeszcze raz? Strasznie mnie tym nakręciłaś!

Moim celem na pewno nie było sprawienia większej przyjemności temu zboczeńcowi, ale niewiele myśląc, ponowiłam atak, i korzystając z tego, że facet leży na podłodze, jęcząc z bólu czy rozkoszy, odwróciłam się na pięcie i uciekłam w kierunku drzwi. Zbierając moje rzeczy, zauważyłam na półce jego portfel. Szybka decyzja: zabrałam należną mi kwotę („Nie mam pieniędzy” - jasne, z kwoty, jaką znalazłam w jego portfelu, mógłby u mnie wykupić miesięczny abonament), czyli to, co mi się należało, i uciekłam.

Przebiegłam tylko kilkanaście metrów - niestety wysokie szpilki właśnie postanowiły o sobie przypomnieć. Nie dałam rady dalej iść, bolesne odciski i otarcia sprawiały mi niesamowity ból. Pokuśtykałam jeszcze kilka metrów i ściągnęłam buty. Koniec dobrego wyglądu i dumnego przechadzania się po mieście. Wracając boso, ściągałam ciekawskie spojrzenia; zanim doszłam do domu, moje nogi nadawały się tylko do obejrzenia przez lekarza. Tak więc szybko zakończyła się moja kariera zaspokajania marzeń fetyszystów stóp.

Na szczęście zarobione dzisiaj pieniądze starczą na opłacenie czynszu i jedzenie. Miałam więc czas na wyleczenie stóp i obmyślenie planu, co dalej.

Następne dni upłynęły na kuracji tanim winem i wysyłaniu CV. Po



ostatniej przygodzie nie skreśliłam jeszcze normalnej ścieżki kariery. Ale nie ukrywałam też, że szorowanie garów na zapleczu hotelu – takich ogłoszeń było multum – znajdowało się na końcu mojej listy.

Przemierzając bezkresy Internetu, znalazłam stronę o badaniach klinicznych i poszukiwaniach wolontariuszy do nich. Pierwsze, co przykuło moją uwagę, to wynagrodzenie – średnia trzymiesięczna wypłata za czternaście dni spędzonych w szpitalu jako królik doświadczalny. Co gorszego może mnie spotkać od mieszkania w mikropokoiku i koleśki lubiącego kopanie jajek? Szybko przeczytałam listę wymagań – spełniałam wszystkie poza jednym: posiadanie minimum sześciomiesięcznej historii lekarskiej w tym kraju. Ludzie, serio, jestem tutaj dopiero parę tygodni, a bateria lekarstw, które ze sobą przywiozłam, jest w stanie wyleczyć wioskę w Afryce! Na grzyba mi lekarz?! Nie zniechęciłam się, pomyślałam, że na pewno da się to obejść.

Nie znałam osobiście żadnego lekarza, więc stwierdziłam, że pomocni mogą okazać się moi współlokatorzy. Wzięłam flaszkę wina i zeszłam na dół. Trafiłam na podatny grunt – po chwili każdy przyniósł zapasy różnych tanich alkoholi. Wkrótce większość z nich była już w bardzo wesołym nastroju. Rzuciłam wtedy mimochodem, że potrzebuję mieć kartotekę lekarską, a niestety – z przyczyn oczywistych – nie mam. Na pytania, po co mi, odpowiedziałam wymijająco, że w pracy mają takie wymagania. Jeden z chłopaków obwieścił, że zna lekarza, który mi coś takiego załatwi, nawet kwota, jaką mi podał za tę usługę, nie była jakoś straszna. Kułam żelazo póki gorące – prawie zmusiłam go do zadzwonienia do swojego lekarza i załatwienia mi historii lekarskiej.

Dwa dni później (w międzyczasie, po tamtym wieczorze, miałam ogromnego kaca) trzymałam w ręku wszystkie niezbędne dokumenty, tyle że znowu miałam puste konto. Pozostawało teraz mieć nadzieję, że mój plan wypali, inaczej znowu stanę się bardzo zdesperowana. Szybko umówiłam się na spotkanie w klinice w celu przebadania się.

Wizyta przebiegła dość szybko, chyba byli bardziej zdesperowani niż ja, pobieżnie ktoś sprawdził tylko, czy ja to ja i czy jestem w miarę

żywa. Wysłałam z plikiem dokumentów i zaproszeniem na wizytę za tydzień. Czternaście dni w szpitalu i odbieram czek, który pozwoli mi wygodnie żyć przez dwa miesiące. Współlokatorom w domu powiedziałam, że muszę na dwa tygodnie wracać do kraju, profilaktycznie zabrałam ze sobą wszystkie wartościowe rzeczy i pojechałam na moje szpitalne wakacje – cóż, chyba muszę to traktować jako swego rodzaju sanatorium. Ostatnie drobne z portfela wydałam na opłacenie biletu parkingowego dla mojego samochodu – uczę się na błędach, nie stać mnie na kolejne holowanie.

Według mojej broszury miałam dostać pokój z łazienką tylko dla siebie. Do tego klimatyzacja i spersonalizowane menu. W praktyce zastałam pokój z pięćdziesięcioma łózkami; w ramach klimatyzacji był jeden lufcik pod sufitem. Cóż, teraz chyba już nie miałam wyjścia – nie miałam nawet za bardzo pieniędzy, żeby wrócić do domu.

W grupie miało być czternaście pań, jednak i w tym punkcie plany rozminęły się z rzeczywistością – nasza sala była koedukacyjna.

Dyskretnie przyjrzałam się moim towarzyszom – na pierwszy rzut oka wszyscy wyglądali na desperatów (czyli nie tylko ja mam desperację wymalowaną na twarzy).

Szybki obchód lekarza, pierwsza seria zastrzyków, pobieranie krwi i mam dzień wolny. Myślałam, że będę mogła w spokoju poczytać książkę i nadrobić zaległości w serialach, niestety nie było mi to dane.

Po pięciu minutach podeszła do mnie współlokatorka z łóżka obok.

– Cześć, chcesz się zrelaksować?

Szczerze, to nie wiedziałam, co zrobić z tak szczodłą ofertą.

– Co rozumiesz przez relaks?

– Wiesz, mam kilka tabletek, które pomogą ci się rozluźnić.

O tak, o niczym bardziej nie marzę, jak o wzięciu podejrzanych tabletek od osoby, którą znam od pięciu minut i obudzeniu się jutro bez nerki.

– Chyba jednak muszę odmówić, ale dzięki za ofertę – odpowiedziałam z najmiłym uśmiechem, na jaki było mnie stać, nie ma przecież co zadzierać z wariatami, prawda?

– Nie wiesz, co tracisz – odpowiedziała moja nowa współlokatorka. –

Jak zmienisz zdanie, wiesz, gdzie mnie szukać.

Cóż, ciężko byłoby jej nie znaleźć na odizolowanych dwudziestu metrach kwadratowych, które miały być naszym wspólnym domem przez najbliższe czternaście dni.

Może i nie wiedziałam, czym jest dobra zabawa, ale przekonałam się, że jakkolwiek dobra by była, to na pewno nie była opłacalna. Na drugi dzień, po badaniu krwi, moja koleżanka spakowała swoje manatki i ze smutną miną poszła do domu.

Mogłam wytrzymać zbzikowanych współlokatorów, nieznośny gorąc i fakt, że niektórzy unikali prysznic jak ognia. Ale największym problemem był fakt, że nie mogłam wyjść z sali nawet na pięć minut. Jediną opcją było wyjście do „pokoju rekreacyjnego”, który był małą klitką z kilkoma fotelami i przedpotopowym telewizorem. Drugiego dnia poszłam tam, żeby wreszcie w spokoju poczytać książkę. Wybrałam w miarę czysty i wygodny fotel zaraz przy oknie. Nie przeczytałam jednak nawet jednej strony, kiedy zauważyłam po drugiej stronie śliczny pub pełen ludzi. Boże, jak ja bym chciała stąd wyjść i napić się czegoś zimnego! Na moich szpitalnych wakacjach jedynymi napojami były woda i paskudna herbata bez cukru. Książka poszła w odstawkę, siedziałam w tym oknie i wpatrywałam się w szczęśliwych ludzi spędzających czas przy drinku. W myślach byłam w tym barze pełnym wesołych ludzi, rozkoszując się zimnym piwem.

- Co poszło nie tak z moim życiem? Zamiast siedzieć tam, na dole, oddaję krew za pieniądze...

Uświadomiłam sobie, że nawet jeśli wypuściliby mnie teraz, to i tak nie mam za co kupić piwa. W sumie to już mogę tutaj zostać.

\*

W nocy obudził mnie wrzask jednego ze współlokatorów.

- Wszczepiają nam chipy! Rząd nas kontroluje! Uciekajcie!

Jak powiedział, tak chciał zrobić, na drodze jego świetnego planu stanął jednak ogromny czarnoskóry ochroniarz, który mógł zabijać samym wzrokiem. Zwinnym ruchem podciął nerwowemu koledze nogi, a ten runął jak długi na podłogę, dalej krzycząc, że rząd chce

kontrolować nasze mózgi. Cóż, jego mózg już ktoś kontroluje, bo na pewno nie on sam. Rano jego łóżko było już puste. Gdy się patrzyło, jak się wykruszają kolejni wolontariusze, stwierdziłam, że po czternastu dniach powinien być dodawany bonus dla wytrwałych.

\*

Czternaście dni szybko minęło, moje ręce zaczęły wyglądać, jakbym miała za sobą bardzo rozrywkowe życie, ale poza tym można to wszystko było traktować jak dziwne wakacje. Poza pobudką o szóstej rano, która była pewną niedogodnością, mogłam cały dzień pleśnieć w łóżku i czytać książki.

Wychodząc do domu, ściszałam w ręce czek na kwotę, która przyprawiała mnie o zawał. Tyle pieniędzy i prawie bez wysiłku! Już nie mogłam się doczekać, kiedy znowu dostanę się na takie badania. Oczami wyobraźni widziałam siebie z wypchanym kontem i rękami pokłutymi jak sito. Cóż, to i tak niewielkie poświęcenie w stosunku do zarobku.

Z niechęcią wróciłam do mojej klitki. Nic się nie zmieniło - poza tym, że przez te dwa tygodnie na sto procent ktoś spał w moim łóżku. Próbowałam dyskretnie wypytać współlokatorów, czy faktycznie miałam lokatora, czy tylko powiększa się moja paranoja. Wszyscy jednak zgodnie udawali, że nie wiedzą, o co mi chodzi. Co innego mi zostało? Postanowiłam wyprać moją marną pościel i zapomnieć o sprawie. Wszystko mogłoby się nawet udać, ale pod pralką napotkałam dość istotny problem - nie mam żadnych detergentów do prania. Zaczęłam już kombinować, czy da się zrobić pranie z płynem do mycia naczyń, kiedy zobaczyłam płyn i proszek na półce jednego ze współlokatorów. To jest to, czego potrzebuję! Kradnąc jego proszek, czułam się tak, jakbym co najmniej rabowała Fort Knox. Ręce trzęsły mi się jeszcze, jak wieształam pranie, a w myślach ustalałam, co powiem, kiedy zauważy, że brakuje trochę płynu i proszku, albo wyczuje, że moje prześcieradło pachnie niezwykle podobnie jak jego.

- Ja - pranie?! No weź, mnie wystarczy wietrzenie!

Po tym wszystkim musiałam bardzo się powstrzymać, żeby nie wyprowadzić się gdziekolwiek indziej - przecież teraz było mnie stać.

Ostatecznie za jedyną awangardę, na jaką sobie pozwoliłam, mogę uznać kupienie kartonu wina trochę lepszego niż ten marny sikacz, który piłam do tej pory.

Liczenie moich pieniędzy i raczenie się troszeczkę lepszym jakościowo trunkiem przerwał e-mail z Piekiełka. Bank, który zaszczycił mnie hipoteką na mój pierwszy dom, przypomniał sobie, że unikam jak ognia spłacania rat. Albo wpłacę zaległe raty, albo dom pójdzie na licytację. Nie mogłam na to pozwolić, i tak już straciłam na krachu i moje mieszkanie było warte połowę pierwotnej ceny. Bank na pewno nie będzie się przejmować tym, że sprzeda dom za ułamek kwoty, a ja zostanę bez domu i dalej z ogromnym kredytem. Przeliczyłam, ile muszę im oddać. Cóż, znowu mi zostanie pieniędzy akurat na dwa tygodnie czynszu i najtańsze wino. Ze łzami w oczach wysłałam przelew do banku. Nienawidzę swojego życia!

## Co poszło nie tak?

Mam trzydzieści lat, nadwagę i chyba przegrałam swoje życie.

Pojechałam wreszcie odbić się od dna, a z każdym kolejnym dniem zapadam się głębiej w bagno. Zatracam się w oceanie beznadziejności. Nie chciało mi się nawet wychodzić z domu, żeby kupić wino – widok szczęśliwych ludzi działał na mnie jeszcze bardziej przygnębiająco. Wiem, że zrobiłam w życiu bardzo wiele złych rzeczy, ale taki ogrom kar to już chyba lekka przesada. Najgorsze jest to, że byłam w tym wszystkim totalnie sama. Wiem, na własne życzenie, ale chyba sobie uświadomiłam, że czasem warto mieć przy sobie bratnią duszę.

Z tym ostatnim to już niewiele mogę zrobić – pozrywałam wszystkie kontakty, popaliłam wszystkie mosty. Kolejna nauczka na przyszłość. Ale teraz już za późno na utyskiwanie, wiedziałam, że jeśli czegoś ze sobą nie zrobię, to może się to źle skończyć.

Dalej miałam w pamięci czas na krótko przed moim wyjazdem tutaj, kiedy potrafiłam przeleżeć całe dni w łóżku, patrząc tępo w sufit i użalając się nad sobą. Czy parę tysięcy kilometrów odległości nie zmieniło nic w moim życiu? Dalej jestem takim samym nieudacznikiem, jakim byłam? Jak daleko mam uciekać, żeby zgubić swój pech?

Znowu wróciłam do punktu wyjścia – byłam bez pracy i bez pieniędzy, a opłacony czynsz pozwalał mi mieszkać jeszcze tylko dwa tygodnie. Zaczynałam się zastanawiać, czy wyjazd nie był błędem... Ale jakie inne opcje mam? Powrót do „domu”, czyli do komorników, windykatorów, i do ukrywania się w domu? Muszę wziąć się w garść i znaleźć stałe źródło dochodu.

Z nadzieją zaczęłam przeglądać ogłoszenia – standardowo już nie byłam wymagająca i wysyłałam CV wszędzie, jak leci.

Wtedy zadzwonił telefon. Musiał to być ktoś z ogłoszenia o pracę,

ponieważ miałam nowy numer na kartę, którym z nikim się nie dzieliłam. Już chciałam odebrać, kiedy uroiłam sobie, że przecież prawie nie znam języka, nie dogadam się i tylko zrobię z siebie idiotkę. Telefon przestał dzwonić, a ja chciałam walnąć nim sobie w głowę.

Boże, jaka ja jestem głupia! Co ze mną nie tak? Siedziałam tak i sarkałam na siebie, kiedy usłyszałam dźwięk przychodzącej wiadomości.

Kolejny spam czy wezwanie do zapłaty? Cóż, żadne z nich, za to krótka notatka o próbie skontaktowania się ze mną. Osoba, chyba kobieta - zagraniczne imiona są dla mnie nie lada zagadką i często póki nie poznam osobiście rozmówcy, nie wiem, czy rozmawiam z kobietą czy mężczyzną - chętnie spotka się ze mną na rozmowę w sprawie pracy na stanowisko housekeepera.

Czyli nie wszystko stracone! Wzięłam cztery głębokie oddechy i wybrałam numer.

Głos w słuchawce okazał się damskim.

Po wszystkim z wrażenia nie wiedziałam nawet, o czym z nią rozmawiałam, zapamiętałam tylko, że na drugi dzień o jedenastej przed południem miałam rozmowę w jej domu. Szybko zaczęłam planować swoją podróż. Nie chciałam jechać samochodem. Po pierwsze nie miałam pewności, czy znajdę miejsce do parkowania - a jak pamiętacie, czasem źle się to kończy - a po drugie mój samochód trochę za bardzo rzucał się w oczy. Wybór padł na metro. Szybko więc sprawdziłam kod pocztowy, okazało się, że przede mną dwie godziny drogi. Mogę jechać nawet osiem godzin, byle skończyło się to dostaniem pracy. Przeliczyłam szybko pieniądze i stwierdziłam, że mam na bilet. Jadę po nową pracę! Obiecałam sobie, że choćbym miała płaszczyć się na kolanach, dostanę tę robotę. Jak nie, to od razu mogę skoczyć z mostu... albo zrobić coś innego, naprawdę nie lubię zimnej wody.

Pierwszą rzeczą było przygotowanie sobie ubrań, żeby rano nie przekopywać w panice całej szafy. Jeśli z ubraniami nie było większego problemu, to przeszkodą okazały się oczywiście buty - nie mogę wybrać się na drugi koniec miasta w szpilkach. Będę marzyła o ich ściągnięciu, zanim dojdę na stację metra. Ubrałam się i poszłam na pobliski high

street w poszukiwaniu tanich butów – patrząc jednak na stan mojego konta, to jedynymi butami, na jakie mnie stać, były takie, które ukradłabym komuś prosto z nóg.

W oko wpadł mi sklep z odzieżą używaną – trochę to obrzydliwe nosić używane buty, ale na chwilę obecną nie stać mnie na nic innego. Znalazłam nawet coś z swoim rozmiarze; cena była adekwatna do stanu, ale teraz nie mogę wybrzydząć.

Wracając do domu, trzymałam moje nowe-stare buty jak skarb. Oto jak człowiekowi w biedzie obniżają się standardy.

W nocy nie umiałam usnąć, wyobrażałam sobie moje nowe miejsce pracy i pracodawcę, z ekscytacji usnęłam dopiero nad ranem. Gdy zadzwonił budzik, od razu zerwałam się z łóżka, mimo niewyspania ubrałam się szybko, wskoczyłam w moje wygodne buty i w drogę. Moja pierwsza wyprawa metrem tak daleko – bałam się, że się zgubię, dlatego wydrukowałam sobie każdą stację, na której się przesiadam, i mapkę drogi, którą muszę pokonać ze stacji do miejsca docelowego. Tak, tu muszę nadmienić: przywiozłam ze sobą z drugiego końca świata drukarkę; proszę, nie oceniajcie – jak widać, na coś się przydała.

W tym miejscu muszę jeszcze powiedzieć coś o pewnej przypadłości, którą posiadam. Mianowicie, mój układ pokarmowy lubi mnie zaskakiwać. Oczywiście w najbardziej nietypowych miejscach. Za nic ma wygodne i czyste toalety w domach, najbardziej lubi pociągi, metra i wszelkie brudne i odstraszające miejsca. Tak więc moją beztroską wycieczkę przerwał nieartykułowany dźwięk wprost z mojego brzucha. Czy gdzieś tu jest toaleta?

Oczywiście, że nie.

Najdłuższe dwie godziny w moim życiu – wypełnione modlitwą, żeby pociąg jechał szybciej. W końcu dojechałam do stacji końcowej, teraz czeka mnie tylko piętnaście minut piechotą do domu mojego nowego pracodawcy. Nie wiem jak, ale tej długości trasę pierwszy raz w życiu pokonałam w mniej niż dziesięć minut. Gdyby częściej spotykały mnie takie sytuacje, mogłabym startować w olimpiadzie. W końcu dotarłam pod dom – a raczej rezydencję. Nieśmiało zadzwoniłam do drzwi, po najdłuższej w moim życiu minucie drzwi się otworzyły.



Spodziewałam się za nimi dystyngowanej damy godnej tego domu, zamiast niej zobaczyłam rozczochraną dziewczynę w najbardziej różowym dresie, jaki kiedykolwiek widziałam.

- Heeeeeej!!! - wrzasnęła. - Ty musisz być Anna! Czekałam na Ciebie, wchodź!

- Dzień dobry - wyjąkałam. Nie wiedziałam, czy to moja nowa szefowa.

- Tak, to ja mam spotkanie o pracę...

- Co ty gadasz, jakie spotkanie?! Chodź się kawy napić! - Odwróciła się na pięcie i ruszyła w głąb domu.

Wychodzi na to, że powinnam iść za nią... Wszystko byłoby ok, gdyby nie inna pałaca potrzeba. Gdzie w tym ogromnym domu jest łazienka? Na szczęście szybko dogoniłam moją nową koleżankę, a ta pokazała mi, gdzie mogę się udać. Jaka ulga.

Lżejsza, i jakże bardzo szczęśliwa, poszłam na obiecaną kawę.

- Mam na imię Conchita, jestem z Hiszpanii, chcę mieć trójkę dzieci i lubię seks z moim misiem...

Ilość informacji, jaką mnie zasypała, była godna podziwu, strzelała newsami jak z karabinu, przeplatając je pytaniami do mnie, jednak nigdy nie czekała na odpowiedź.

Słuchałam jednym uchem, a faktycznie podziwiałam miejsce, w którym się znalazłam. Jak tu pięknie! Dom był ogromny, nie widziałam go jeszcze całego, ale na podstawie szybkiego spaceru po kilku pokojach mogłam już sobie wyrobić zdanie.

Kuchnia była obłędna, wszystko świeciło nowością i epatowało przepychem - sprzęty, jakie widziałam dotąd tylko w katalogach, marmurowe blaty i ogromne okna ciągnące się przez całe pomieszczenie.

A za oknami raj - ogromny ogród, którego koniec ginął jeszcze we mgle. Na jednym z drzew zauważyłam... domek. Tak, mają własny domek na drzewie! Oni mają własny zaczarowany ogród!

Wróciłam do rzeczywistości i do mojej wygadanej koleżanki. Uważnie się jej przyjrzałam, dalej nie wiedziałam, czy to ona jest moim pracodawcą. Szczerze, jej wygląd nie bardzo sugerował, że może być

właścicielką tego pięknego domu. Widać było, że nie przejmowała się swoim wyglądem, na głowie miała ogromny kołtun, jej żarówiastoróżowy dres nosił na sobie ślady kilku posiłków, generalnie stwarzała wrażenie zaniedbanej. Ale nie jestem tutaj po to, żeby mi się podobała, prawda?

Moja koleżanka była tak zajęta opowieściami na swój temat, że nawet nie zauważyła, że słucham ją jednym uchem. Nieśmiało wtrąciłam:

- Na czym miałyby polegać moja praca, proszę pani?

- Jaka ja pani?! - wrzasnęła. - Pani to będzie Razwan, ja jestem Conchita i od dzisiaj jesteśmy koleżanki.

Czyli muszę jeszcze poznać swoją szefową - ręce zaczęły mi się pocić ze stresu.

Cóż, nie miałam chyba innego wyboru, jak zaakceptować propozycję przyjaźni.

Spytałam Conchitę, czy mogłaby mi pokazać resztę domu. Bez namysłu zgodziła się na mój pomysł, widać było, że lubi gadać, a przy pokazywaniu domu miała nieograniczone możliwości paplania.

Zaczęłyśmy od salonu i jadalni - stół na dwadzieścia osób, masywne meble i wymyślne kanapy robiły ogromne wrażenie. Zapewne nie stać mnie nawet na ten mały dywanik rzucony w kąt. Piętro wyżej były sypialnie właścicieli i - jak powiedziała mi Conchita - ich córki. Co prawda pokój nie przypominał słodkiego pokoiku dla dziecka, ale mimo wszystko poczułam niepokój.

- Eeee... to tutaj są jakieś dzieci? - zapytałam.

Szczerze, byłby to problem, nie lubię dzieci i wiem, że to uczucie jest w stu procentach odwzajemnione.

- Nie martw się, ona ma trzynaście lat i jej życie to szkoła i nauka, nie będziesz musiała jej niańczyć, jeśli tego się obawiasz.

Cóż, może nastolatka to już bliżej do dorosłego niż do dziecka i jest mniej szkodliwa?

Sypialnie były piękne, ogromne, z wielkimi oknami na mój zaczarowany ogród. Podeszłam do okna i na końcu ogrodu zobaczyłam jakieś odbicie światła - czyżby czekał tam kolejny tajemniczy budynek?

- Co tak świeci tam, na końcu? - zapytałam Conchitę.

- A, to rzeka, później cię zabiorę i pokażę ci molo - odrzekła moja koleżanka takim tonem, jakby mówiła, że stoi tam stara szklarnia na ogórki.

- Jak to rzeka?! Macie swoją rzekę i swoje molo?!

Byłam w szoku. Co jeszcze mają prywatne? Odrzutowiec?

- Dom leży nad największą rzeką w mieście, to bardzo prestiżowa dzielnica - odpowiedziała Conchita.

Cóż, zawsze marzyłam o prestiżu, chyba nigdy nie będę go bliżej niż teraz. Z każdym oglądanym pokojem coraz bardziej kochałam ten dom. Każda sypialnia z własną łazienką, ogromne biuro z różnym sprzętem, ale najlepsze czekało na mnie na samej górze. Poddasze zostało zaadaptowane na pokój do relaksu. Maty do jogi, materace do medytacji; ale najlepszy z tego wszystkiego był wykusz okienny z widokiem na rzekę. Rozpościerał się z niego chyba najpiękniejszy widok, jaki kiedykolwiek miałam przed oczami. Stałam jak zaczarowana i rozkoszowałam się tym, co widziałam za oknem, tak że prawie zapomniałam, po co tutaj jestem. Conchita ściągnęła mnie z powrotem do kuchni prawie siłą.

Dom skradł moje serce, teraz zaczęłam się martwić, że nie podołam pracy w tak pięknym miejscu. Zaczęłam drążyć temat obowiązków.

- Zaczynasz codziennie o szóstej rano - trajkotała Conchita. - Robisz śniadanie dla córki, wytyczne dostajesz dzień przed, pakujesz jej lunch, sprawdzasz plecak. Potem standardowo sprzątasz wszystkie sypialnie, łazienki, robisz pranie. O pierwszej lunch dla państwa, o czwartej trzydzieści obiad dla córki, o siódmej obiad dla państwa. O ósmej kończysz pracę.

- Czyli codziennie czternaście godzin jestem na nogach. Zanim dojadę do domu, będzie środek nocy.

- Jakie „dojeżdżasz”?! - krzyknęła. - Przecież to jest praca z zamieszkaniem. Żeby tu pracować, musisz się tutaj przeprowadzić!

Oślupiałam.

- Jak mam sobie pozwolić na wynajem czegokolwiek, żeby mieć blisko do pracy?

- Głupia! Masz pokój w domu. - I nie czekając na nic, Conchita

zaciągnęła mnie do pokoju zaraz przy wejściu.

Nie zwróciłam na niego uwagi – drzwi wyglądały bardziej na wejście do komórki niż do pokoju.

– Tu będziesz mieszkać! – powiedziała Conchita, otwierając drzwi.

Moim oczom ukazał się najmniejszy i najbardziej zagracony pokój, jaki kiedykolwiek widziałam. Pokój na wino był większy. Ale ten miał przynajmniej swoją łazienkę i garderobę. Nie umiałam ocenić stanu pokoju, ponieważ całą powierzchnię zagracały ubrania, buty, kosmetyki i wszystko, w czego posiadaniu była moja koleżanka. Co najzabawniejsze, „mały nieład” w pokoju w ogóle jej nie zawstydził. Niedbale zgarnęła z podłogi kilka gratów, rzuciła je na łóżko i powiedziała, że mam się rozgościć. W pokoju stało piętrowe łóżko. Gdy miałam trzynaście lat, moim marzeniem było posiadanie takiego cuda. Jak widać, marzenia się spełniają, szkoda tylko, że mają długi czas realizacji.

– Mam ci zrobić test, czy się nadajesz – zaczęła Conchita.

No tak, kiedy już było tak fajnie, musi się coś zepsuć.

– Na czym ten test będzie polegać? – zapytałam nieśmiało.

– Musisz udowodnić, że potrafisz sprzątać – odpowiedziała.

Hmm, nigdy nie miałam z tym problemu, ale nie jestem pewna, czy moje standardy pokrywają się ze standardami właścicieli tak pięknego domu.

Zostałam zaprowadzona do pralni i moja koleżanka obwieściła:

– Wypierz pranie i wyprasuj to, co masz w koszu.

Cóż, nie było tego jakoś specjalnie dużo, zakasałam więc rękawy i wzięłam się do roboty. Po dwudziestu minutach pranie było wyprasowane, a brudne już się prało. Poszłam poszukać mojej koleżanki w celu otrzymania dalszych wytycznych. Znalazłam ją leżącą na kanapie, oglądającą film Bollywood i jedzącą jakieś dziwnie pachnące jedzenie. Mimo że zapach pochodzący z talerza mojej nowej koleżanki nie był najprzyjemniejszy, to zaburczało mi w brzuchu. Sprawdziłam godzinę. Był już środek dnia, a ja nie miałam nic w ustach.

Conchita chyba czytała mi w myślach, bo zaproponowała coś do jedzenia. Zaprowadziła mnie z powrotem do kuchni i wskazała dwie

ogromne szafy:

- Bierz to, na co masz ochotę - powiedziała.

Otworzyłam najpierw jedną z szaf. Za nią schowana była największa lodówka, jaką kiedykolwiek widziałam. W środku półki ugięły się od jedzenia. Czego tam nie było! Co może się znajdować za drugimi drzwiami? - pomyślałam. Otworzyłam je, a tam stała druga, taka sama lodówka.

- Po co im dwie lodówki? - zapytałam.

- Ta po prawej należy tylko do ich córki, jest alergiczką i w tej lodówce znajdują się produkty bez alergenów - uświadomiła mnie. - Musisz bardzo pilnować, żeby nie pomylić lodówek, inaczej pani cię zabije.

Uwierzyłam na słowo, nie ryzykując, że coś pomieszam, zgarnęłam tylko jabłko; na chwilę obecną musi mi wystarczyć.

- Póki pamiętam... - przypomniawszy sobie Conchita. - Pokażę ci inne sprzęty, które należą tylko do ich córki. - Przeszła do pokazywania mi tosterów, blenderów, które wolno było używać wyłącznie do przygotowania jedzenia dla Shivani, bo tak córka miała na imię.

Boże, w życiu tego nie zapamiętam, zdążę zabić to biedne dziecko pierwszym posiłkiem i skończę moją życiową przygodę w więzieniu!

Conchita chyba domyśliła się, jakim ogromem wiedzy mnie zasypała, bo od razu powiedziała:

- Nie martw się, z czasem wszystko zapamiętasz, teraz chodź, pokażę ci, jak przygotowujemy menu dla rodziny.

Tutaj zaczęłam się trochę stresować, co prawda gotować potrafię, ale nie jest to wyszukana kuchnia, jaką zapewne preferują mieszkańcy tego domu. Poza tym nie mogę zapomnieć, że jeden z domowników jest wątłego zdrowia, i mała pomyłka może i mnie, i ją drogo kosztować. Spojrzałam na opasłą książkę z przepisami. Każda strona opisywała menu na osobny tydzień. Przejrzałam pozycje - z kilkunastu bez katastrofy kulinarnej potrafiłabym ugotować może cztery. Teraz żałowałam wszystkich przegapionych odcinków Master Chefa...

Tu znowu moja koleżanka zaczęła mnie pocieszać:

- Nie bój nic, nauczę Cię wszystkiego.

Cały czas rozmawiała ze mną, jakbym już co najmniej miała tę pracę. Moje rozmyślenia przerwał dźwięk telefonu. Conchita zostawiła mnie samą i pobiegła go odebrać. Wiem, że to nieładnie, ale przystawiłam głowę do drzwi, żeby podsłuchać, z kim i o czym rozmawia.

Mało usłyszałam, zrozumiałam jednak, że Conchita zachwalała moją osobę jako nadającą się do tej pracy. Prawie fiknęłam koziółka, gdy to usłyszałam – czyżby wreszcie uśmiechnęło się do mnie szczęście?

Conchita wróciła i obwieściła, że pani domu chce się ze mną spotkać i będzie tutaj za pięć minut. Naszły mnie czarne myśli: Co, jeśli zrobię złe wrażenie? Jeśli mnie nie polubi? Jeśli nie będę się umiała dogadać? Jej poziom języka jest na pewno dużo wyższy niż w przypadku mojej nowej koleżanki.

Użalenie się nad sobą przerwał mi dźwięk otwieranych drzwi i szybkie kroki zmierzające w kierunku kuchni. Za moment drzwi od pomieszczenia otwarły się i do kuchni z impetem weszła Rozwan. Osoba, która właśnie wparowała była malutką i niepozorną Hinduską. Ale mimo postury, która nie robiła wielkiego wrażenia, od razu dało się wyczuć, że ona tu rządzi. W jej uśmiechu było coś zimnego. Zapewne z tym swoim uśmiechem na ustach może cię wykopać z pracy, zanim się zorientujesz, że coś się dzieje. Poczułam podświadomie, że nie mogę jej zaufać, że cała jej miła aparycja to tylko gra. Mimo wszystko uśmiechnęłam się od ucha do ucha – nie mogę przecież zapomnieć, że od niej zależy moje być albo nie być.

– Bardzo miło mi cię poznać, zanim siądziemy, przygotuj dla nas wszystkich herbatę.

– Eeee, oczywiście. – Tylko gdzie tu trzymają szklanki. Czajnik. No i tę nieszczęsna herbatę...

Conchita opowiedziała mi historię swojego życia, ale o tak pospolitych rzeczach niestety zapomniała. Na szczęście Rozwan wyszła z pomieszczenia, żeby odebrać telefon. Conchita też zrozumiała swój błąd, bo rzuciła się ku czajnikowi jak zwinna puma. Po dwóch minutach na tacy stała gotowa gorąca herbata.

– O, jesteś szybka – pochwaliła mnie, a raczej Conchitę, Rozwan. –

Jesteś szybka jak pszczołka, więc od dzisiaj będę cię nazywać moją pszczołką – powiedziała z uśmiechem.

- Eeee... starałam się – wybąkałam.

Jakoś przebrnęliśmy przez konwersacje o niczym, w końcu padło oczekiwane przeze mnie pytanie:

- Czy chcesz u mnie pracować? – zapytała Rozwan.

- Oczywiście! – wykrzyknęłam. – Twój dom jest piękny i przebywanie tutaj to będzie czysta przyjemność!

Chyba słyszała to nie pierwszy raz, bo tylko się uśmiechnęła.

- Więc oferuję ci pracę, pokój i pełne wyżywienie. Dodatkowo dostaniesz tygodniowe kieszonkowe.

- O jakiej kwocie mowa?

Cóż, nie była to kwota, o jakiej mogłam marzyć, ale odliczając koszt pokoju oraz jedzenia i tak nie wychodziło źle. Nie zostało mi nic innego, jak tylko się zgodzić.

- Cieszę się, że wszystko ustaliłyśmy, potrzebuję jeszcze tylko twojego dokumentu, żeby sprawdzić cię w bazie kryminalnej.

Moja pytająca mina sprowokowała Rozwan do wyjaśnienia:

- Nie znam cię, więc muszę sprawdzić, czy nie jesteś notowana jako przestępca.

Cóż, miałam nadzieję, że sprawdza tylko państwo, w którym teraz mieszkam, inaczej chyba zostanie mi tylko zmywak.

- Oczywiście – odpowiedziałam nonszalancko, ukrywając, że zaczynam się pocić ze stresu.

- Kiedy tylko dostanę odpowiedź z bazy, możesz zacząć pracę. Dam ci znać za parę dni.

To powiedziawszy, rzuciła niedbale „Cześć” i szybko wyszła. Nie ruszyła swojej herbaty.

Ja musiałam swoją wypić, bo od tych wszystkich informacji zaschło mi w gardle.

- Chodź, podrzucę cię na metro, i tak jadę do miasta – powiedziała Conchita, ubierając kurtkę.

Będąc jeszcze w szoku, zostałam prawie siłą wsadzona do samochodu Conchity i zawieziona na metro.

- Do zobaczenia niedługo, współlokatoro! - krzyknęła na do widzenia i tyle ją widziałam.

Parę dni później otrzymałam od Rozwan informację, że od poniedziałku zaczynam pracę i mam przyjechać razem ze swoimi rzeczami o szóstej trzydzieści rano. Łatwo powiedzieć, ale czy ona wie, ile ja mam rzeczy? Pakowanie swoich gratów odłożyłam na później, teraz do rozwiązania pozostała jeszcze kwestia mojej wyprowadzki z domu. Zadzwoiłam do właścicielki i wyłuszczyłam sprawę, mówiąc, że wyprowadzam się za parę dni.

Odpowiedziała, że nie ma problemu, ale nie odda mi depozytu, bo wyprowadzam się tak nagle, że pokój przez jakiś czas będzie musiał stać pusty. No tak, przez dwie minuty miałam szansę na jakiegokolwiek pieniądze - nadzieja wyparowała szybko jak zawsze. Liczyłam, że moja praca na pewno wypali, bo inaczej moim przeznaczeniem będzie bezdomność.

Wyrzuciłam swoje rzeczy z szafek - nie ma opcji, żebym zabrała wszystkie toboły ze sobą do metra. Nie chcę też pokazać mojej nowej pracodawczyni, że mam tak luksusowy samochód, trochę się to gryzie z wizerunkiem ciężko pracującej housekeeperki. Poza tym nie chcę wywoływać zbędnych pytań i plotek. I bez tego moja nowa tożsamość, którą przedstawiłam w moim CV, ledwo trzyma się kupy.

Samochód więc będzie trzeba odstawić, przynajmniej na początek, na parking strzeżony.

Musiałam wymyślić, jak się przeprowadzić za jednym zamachem. Przejrzałam ogłoszenia w Internecie - mogę wynająć vana z kierowcą, który przewiezie mi wszystko do mojego nowego domu. Problem w tym, że za swoją pracę będzie oczekiwał ode mnie pieniędzy. W portfelu miałam marne grosze. Skąd wykombinuję taką kasę w parę dni? Do tego dochodzi też opłata za parking - nie zaryzykuję drugi raz odbierania auta z parkingu policyjnego.

Kolejna wizyta u jakiegoś miłośnika stóp odpada, dalej wzdrygam się na samą myśl o tym poprzednim, muszę znaleźć coś jednodniowego albo sprzedać coś wartościowego. Nie mam wiele, ale jednak coś mam. Mój największy skarb i narzędzie do realizowania jedynej pasji, jaką



posiadam - lustrzanekę cyfrową.

Moje największe hobby: uwiecznianie na zdjęciach ulotnych chwil i mojej największej miłości - kota. Kiedyś, mimo ograniczonych możliwości finansowych oszczędzałam i co jakiś czas dokupywałam kolejne obiektywy, filtry. Dzięki temu nazbierała się całkiem pokaźna kolekcja.

Nie mam wyboru, aparatem gratów nie przewiozę. Szybko zrobiłam zdjęcia telefonem i wystawiłam lustrzanekę na portalu z drzewkiem w nazwie. Długo nie musiałam czekać - dostałam mail, że wieczorem może podejść chłopak i zabrać sprzęt; w zamian oferował trzycyfrową kwotę, która spokojnie pokryje koszt przeprowadzki. Może nawet zostanie na wino.

Wieczorem, mając łzy w oczach, sprzedałam aparat. Ostatni raz tak się czułam, kiedy musiałam zostawić mojego ukochanego kota pod opieką znajomej starszej pani. Kolejny raz w życiu muszę porzucić coś, co kocham, bo jestem nieudacznikiem. Ile razy jeszcze? I co będzie kolejne? Nerka?

Dzień przed przeprowadzką odprowadziłam moje auto na strzeżony parking. Wracając po raz ostatni do mojego zapyziałego pokoiku, zastanawiałam się, co może przynieść przyszłość. Czy odnajdę się w tym pięknym domu pełnym dziwnych ludzi. Teraz już nie miałam wyboru, powiedziałam A, to trzeba też powiedzieć B.

Za uzyskane ze sprzedaży aparatu środki mogłam sobie pozwolić na wynajęcie vana z kierowcą, który przewiózł wszystkie moje szpargały na drugi koniec miasta. Nie muszę wspominać, że aby dojechać tam na szóstą trzydziści, musiałam zwlec się z łóżka w środku nocy. Na szczęście właściciel samochodu nie odczuwał potrzeby komunikowania się ze mną, więc mogłam trochę odespać.

Podjechaliśmy pod dom, kierowca bardzo uprzejmie wywalił moje toboły na chodnik, skasował należność i bez zbędnych uprzejmości odjechał. Muszę nadmienić, że nie starałam się ładnie poskładać moich rzeczy, więc połowa z nich nie zmieściła się do walizek. Część z gratów musiałam w związku z tym wrzucić do worków na śmieci. Przynajmniej już wiem, jak to będzie, kiedy zostanę bezdomna.

Zastanawiałam się, co powiedzą moi nowi pracodawcy, kiedy zobaczą mnie przed ich wspaniałym domem obładowaną worami na śmieci? Na szczęście na razie nie było mi dane się o tym przekonać, ponieważ o barbarzyńskiej godzinie szóstej trzydzieści dom był pogrążony w ciszy. Stałam niezdecydowana na pobojuwisku z moich worów i zastanawiałam się, co zrobić. Powinnam zadzwonić? Nie chcę rozpoczynać mojej pracy od wyrwania wszystkich z łóżek. Nie mogę też przecież tkwić tu do końca świata, skoro czas rozpoczęcia pracy wyznaczono na ten moment. Może zapukam w okno sypialni Conchity? To okno znajdowało się zaraz koło drzwi wejściowych i mogłam bez problemu do niego sięgnąć.

Moje rozważania przerwało otwarcie się drzwi i ukazanie się w nich rozczochranej głowy Conchity i jej... gołej klaty. Moja koleżanka miała najwyraźniej zero wstydu, bo otworzyła mi drzwi ubrana tylko w majtki. Chyba tylko dlatego, że bardzo przejmowałam się nową pracą, nic na ten widok nie powiedziałam.

- Cześć, wnoś swoje rzeczy, tylko cicho, żeby nikogo nie obudzić - powiedziała, ziewając.

Najciszej jak potrafiłam, zaczęłam wciągać walizki i czarne wory do jej pokoju. Łatwiej było powiedzieć niż zrobić - za otwartymi drzwiami zastałam dokładnie taki sam widok jak ostatnio. Moja nowa współlokatorka nie przejęła się za bardzo moim przybyciem i nie uprzątnęła nawet jednej rzeczy spośród tych leżących na podłodze, gdy byłam tu poprzednio. Nie miałam ani czasu, ani ochoty, by się nad tym zastanawiać, więc wrzuciłam wszystko w jeden kąt, z powodu czego miałyśmy w pokoju malowniczą wieżę ubrań i gratów.

Zastanawiałam się właśnie, co zrobię, gdy będę chciała wyciągnąć coś z moich worków, kiedy zauważyłam, że Conchita wciągnęła na siebie dres i pobiegła do kuchni.

Szybko podążyłam za Conchitą do kuchni.

- Otwórz rolety, włącz telewizor, przynieś stolik dla Shivani! - szybko wyrzucała z siebie komendy.

O ile jeszcze potrafiłam podnieść wszystkie rolety, o tyle nie miałam zielonego pojęcia, gdzie zniknął telewizor i skąd mam wytrzasnąć ten

stolik. Niestety w świecie, z którego ja pochodzę, nie miałam osobnego pomieszczenia, w którym trzyma się tylko stoliki.

Bezradnie stałam na środku pokoju, patrząc na krzątającą się po kuchni Conchitę. Chyba się zorientowała, że nie mam pojęcia, co mam robić, bo szybko zaciągnęła mnie za rękę do małego pokoiku, w którym stały rozmaite krzesła, stoliki – tak, oni mieli pokój, w którym trzymali tylko krzesła i stoliki.

– Weź ten biały i szybko go wytrzyj, ja zapomniałam zrobić to w piątek. Rozwan lubi sprawdzać, czy Shivani je na czystym stoliku!

Dobrze wiedzieć, musiałam zanotować w myślach, żeby zawsze to sprawdzać. Z tego pośpiechu nawet nie przyszło mi do głowy zastanowić się, jak nastolatka je, że brudzi cały stolik. Nie miałam czasu myśleć, szybko uporałam się z wyczyszczeniem stołu... Ale gdzie jest ten telewizor? Stałam, wgapiając się w szafę, na której ostatnio go widziałam. Przecież pięćdziesięciocalowy telewizor nie mógł zapaść się pod ziemię! Nagle drzwi szafy zaczęły się same rozsuwać, a za nimi ukazał się odbiornik. Odwróciłam się, a za mną stała Conchita z wielkim pilotem w rękach, więc chyba była to jej sprawka. Już chciałam zapytać, jak to działa, ale przerwała mi, zanim zdążyłam wydusić z siebie choćby jedno słowo.

– Później ci wytłumaczę, teraz szybko nakryj ten stolik, bo mamy już mało czasu!

Nie wiedziałam za bardzo, jak mam nakryć, bo nikt nie powiedział mi, co ta dziewczyna będzie jadła na śniadanie. Wyciągnęłam pierwszy lepszy talerz, sztucce, szklankę i położyłam wszystko na stoliku.

Przebiegająca obok Conchita rzuciła tylko:

– Mniejszy talerz, do szklanki nalej mleko, postaw drugą z wodą, połóż serwetkę i witaminy! I pospiesz się!

Talerz znalazłam szybko, mleko zlokalizowałam w lodówce, wodę też. Serwetki znalazłam w którejś z przeglądanych szafek. Nie miałam zielonego pojęcia, jakie witaminy mam dać, poza tym biorąc pod uwagę, jakie to dziecko jest chorowite, była szansa, że zejdzie z tego świata nawet po witaminie C. Musiałam znowu posiłkować się pomocą Conchity. Witaminy znalazły się w lodówce. Oczywiście!

Conchita kładła już na talerzu tosty z masłem orzechowym, kiedy do pokoju weszła Shivani. Błada jak ściana, wysoka jak patyk, nie rzuciła nawet okiem w naszym kierunku, całą jej uwagę pochłaniał smartfon, w który wpatrywała się jak w obrazek.

- Cześć - nieśmiało powiedziałam w kierunku głowy schowanej za telefonem - jestem waszą nową housekeeperką.

Zza telefonu doszło mnie jakieś burknięcie, które mogło być zarówno przywitaniem, jak i groźbą pozbawienia życia. Stwierdziłam, że nie ma co na siłę się zaprzyjaźniać, poza tym jestem tu w pracy.

Moje przemyślenia o tym dziwnym dziecku przerwała Conchita.

- Chodź, pokażę ci, jak zrobić sok dla państwa i jak przygotować tacę z herbatą. - Przynajmniej to okazało się w miarę prostym zadaniem.

Nie minęło pięć minut, a do kuchni wszedł wysoki, chudy i absolutnie biały człowiek. Nie przesadzam: miał mlecznobiałą skórę, włosy tak jasne, że aż wydawały się białe; do tego wszystkiego były jeszcze oczy o kolorze rozwodnionego niebieskiego. Jak się okazało, był to mąż Rozwan - Kirk. Rodowity Irlandczyk. Po wejściu do kuchni powiedział coś, ale - z ręką na sercu - nie zrozumiałam ani jednego zdania. Na szczęście Conchita przedstawiła mnie jako nową pracownicę, musiałam tylko wybąkać przywitanie i mogłam z powrotem uciec do garów. Gdy tylko Kirk zniknął na piętrze, zapytałam Conchitę, czy on ma jakąś wadę wymowy, czy to z moim słuchem jest coś nie tak.

- Nie, głupia! On jest z Irlandii, tam wszyscy tak mówią! Jak się o coś pyta, przytakuj, a najlepiej po prostu unikaj rozmowy z nim, i tak nic nie zrozumiesz. Ale nie przejmuj się, on traktuje nas jak powietrze, więc szansa, że będzie chciał z tobą rozmawiać, jest bardzo niska.

Nie ukrywam, ulżyło mi.

Śniadanie się skończyło. Shivani jak rozpoczęła posiłek, tak zakończyła. Z nosem w telefonie wyszła z pokoju i zaczęła ubierać się do wyjścia. Co mnie zaskoczyło, Conchita zawiązywała jej buty, ubierała kurtkę i plecak jak małemu dziecku. Co jest z tą dziewczyną nie tak? Na dół zszedł Kirk ubrany w garnitur, zawołał Shivani i obydwójce wyszli. Gdzie jest Rozwan? Czy ona pracuje w domu? Mam nadzieję, że nie, nie

mam ochoty, żeby szef cały dzień wisiał mi nad głową.

Szybko posprzątałyśmy po śniadaniu.

- Co teraz? - zapytałam.

- Teraz musimy posprzątać sypialnię Shivani. - Conchita wyciągnęła spod zlewu kilka ścierek i poszła na piętro.

Śliczna i schludna sypialnia, jaką widziałam ostatnim razem, przedstawiała aktualnie obraz nędzy i rozpacz. Łóżko wyglądało, jakby całą noc ktoś w nim walczył, ubrania porozrzucone były po całym pokoju, na podłodze zauważyłam rozmazany jakiś kosmetyk. Łazienka nie wyglądała lepiej - wszędzie walające się ręczniki, pasta do zębów rozsmarowana na lustrze.

- Co tu się stało?! - wykrzyknęłam zszokowana.

- Przyzwyczaj się, tu tak zawsze wygląda - odpowiedziała mi Conchita.

Jak takie chude i anemiczne dziecko mogło zrobić taki bałagan?

- Jak często sprzątasz jej pokój? - zapytałam. Może to wynik całotygodniowego bałaganu, a nie tylko półgodzinnego przygotowywania się do szkoły. Niestety Conchita rozwiała moje nadzieje.

- Sprzątałam tutaj w piątek, ale codziennie rano zastaniesz tu dokładnie taki sam widok.

Jak taka elegancka i schludna kobieta jak Rozwan mogła wychować takiego małego bałaganiarza?! Może nie wie, jaki widok zastałaby rano w pokoju, skoro nawet nie wyściubiła nosa ze swojej sypialni...?

Nie miałam czasu na rozważania, trzeba było zabrać się za sprzątanie tego pobojuwiska. Conchita wytłumaczyła, jak sprzątać pokój nastolatki, a nie było to takie oczywiste, jak się wydaje - nie każdemu z nas sprzątaczką myje szczoteczkę do zębów, prawda? Pracę w pokoju skończyłam, polerując buteleczki z kosmetykami - nie wiem za bardzo po co, ale nie jestem bogata, i chyba dlatego nie rozumiem zwyczajów bogatych ludzi.

Nie zajęło nam to wiele czasu, jednak poranny wysięk spowodował burczenie w brzuchu. Albo było tak głośne, albo moja koleżanka też czuła ssanie z żołądku, bo ogłosiła, że robimy sobie przerwę na śniadanie. To mógł być dobry moment, żeby trochę podpytać Conchitę

o zwyczaje panujące w tym domu. Nie zdążyłyśmy jednak poplotkować, ponieważ dołączyła do nas Rozwan i zamiast wymienić się interesującymi szczegółami o niej, ona sama razem z Conchitą wzięły mnie w krzyżowy ogień pytań:

„Skąd jesteś? Masz męża? Masz rodzinę? Gdzie pracowałaś? Co lubisz? Czego nie? ...”.

Kompletnie nie przygotowałam się na takie odpytywanie. Po pierwsze, nie pamiętałam, jakie kłamstwa wpisałam akurat do tego CV, które wysłałam Rozwan, a po drugie nie chciałam pierwszego dnia opowiadać o mojej dość skomplikowanej przeszłości. Na szczęście zadzwonił telefon znajdujący się w torbie Rozwan i po szybkiej rozmowie kobieta jeszcze szybciej wyszła z domu. Odetchnęłam z ulgą, ale wiedziałam, że muszę się przygotować na następny raz.

Po skończonym śniadaniu poszliśmy posprzątać sypialnię Rozwan i Kirka. Po otwarciu drzwi ukazał się dokładnie taki sam obraz jak u Shivani. Wydawało mi się, że Rozwan wyrzuciła całą zawartość swojej szafy i porozrzucała ubrania po całym pokoju. Łazienka wyglądała jakby odprawiano w niej egzorcyzmy. Teraz już wiedziałam, skąd u Shivani takie zamięłowanie do bałaganu - wyssała je z mlekiem matki. Odgruzowanie pokoju i łazienki zajęło nam ponad godzinę. Po pierwszej połowie dnia naszły mnie rozmyślenia o bogatych ludziach. Najwyraźniej są dziwni, bo kto normalny trzyma brudne majtki pod poduszką? Cóż, jak się później miało okazać, był to dopiero początek.

Tego samego wieczoru po kolacji udało mi się wymknąć do ogrodu. Przechodziłam alejkami, wdychając zapach kwiatów. Ścieżka doprowadziła mnie do molo, o którym wcześniej wspominała Conchita. Faktycznie robiło to wrażenie - z tego miejsca miałam wspaniały widok na całe miasto, światła budynków odbijały się w wodzie, tworząc kolorowe mozaiki. Na chwilę znowu zapomniałam, gdzie i po co jestem. Po chwili pojawiło się uczucie, że jestem marionetką, którą los rzuca z miejsca na miejsce. Czy zagrzeję tu miejsce na dłużej, czy znowu będę musiała uciekać jak tchórz? Nie mogłam za długo siedzieć nad wodą, bo spowodowałoby to kolejną lawinę pytań ze strony Conchity - muszę bardzo uważać, co przy niej mówię, jest nie tyle może nawet ciekawska,

ile bardzo gadatliwa.

Reszta mojego pierwszego dnia upłynęła na gotowaniu i sprzątaniu po jedzeniu. O dwudziestej pierwszej usłyszałam wreszcie, że mój dzień pracy się skończył. Jak na skrzydłach poleciałam do naszego pokoju posprzątać pobojuwisko złożone z moich walizek i ubrań mojej współlokatorki. Conchita zrzuciła kilka swoich ubrań i powiedziała, że to są moje półki, na których mogłam się rozłożyć. Poukładałam mniej więcej wszystko. Większość ubrań z powodu leżenia w worze przez cały dzień wyglądała jak wyciągnięta psu z gardła – muszę kiedyś znaleźć chwilę, żeby to uporządkować. Wreszcie, po szybkim prysznicu, skonana położyłam się na górnym łóżku. Odnotowałam w myślach, że Conchita odpuściła sobie wieczorny prysznic i tak jak rano miała na sobie tylko majtki, dokładnie te same co rano.

Byłam za bardzo skonana, żeby głębiej się nad tym zastanawiać, usnęłam w momencie, gdy przyłożyłam głowę do poduszki.

W moim kraju mówią, że to, co przyśni ci się pierwszej nocy w nowym miejscu, spełni się. Śniło mi się, że jestem w dziurze pełnej jadowitych pajaków i węży, próbowałam z niej uciec, ale za każdym razem spadałam z powrotem. Obudziłam się w środku nocy zrana potem. Miałam nadzieję, że nie trafiłam do miejsca z moich koszmarów.

Rano budzik zerwał mnie z łóżka o barbarzyńskiej godzinie szóstej rano. Za oknem było jeszcze ciemno, półspiąca ubrałam się i poszłam do kuchni. Czułam ból w każdym mięśniu i każdej kości. Dawno nie dostałam takiego wycisku jak wczoraj. Liczyłam, że dzisiaj będę mieć chociaż jedną wolną godzinę, żeby położyć się spać. Na przemian ziewając, przygotowałyśmy śniadanie. Po doświadczeniach wczorajszego dnia, dzisiaj rozpoczęłam pracę uzbrojona w zeszyt i długopis – postanowiłam spisywać wszystkie rady i przepisy Conchity odnośnie posiłków oraz zwyczajów w domu; bałam się, że zapomnę o czymś istotnym i pożegnaj się z moją pracą, a co za tym idzie z ciepłym łóżkiem.

## Brudy spod łóżka

Nikt w tym domu nie zaprzętał sobie głowy wrzuceniem brudnej bielizny do kosza na pranie; jedzenie porozrzucane po całym pokoju też na nikim nie robiło wrażenia. Codziennym standardem stało się wygrzebywanie strawy z dywanów i usuwanie nieznanego pochodzenia plam z luster. Jak można posiadać taki piękny dom wypełniony drogimi meblami i zostawiać po sobie taki bałagan?! Czy przyszło im to wszystko tak łatwo, że kompletnie niczego wokół siebie nie szanują? Nie mieściło mi się to w głowie. W czasach, kiedy miałam pod dostatkiem pieniędzy, w dalszym ciągu potrafiłam szanować i doceniać to, co mam. Ale jak na razie, wydaje mi się, że jestem w zdecydowanej mniejszości.

- Jeżeli to cię zaskoczyło, poczekaj, aż będzie jakaś impreza, wtedy zobaczysz, co to prawdziwy bałagan - ostrzegła mnie Conchita.

Cóż, patrząc na to, co zastałam po zwykłym poranku, domyślałam się, czego mogę się spodziewać.

Zazwyczaj po wygraniu walki z bałaganem w sypialniach musiałam stać w pralni przy desce do prasowania i mierzyć się z lawiną świeżego prania. Na samym początku Conchita ostrzegła mnie:

- Przyłóż się do koszul Kirka, jak zauważy jakieś zagniecenie, będziesz miała rozmowę dyscyplinującą! - Przytaknęłam głową i zabrałam się do prasowania.

Mimo że było to ciężkie zadanie, cieszyłam się, że zostawałam chociaż na chwilę sama. Wreszcie chwila dla siebie. Cisza i spokój, mogłam trochę przemyśleć kwestię swoich początków w tym zwariowanym miejscu. Rodzina, z którą zaczęłam zamieszkiwać w moim nowym lokum, wydawała się składać z niezłych czubków, ale jakie miałam inne wyjście? Mam dach nad głową, lodówkę pełną jedzenia, nawet trochę będą mi płacić. Wymachiwałam żelazkiem i pochłonęły



mnie rozmyślania, jak to będzie. Trochę się obawiałam, czy podołam nowym obowiązkom. Nie mam wyboru: albo zbiorę się w sobie i dam sobie radę, albo będę musiała zamieszkać w samochodzie, a ostatnio noce są dość chłodne.

Prasowanie szło mi dość opornie, nad każdą koszulą spędzałam kilkanaście minut. Skrupulatnie sprawdzałam każdy centymetr w poszukiwaniu zagnieceń. W takim tempie będę prasować cały dzień. Ze stresu ścisnęłam żelazko tak mocno, że na rękach zrobiły mi się bolesne odciski. Ale efekt końcowy był zadowalający, kantami na rękawach koszul szłoby kroić chleb. Niestety ilość energii, którą musiałam włożyć w wykonanie tak prostego zadania, nie nastroiła mnie pozytywnie. To dopiero początek mojej pracy tutaj, pierwsze samodzielne zadanie, a ja już nie daję rady.

Z zamyślenia wyrwała mnie Conchita.

- Chodź, zaraz lunch! Musimy się przygotować!

Porzuciłam moje żelazko i pobiegłam za nią do kuchni.

- Nakryj do stołu w jadalni - rzuciła mi polecenie.

Na szczęście już wiedziałam, gdzie są potrzebne mi do tego rzeczy. Jediną przeszkodę stanowił fakt, że stół w jadalni miał miejsce na dwanaście nakryć, a ja w sumie nie wiedziałam, ile osób pojawi się na lunchu. Założyłam, że będzie jedynie Rozwan i Kirk, więc poukładałam naczynia dla dwóch osób. Conchita przyszła sprawdzić, jak mi idzie, i krytycznym wzrokiem spojrzęła na stół.

- Niech tak już zostanie, jutro pokażę ci, jak się nakrywa do stołu.

Uff, tym razem mi się upiecze. Wróciłam do kuchni, w której w garnkach był już gotowy lunch, i szybko przejrzałam ich zawartość. Jakieś zupy, gotowane jajka i tosty, z tym sobie chyba poradzę, gdy będę musiała sama je zrobić. Głośny dźwięk dzwonka zagonił mnie pod drzwi. Po ich otwarciu zobaczyłam Rozwan i jakiegoś mężczyznę. Zastanowiło mnie jeszcze jedno: Nie mieli kluczy, że musieli dzwonić?

- Anno, to mój brat Malik - rzuciła Rozwan i poszła do kuchni.

- Dzień dobry - przywitałam się z najmiłym uśmiechem, na jaki było mnie stać.

- Cześć, to ty jesteś tą nową sprzątaczką? - rzucił gdzieś ponad

moją głową, nie zaszczyciwszy mnie nawet jednym spojrzeniem.

Czy wyglądam, jak jakaś pospolita sprzątaczką? Jestem housekeeperką - zdążyłam pomyśleć.

- W następną sobotę moja córka potrzebuje opieki, przyjdź na ósmą rano - znowu rzucił to zdanie gdzieś w nieznanym kierunku i nawet nie czekając na moją reakcję, ruszył w kierunku jadalni.

Nie zdążyłam nawet pomyśleć nad jakąś odpowiedzią... Jak to sobota? Sobota to mój wolny dzień, niekoniecznie chcę go spędzić w towarzystwie jakiegoś nieznanego mi dziecka. Koniecznie muszę potem wypytać Conchitę, o co chodzi.

Pobiegłam szybko do kuchni, żeby zobaczyć, co tam się dzieje. Kątem oka zauważyłam, że lunch był już podany. Chciałam trochę odpocząć po porannym sprzątnięciu, ale nawet nie zdążyłam spojrzeć w kierunku krzesła, kiedy Conchita wcisnęła mi w rękę szmatkę z jakimś detergentem.

- Bierz to, idź w miejsce, z którego będą cię widzieć, i sprzątaj.

- Ale co mam sprzątać? - zdziwiłam się. - Nawet mimo wcześniej przygotowywanego w niej posiłku kuchnia jest czysta.

- Cokolwiek! Byleby wyglądało, że jesteś zarobiona - odpowiedziała Conchita.

To nie moja pierwsza praca - w udawaniu zapracowanego człowieka jestem mistrzem. Wzięłam detergenty, zakasałam rękawy, z małym stołkiem pod pachą poszłam do witryny z różnymi szklankami i kieliszkami. Pucowałam szkło z taką pasją, że aż się spociłam. Po dwudziestu minutach wszystko lśniło, ale Rozwan z bratem dalej siedzieli przy stole, a przecież zgodnie z instrukcjami Conchity nie mogłam teraz usiąść. Wzięłam czyste już szkło i rozpoczęłam proces polerowania raz jeszcze. Wreszcie skończyli lunch, Rozwan weszła do kuchni i rzuciła w moją stronę:

- Jesteś pracowita pszczołka, to lubię: małe pracowite pszczołki.

Nie wiedziałam, czy właśnie mnie pochwaliła, czy wyśmiewa się ze mnie, nie pozostało mi więc nic innego, jak uśmiechnąć się do niej. Myślę, że moja rozmówczyni szczególnie się moim uśmiechem nie przejęła, bo odpowiedzią na niego było trzaśnięcie frontowych drzwi.

Z ulgą zesłam z krzeselka, ręce bolały mnie od polerowania szkła. Poszłam zobaczyć, jak wygląda jadalnia po lunchu. Widok, który zastałam, nie zaskoczył mnie – brudne talerze, jedzenie na stole i na podłodze, wszędzie walające się serwetki. Zabrałam się za sprzątanie tego pobojuwiska. Bałagan, jakby co najmniej dwanaście osób jadło. Już nie mogłam się doczekać obiadu.

- No, to teraz mamy czas dla siebie. - To powiedziawszy, Conchita zgarnęła paczkę chrupek i poszła położyć się na kanapie. Sekundę później do moich uszu dobiegła muzyka z kanału nadającego filmy Bollywood.

A co ja mam teraz robić? Postanowiłam na własną rękę pozwiedzać dom.

Zaczęłam od ogromnego salonu. Ciemna drewniana podłoga współgrała z ciężkimi i masywnymi meblami. Na szklanych półkach stały piękne rzeźby inspirowane hinduskimi bóstwami. W wykuszu ustawione zostały kanapy, na których siadając, można było się rozkoszować widokiem na park. W powietrzu unosił się zapach drewna i skóry, niczym w muzeum.

Nieco z boku znajdowało się pomieszczenie od podłogi do sufitu wypełnione regałami. Uginały się one od rozmaitych urządzeń kuchennych, nie brakowało tam nawet fontanny do czekolady! Po drugiej stronie pomieszczenia wystawiona była cała zastawa stołowa, która była używana w domu. Piękne kryształowe kieliszki i cienka porcelana lśniły w blasku popołudniowego słońca. Stałam jak zaczarowana, dotykając tych wspaniałych rzeczy. Jaka szkoda, że będę mieć z nimi kontakt tylko wtedy, gdy będę je czyścić. Ale przynajmniej mogę się otaczać tymi wspaniałościami – na początek dobre i to. Weszłam po schodach na drugie piętro, nawet nie spojrzałam w kierunku sypialni – po dzisiejszym kolejnym maratonie sprzątanania miałam już dość tego pomieszczenia – tylko skierowałam się prosto do pokoju przeznaczonego do medytacji. Tutaj nie dochodziły dźwięki z parteru, więc cisza aż dzwoniła mi w uszach. Usiadłam na miękkim fotelu i spoglądałam na rzekę. Widok zrelaksował mnie i rozluźnił. Rzeka błyszczała na końcu ogrodu, można się było poczuć jak w bajce. Chyba usnęłam, bo kiedy

otworzyłam oczy, zobaczyłam nad sobą Conchitę.

Skoczyłam jak oparzona, zaczęłam przeproszać, że się zasiedziałam.

- Czym się przejmujesz? - zapytała. - Jak państwa nie ma w domu, to możesz korzystać, z czego chcesz. Zapamiętaj jedną zasadę: jak Rozwan jest w domu, cały czas coś robisz, nawet jeżeli jest to rzecz, którą już zrobiłaś. Ona lubi widzieć, że pracujesz, będzie wtedy zadowolona, a ty będziesz miała spokój.

- A Kirk? - zapytałam.

- Kirk nie ma w tym domu nic do powiedzenia. Interesuje go tylko, czy ma czystą koszulkę do pracy, poza tym dla niego jesteś tylko nic nieznaczącym trybikiem w tym domu. On wraca z pracy, je obiad i zamyka się w biurze. Tylko gdy pracuje w domu, chce dostać dwa razy dziennie herbatę - odpowiedziała ze śmiechem Conchita.

Więc moją szefową jest Rozwan i to jej mam się bać, dobrze wiedzieć. Muszę zacząć bardziej wypytywać Conchitę, zdaje się, że lubi plotki - muszę to wykorzystać.

- Chodź, już późno, musimy zacząć gotować obiad dla Shivani - powiedziała, ciągnąc mnie za rękę.

Posłusznie podreptałam za Conchitą do kuchni. Wychodzi na to, że to właśnie w tym pomieszczeniu będę spędzać najwięcej czasu.

- O co chodzi z tym dzieckiem, którym mam się opiekować? - zagadnęłam Conchitę podczas obierania ziemniaków.

- To córka Malika. Oni są zbyt zapracowani, żeby się nią zajmować, więc kiedy ich opiekunka ma wolne, to ty musisz przyjść zająć się małą.

- Ale muszę?! To przecież mój dzień wolny - odpowiedziałam.

- Cóż, dla nich nie masz wolnego, traktują cię jak swoją własność i dysponują twoim wolnym czasem według swych upodobań. - Spojrzała na mnie i dodała: - Tylko od ciebie zależy, jak bardzo napracujesz się w tej pracy. Obserwuj mnie uważnie przez najbliższe dwa tygodnie, to zobaczysz, jakie tu są zasady i jak je obchodzić... A, i jeszcze jedno: Jak będziesz u Malika w domu to uważaj, co robisz i mówisz, w całym domu są kamery i mikrofony.

- Ale mimo wszystko zapłacą mi coś? - Miałam nadzieję, że za

poświęcenie mojego wolnego dnia wpadnie mi coś do portfela.

- Nie nazwała bym tego super kasą, ale starczy ci na waciki - odpowiedziała moja koleżanka ze śmiechem.

Mnie niestety wcale do śmiechu nie było. Nie dość, że zostałam do tego zmuszona, to jeszcze dostanę za to grosze. Zastanawiało mnie jeszcze jedno: Malik i jego żona nie mają czasu na opiekę nad dzieckiem, ale mają czas, żeby gapić się na mnie przez kamery? Czy on trzyma sztabki złota pod poduszką, że zrobił z domu taką fortecę? - zastanawiałam się w myślach. Patrząc na ogrom obowiązków czas szybko zleci, więc niedługo przekonam się sama...

\*

Tego samego dnia wieczorem Rozwan wkroczyła dziarskim krokiem do kuchni i obwieściła, że organizuje kolację przy świecach dla swoich partnerów biznesowych. Jak stwierdziła, zaprosiła kilka osób - łącznie mieliśmy oczekiwać dwanaściorga gości. Czyli w końcu doczekam się sławnego przyjęcia u Rozwan.

- Co ugotujecie? - zapytała Rozwan.

Mnie cisnęło się na usta, że może bezpieczniej będzie coś zamówić, chyba że nie darzy swoich gości zbyt wielką sympatią.

- Kaczkę zapiekaną w pomarańczach! - krzyknęła Conchita.

- Wspaniały pomysł - podjęła Rozwan. - Do tego kilka rodzajów warzyw, przystawka i deser, czyli już wiecie, co robić. Kolacja w piątek o 18!

I tyle ją widziałam - jako „Do widzenia” usłyszałam trzaśnięcie drzwi wejściowych.

Zaraz, skoro kolacja jest w piątek, a dzisiaj jest środa, to znaczy, że mamy tylko dwa dni, żeby się przygotować - to zdecydowanie za mało czasu, żeby nauczyć się gotować!

Po tej wiadomości dnia zaczęłam się stresować: jeśli każą mi coś ugotować, to jest szansa, że się potrują; jeśli będę musiała podawać do stołu, kaczką może wylądować na czyichś kolanach - to może być koniec mojej kariery jako houskeeperki. Wszystko leciało mi z rąk, nie potrafiłam na niczym się skupić, bo cały czas myślałam o tej

nieszczęsnej kolacji. Conchita chyba zauważyła, że jestem nieswoja, bo zapytała:

- Chyba nie stresujesz się tą kolacją? Będzie dobrze, będziesz podawała jedzenie dzieciakom, a mnie będziesz się przyglądać, jak podaję dorosłym.

Myślałam, że ją wyściskam z radości. Z lżejszym sercem wykonywałam swoje obowiązki.

Wieczorem Rozwan przyszła do mnie i poprosiła mnie do swojego biura. Serce prawie mi stanęło; szybko zrobiłam rachunek sumienia, co mogłam zrobić źle. Do biura weszłam na miękkich nogach.

- Od tego tygodnia będziesz robić za mnie zakupy w sklepie online. Tu masz listę, a tu moją kartę do płatności. Wrócę za pół godziny, żeby sprawdzić, czy wszystko zrobiłaś dobrze.

Znowu ulga - co, jak co, ale w internetowych zakupach jestem niezła. Lata wydawania kasy przez internet zrobiły swoje. Z tym zadaniem uwinęłam się w piętnaście minut. Lista zakupów była imponująca, a kwota końcowa opiewała na moje kilkutygodniowe wynagrodzenie. Cóż, życie bogatych. Rozwan wróciła, szybko przejrzała listę i pochwaliła mnie - mam wrażenie, że chyba ostatni raz.

- Pszczółka, bardzo dobrze.

Już miałam wychodzić z biura, kiedy w kącie zauważyłam leżącą paczkę z Ikei.

- Byłaś na zakupach? - starałam się zagaić.

- Tak, ale muszę czekać, aż moja złota rączka wróci z urlopu, żeby mi złożył tę szafkę.

Serio? Macie ludzi od takich pierdółek?

- Ja ci mogę ją złożyć, jak chcesz, w domu nieraz musiałam sama składać meble, myślę, że poradzę sobie z jednym kontenerem - rzuciłam, licząc, że Rozwan nie skusi się na moje usługi.

- Potrafisz takie rzeczy?! - Spojrzała na mnie z takim wyrazem twarzy, jakbym co najmniej obwieściła, że pracuję w NASA, a u niej sprzątam, bo się nudzę.

- Mogę spróbować - wyjąkałam.

Pożałowałam trochę, że się pochwaliłam takimi umiejętnościami.

Tak właściwie to zazwyczaj przyglądałam się komuś, kto składał meble, które sobie kupiłam.

- Super, w kuchni znajdziesz potrzebne narzędzia, ale pamiętaj, że jak zniszczysz, odliczę ci to od wypłaty! Teraz możesz odejść. - Odwróciła się do mnie plecami, uznając naszą rozmowę za zakończoną.

W tym momencie już całkiem poważnie żałowałam, że się wychyliłam, ale cóż, nie powiem przecież teraz, że coś mi się pomyliło i chyba jednak nie potrafię składać mebli. Wzięłam paczkę pod pachę i zamknęłam się w jednym z pokoi dla gości, żeby w spokoju złożyć to ustrojstwo.

Wysypałam całą zawartość na podłogę, uważnie przestudiowałam instrukcję i wiedziałam jedno - mam przesrane. Dwa głębokie oddechy i zabrałam się za skręcanie. Może lepiej byłoby powiedzieć: chciałabym się zabrać, ale jak na razie to tylko patrzyłam na misz-masz śrub, podkładek, nakrętek. Ogarnęła mnie czarna rozpacz, cały ten bałagan wyglądał jak moje życie - wszystko pomieszane, niezorganizowane. Łzy nabiegły mi do oczu - z każdą rzeczą, za jaką się zabieram, kończę w ten sposób. Siedziałam taka zapłakana, patrząc z niechęcią na nieszczęsny kontener. Nie! Przez głupią szafkę nie stanę się znowu bezdomna i jeszcze bardziej żałosna! Choćbym miała tu przyrosnąć, to złożę to do kupy. Podniosłam zmiętą w kulkę instrukcję i krok po kroku, zagryzając ze złości zęby, złożyłam tę przeklętą szafkę. Nie było to proste, przez moment prawie wyszło mi krzesło zamiast szafki, ale w końcu mi się udało. Wytarłam twarz, żeby nie dać po sobie poznać, ile cierpienia mnie to kosztowało, i zawlokłam kontener do biura Rozwan.

- Patrz, skończyłam! - Z uśmiechem zaprezentowałam swoje dzieło. Nawet nie wyglądało tak źle. Poproszę o referencje, jak mnie Rozwan zwolni, będę składać meble w Ikei.

- No proszę, moja pszczołka ma wiele talentów. Bardzo ładnie. Zanieś to teraz do mojej garderoby i przełóż wszystkie moje podręczne kosmetyki, nie zapomnij ich powycierać, kilka z nich się wylało - rzuciła kolejny rozkaz.

Czyli wkopałam się w kolejne zadanie w pakiecie. Zaciągnęłam szafkę do garderoby, otworzyłam półkę, z której miałam wyciągnąć

rzeczy, a moim oczom ukazał się istny drogeryjny armagedon – wszystko porozrzucane, pobrudzone podkładem, na każdej możliwej powierzchni brudne odciski palców. Nie muszę chyba wspominać, że wartość tych kosmetyków była kosmiczna. Rozwan nie kupowała budżetowej kolorówki w Bootsie. Swoją drogą, jak na taką ilość tapety efekt był raczej mizerny. No nic, nie miałam innego wyboru, jak ogarnąć ten bałagan.

Dobrze nie skończyłam, a usłyszałam wołanie Conchity, że już czas podawania do stołu, czyli mogłam iść posprzątać po gotowaniu.

\*

Szybko nadszedł wyczekiwany piątek. Już od rana czuć było w posiadłości nerwowy nastrój. Kirk i Rozwan zostali w domu, żeby osobiście wszystko nadzorować, co jeszcze potęgowało napięcie. Mnie przypadło w udziale sprzątanie jadalni i salonu. Rozwan oświadczyła, że osobiście sprawdzi każdą powierzchnię, czy gdzieś nie przegapiłam jakiegoś pyłku kurzu. Z duszą na ramieniu szorowałam każdy centymetr pokoju. Posąg Buddy polerowałam z taką pasją, że prawie startłam z niego namalowane ozdoby. Chyba faktycznie musiałam stanąć na wysokości zadania, bo po inspekcji Rozwan nie dała mi bury – interpretuje to więc tak, że przeszłam test.

Następne polecenie dotyczyło przyniesienia szampana z piwniczki. Dostałam dokładną listę butelek, które mam przynieść. Spojrzałam na nazwy wypisane na kartce – nie potrafiłam wymówić ani jednej. Mimo to nawet się cieszyłam, że zwiedzę piwniczkę, bo nie miałam jeszcze okazji tam zawitać. Pomieszczenie było niewielkie, przypominało kaplicę, w której w roli bóstwa występował szampan. Rozglądałam się, co leży na półkach, zauważyłam, że każda butelka lśni czystością, więc nawet tu panował rygor Rozwan. Jako że miałam przy sobie swoją komórkę, z ciekawości przepisałam nazwę z jednej z butelek i wrzuciłam w Google. Przejrzałam rezultaty i gdy zobaczyłam ceny za butelkę trunku, oczy zrobiły mi się okrągłe. Powoli i z wielką starannością wyciągałam poszczególne butelki z półek – nie było to proste, butelek były dziesiątki, poukładanych bez żadnego uporządkowania, jeśli chodzi



o marki. Szło mi też powoli dlatego, że teraz już wiedziałam, że gdyby jedna butelka upadła i się potłukła, to żeby pokryć koszt, musiałabym sprzedać moją nerkę. W końcu pozbierałam wymagane trunki i odniosłam do jadalni.

Ta wyglądała teraz jak z bajki. Wszędzie poustawiano małe świeczniki, stół udekorowano na złoto. Jeśli Rozwan chciała zrobić na swoich gościach wrażenie przepychu i bogactwa – w stu procentach jej się to udało.

Niedługo potem zapukał do drzwi pierwszy gość – moim zadaniem było witać przychodzących i prowadzić do salonu na lampkę szampana. Na szczęście Kirk dobrotliwie wyręczył mnie z otwierania butelek, inaczej ktoś mógłby stracić oko. Trzęsącymi się rękami nalewałam drogi trunek, starając się nie uронić ani kropli. Nawet nieźle mi szło, praktyka na tanim winie się opłacała.

Gdy wszyscy goście uraczyli się szampanem, zasiedli do stołu i oczekiwali na potrawy. Ja w tym czasie zostałam oddelegowana do nakarmienia kwiatu młodzieży. Grupka dzieciaków siedziała na kanapach; mimo włączonego telewizora każde z nich wgapiło się w swoje telefony. Rozłożyłam przystawki i napoje. Wróciłam po piętnastu minutach – żadna z pysznych kanapek nie była nawet ruszona. Nie wiedziałam za bardzo, co mam zrobić – czy nakładać im jedzenie, czy co? W sukurs przyszła mi Conchita, kazała pozbierać przystawki i zanieść danie główne. Porozkładałam na stole pachnące dania i próbowałam zwrócić na siebie uwagę Shivani; wykorzystałam moment ładowania się aplikacji w jej telefonie i wzrokiem dałam jej do zrozumienia, że jedzenie jest na stole.

– Oh tak! – roztargniona odezwała się do swoich znajomych. – Eeee, chyba powinniśmy coś zjeść.

Dzieci, jak wybudzone z letargu zombie, zaczęły wracać do rzeczywistości. Każde z nich ponakładało sobie porcje na talerze. Z jednym wyjątkiem, którym był gruby rudzielec z twarzą jak księżyc w pełni.

– Ej, dziewczucho! – W pierwszym momencie nie wiedziałam, do kogo jest skierowane to nonszalanckie zawołanie. – Mówię do ciebie... Boże,

Shivani, znowu macie przygłupią służącą? – wywracając oczami zapytał uroczy młodzieniec.

- Co mogę dla pana zrobić? – zapytałam z ironią w głosie.

- Jak to co?! A kto mi nałoży jedzenie na talerz?! – W jego głosie wybrzmiewał prawdziwy wyrzut.

Serio? Masz piętnaście albo więcej lat i nie umiesz sobie nałożyć jedzenia na talerz? Do buzi też mam ci nałożyć? Zdążyłam sobie tylko tyle pomyśleć, a rudzielec już wyrzucał z siebie kolejne zdania:

- Szybko, bo mi ostygnie jedzenie. Powiem mojemu tacie, że kazałaś mi jeść zimne, mogę się od tego pochorować!

Zagryzając zęby ze złości, nałożyłam mu jedzenie, podałam talerz i już chciałam odejść, kiedy usłyszałam:

- A sztucce? Podaj mi je! – wysyczał, patrząc na mnie małymi świńskimi oczkami.

Serio? Mam ci podać sztucce? Ty parowo, co jeszcze?! Może pogryźć za ciebie też mam, ty rudy grubasie?

Zamiast całej wiązanki, która cisnęła mi się na usta, podałam tłuściochowi sztucce. Bycie rudym to dla niego wystarczająca kara. Może udławi się kością z kaczki.

Przyszłam do kuchni, która wyglądała, jakby wybuchła w niej bomba. Conchita już zносиła talerze z przystawek, też prawie nieruszone.

- Co się stanie z tym jedzeniem? – zapytałam, bo zaczęłam czuć ssanie w brzuchu.

- Jak to co? Zjemy je zaraz! – odpowiedziała Conchita z uśmiechem.

Musiałśmy być obydwie bardzo głodne, bo wyczyściłyśmy talerze przystawek do zera.

Nie mając wyboru, musiałam iść pozbierać talerze po głównym daniu i podać napoje. W myślach powtarzałam sobie jak mantrę, żeby ignorować rudzielca. Na szczęście wszyscy zjedli i zajęli się z powrotem swoimi telefonami. Zebrałam cześć talerzy, już liczyłam, że uda mi się uniknąć kolejnego poniżenia, kiedy grubas, wstając do toalety, całkowicie nieprzypadkowo zahaczył o stół, zrzucając kilka talerzy i sztucców.

- Ups, nie chciałem - powiedział z szyderczym uśmiechem. - Tylko się z tym pospiesz, nie chcę wdepnąć moimi skórzanymi butami w ziemniaki, musiałybyś je wtedy wyczyścić - rzucił na odchodnym.

Ze łzami w oczach wycierałam podłogę pod nogami rozpieszczonych dzieciaków. Wychodzi na to, że Malik dobrze mnie nazwał ostatnio: służąca - tym właśnie się stałam w mojej wymarzonej pracy.

Posprzątałam szybko i uciekłam do kuchni. Conchita, widząc moją niewyraźną minę, powiedziała:

- Nie przejmuj się, dla nich to normalne zachowanie. W ramach rewanżu naplułam im do jedzenia!

Od razu wstąpił we mnie lepszy humor. Czyli balans pomiędzy bogatymi a biednymi został zachowany.

Kolacja skończyła się grubo po północy, w marzeniach byłam już w łóżku i spałam do bólu. Niestety, do rzeczywistości przywołała mnie Conchita.

- Jeszcze musimy posprzątać i dopiero wtedy możemy się położyć.

Co miałam zrobić? Ziewając, zbierałam talerze i kieliszki ze stołu. Kiedy kuchnia i salon wyglądały już idealnie, marzyłam tylko o pójściu spać. Wzięłam szybki prysznic - muszę wtrącić, że współlokatorka znowu go sobie odpuściła - i zajęłam moje piętrowe łóżko, które w tym momencie wydawało mi się najwygodniejsze na świecie.

Tak jak przypuszczałam, kolejny tydzień zleciał bardzo szybko, a niestety moją wolną sobotę miałam spędzić u Malika. Nie ukrywam, stresowałam się, wiedziałam, że jest to nic innego jak kolejny sprawdzian umiejętności.

## Kocham cię od zaraz

Rano, punkt ósma, stawiałam się przed okazałym domem Malika. Liczył on sobie cztery piętra i leżał tuż nad malowniczą przystanią. Nieśmiało zapukałam do drzwi, które natychmiast się otworzyły. Za nimi ukazała się dziewczyna o nieprzeciętnych wymiarach. Stop! Nie, ona po prostu była olbrzymia! Jednak mimo nieprzeciętnego obwodu w pasie jej twarz była bardzo ładna. Nie wiem, czy była to zasługa jej genów, czy wręcz teatralnego makijażu, który zdobił jej twarz. Spojrzałam krytycznie na siebie - rozciągnięty dres, kołtun na głowie i twarz nietknięta kosmetykami. Właśnie sobie uświadomiłam - zamieniam się w Conchitę! Z niewesołych myśli wyrwał mnie donośny głos mojej nowej znajomej:

- Cześć, ty jesteś Anna, tak? - Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się i ruszyła w głąb domu.

Jak zwykle w takiej sytuacji, nie wiedziałam za bardzo co robić, ale stanie jak głupek przed drzwiami odpadało. Poszłam więc jej śladem. Nie wiedziałam, czy to żona Malika mi otworzyła, czy też ich opiekunka do dziecka.

Idąc tropem kobiety, dotarłam do pokoju wyglądającego jak plan bajki Disneya. Od góry do dołu maskotki, gry, zabawki; obowiązkowo ogromny telewizor z konsolą oraz mała kuchnia w rogu pokoju.

- To jest pokój zabaw Shan, zaraz ją przyprowadzę, żebyście mogły się poznać. Masz się nią zajmować do pierwszej, wtedy zejdą jej rodzice. - Czyli to była opiekunka, nie matka. - Mam nadzieję, że Conchita wszystko ci wytłumaczyła. - To powiedziawszy, kobieta puściła do mnie oko. Zapewne chodziło o kamery i mikrofony.

Odmrugnęłam i powiedziałam:

- Jasne, wiem, o co chodzi, nie mogę się doczekać, żeby poznać Shan. Czy mam jej przygotować posiłek? - W głębi ducha miałam

nadzieję, że nie, bo znając tutejsze dzieciaki, ma milion alergii.

- Obiad jest już gotowy, zje go, jak ty pójdziesz do domu, a tak w ogóle mam na imię Laura, dzisiaj jest mój dzień wolny, dlatego ty tutaj przychodzisz.

Z niecierpliwością czekałam na moją małą podopieczną, mając nadzieję, że okaże się bezproblemowym dzieckiem, które będzie potrafiło zająć się same sobą. Plan był prosty: czas szybko mi zleci, skasuję moją należność i będę mogła pójść do domu.

Jej nadejście zwiastował głośny tupot na schodach i śpiew jakiejś dziecięcej piosenki. Po sekundzie do pokoju wpadła mała dziewczynka. Spojrzała na mnie bystrymi oczami i powiedziała:

- Kocham cię! Od dzisiaj będziesz moją mamusią?

Zaskoczona nie wiedziałam, co powiedzieć, nie spodziewałam się aż takiej wylewności.

- Shan, głuptasku, przecież twoja mama jest na górze - szybko odpowiedziała Laura.

- Moja mamusia nie ma dla mnie czasu, dlatego szukam nowej - z rozbijającą szczerością wypaliła Shan i pobiegła w kierunku pudła z maskotkami.

- Cóż, chyba już wiesz, jak to tu wygląda. Powodzenia dzisiaj, postaram się być w okolicy około pierwszej, to odprowadzę cię do domu.  
- Laura odpłynęła w kierunku drzwi wejściowych.

Nie miałam za dużo czasu na rozmyślanie o sytuacji sprzed chwili, ponieważ Shan ciągnęła mnie już w kierunku ogromnej szafy wypełnionej gramami. To chyba na tyle, jeśli chodzi o zajęcie się samą sobą. Plus tej sytuacji był taki, że zgodnie z planem czas przeleciał bardzo szybko. Około pierwszej zadzwonił telefon stojący w pokoju Shan. Na początku go zignorowałam, ponieważ nie mam w zwyczaju odbierać telefonów w obcym domu. Telefon jednak nie przestawał dzwonić, więc w końcu zebrałam się na odwagę i podniosłam słuchawkę.

- Halo? - zapytałam nieśmiało.

- Cześć, widzę, że dobrze się bawisz z Shan. - Po drugiej stronie był Malik, więc plotki o kamerach okazały się prawdą.

- Tak, świetnie spędziłyśmy razem czas, to wspaniałe dziecko -

próbowałam się trochę przypodobać.

- Tak, mniejsza z tym. Zaprowadź, proszę, Shan na pierwsze piętro, posadź w jej krzeselku i możesz odejść. Zatrzaśnij za sobą drzwi... A, byłbym zapomniał, na stole są pieniądze za twoją pracę. - I trzasnął słuchawką.

Ale jak to, mam zostawić dzieciaka samego?! Choć z drugiej strony, kimże ja tu jestem, żeby zadawać pytania? Poza tym na górze była kasa. Wzięłam Shan za rękę i poprowadziłam do góry, pokonując po drodze dwie bramki zabezpieczające schody - oni mają dziecko czy dzikie zwierzę? Weszłam na piętro. Moim oczom ukazał się piękny ogromny salon, jadalnia i nowoczesna kuchnia. Łączyło je jedno - wszędzie panował bałagan. Podłoga straciła swój połysk z powodu dużej liczby lepkich plam, na każdym meblu leżały ubrania, zabawki. Akwarium z egzotycznymi rybami było całe w glonach. Czyli każdy dom należący do bogaczy tak wygląda? Co za housekeeperka tu pracuje, że mają taki syf?

Nie zastanawiałam się dłużej nad stanem tego domu, z całych sił chciałam już wyjść z tego Big Brothera.

W kuchni posadziłam dziewczynkę w jej foteliku, zgarnęłam kasę do kieszeni i podeszłam do niej, żeby się pożegnać.

- Ale wrócisz do mnie jeszcze? Strasznie cię Kocham! - wypaliła.

- Pewnie, że wrócę, ty też jesteś kochana.

Dostałam oślinionego buziaka na do widzenia i czym prędzej pobiegłam w kierunku drzwi wyjściowych. Zatrzaskując je za sobą, poczułam ulgę.

Za zakrętem na ławce czekała na mnie Laura.

- Cześć, jak tam po pierwszym dniu? - zapytała.

- Nie było źle, miłe dziecko. Tylko czuję się tam, jakby ciągle mnie ktoś obserwował - odpowiedziałam.

- Przyzwyczaisz się, oni w ten sposób wychowują swoje dziecko. Sami się nią nie zajmują, płacą innym i tylko nas podglądają. Oni spędzają z dzieckiem może dwie godziny tygodniowo.

Po tych słowach zamurowało mnie. Nie żebym była bardzo prorodzinna i kochała wszystkie dzieci. Ale jak już je masz, no i masz

możliwości, to chyba możesz spędzić trochę czasu z własnym dzieckiem?

- Dlatego Shan do każdego lgnie, szuka kogoś, kto ją pokocha. Jak zapewne zauważyłaś, to dom wariatów, mało kto potrafi tutaj dłużej wysiedzieć. Opiekunki zmieniały się dawniej średnio co miesiąc, żadna nie wytrzymała bycia cały czas obserwowaną - dalej opowiadała Laura. Im więcej wiedziałam, tym bardziej odechciewało mi się wracać do tego nienormalnego domu.

- A ty nie masz z tym problemu? - zapytałam Laureę.

- Mnie to nie obchodzi, potrzebuję kasy, a jeśli Malik chce się gapić, jak drapię się po tyłku, to jego sprawa - oświadczyła i zaczęła chichotać. - Lecę na spotkanie ze znajomymi, odpocznij w weekend, w poniedziałek powrót do szarej rzeczywistości, papa. - Kolejny buziak w policzek i tyle ją widziałam. Jak na człowieka tak słusznej postury, ruszała się z zadziwiającą zwinnością. Jak kot z nadwagą.

Wychodzi na to, że za pięknymi fasadami domów, kryją się nieźle popaprani ludzie.

\*

Po moich przygodach z przeszłości, z różnymi szybkimi i nie do końca legalnymi lub etycznymi możliwościami zarobku, został mi niesmak i spam, który namiętnie atakował moją skrzynkę mailową. Zazwyczaj kasowałam wszystko bez czytania, ale któregoś dnia moją uwagę przyciągnął nagłówek „Zarabiaj pieniądze, pisząc na czacie”. Hmm, brzmiało ciekawie. Jak ognia unikałam wszelkiego pokazywania twarzy, nigdy nie wiadomo, gdzie ktoś mnie może rozpoznać, a nie mogłam zapominać, że mój aktualny status to „uciekinier”. Otworzyłam ogłoszenie i przeczytałam je dokładnie. Wychodziło na to, że dostanę login do strony, na której będą do mnie pisać panowie. Za każdą wiadomość mam dostać ustaloną kwotę. Szybko przeliczyłam, ile mogę z tego wyciągnąć. Jeżeli nie muszę ani pokazywać twarzy, ani się do tego rozbierać, mogłabym się pofatygować. Kliknęłam w link, który poprowadził mnie do strony z aplikacją na to niezwykle wymagające stanowisko. Szybko przeczytałam, czego oczekują od potencjalnych

pracownic. Wychodziło na to, że mam zainteresować odbiorcę swoją osobą i naciągnąć go na napisanie jak największej liczby wiadomości. Im więcej on wyda, tym więcej ja zarobię. Szybko wypełniłam formularz zgłoszeniowy z opisem mojej osoby. Trochę chyba mnie poniosło, bo wyszło na to, że jestem tak gorąca, że gdy będą pisać ze mną, stopi się klawiatura. Długo nie musiałam czekać, otrzymałam mail zwrotny z linkiem do strony i danymi do logowania. Tak rozpoczęła się moja kolejna kariera, tym razem jako sekstelefonistki. Od tego dnia każdą wolną chwilę spędzałam na klepaniu wiadomości z napalonymi facetami. Większość wyglądała tak samo: „Co masz na sobie?“, „Opowiedz mi, jaką jesteś niegrzeczną dziewczynką” i inne nonsensy. Powinnam chyba dziękować komuś za bujną wyobraźnię, bo siedząc w rozciągniętym dresie i jedząc kanapkę, potrafiłam pisać o takich pierdołach przez cały dzień. Musiałam się tylko kryć przed Rozwan, nie chciałam, żeby zaczęła się mnie czepiać, że wiszę na telefonie. Czasem tak się wkręcałam w pisanie, że zarywałam noce, z powodu czego na drugi dzień przysypiałam w każdym możliwym miejscu.

Pewnego dnia jednak wydarzyło się coś, co trochę mnie otrzeźwiło. Mianowicie po nocy wypełnionej czatowaniem, rano byłam półprzytomna. Jak tylko za Shivani i Rozwan zamknęły się drzwi, od razu stwierdziłam, że szybko ogarnę sypialnię i idę spać. Oczywiście ciekawość była silniejsza i jak tylko udało mi się posprzątać pobojuwisko zostawione przez domowników w sypialniach, stwierdziłam, że szybko sprawdzę, czy ktoś do mnie nie napisał. Czekaając, aż strona załaduje mi się w telefonie, przysiadłam w salonie na kanapie. Oczy same mi się kleiły – godziny pisania z nieznanymi zbierały właśnie swoje żniwo. Przymknęłam trochę oczy, bo aż mnie piekły ze zmęczenia.

Trzaśnięcie drzwi wejściowych skutecznie wyrwało mnie ze snu. Zerwałam się na równe nogi i w panice próbowałam sobie przypomnieć, co się stało. Spojrzałam na zegarek i prawie dostałam zawału – wskazówki pokazywały prawie południe. Kroki zbliżały się prosto do salonu; wyjście, żeby wybrnąć z tej sytuacji, było jedno: zgarnęłam jakąś leżącą na kanapie szmatę i szybko położyłam się na ziemi, udając, że jestem całkowicie pochłonięta polerowaniem podłogi.



- Co ty, na Boga, robisz?! - usłyszałam za sobą głos Rozwan.

- Oo, cześć! Nie słyszałam, jak wchodzisz. Wiesz, zauważyłam, że podłoga pod kanapą jest zakurzona, a nie chciałam ruszać kanapy, żeby drewno się nie porysowało, więc tak próbuję to wyczyścić. - Mało się to kupy trzymało, bo kanapa lekka jak piórko, ale na szczęście Rozwan jak zwykle była zaprzątnięta innymi sprawami.

- Jakbyś gdzieś widziała moją nową bluzkę, to przynieś ją, proszę, do sypialni, chyba wczoraj ją tutaj zostawiłam - powiedziała tylko i poszła do kuchni.

Odetchnęłam z ulgą, nie wydało się, że przez ostatnie dwie godziny zamiast biegać po domu z odkurzaczem, beztrוסko spałam na snobistycznej kanapie Rozwan. Spojrzałam na szmatę, którą trzymałam w ręce... O, chyba znalazłam nową bluzkę Rozwan. Serce podskoczyło mi do gardła. Wiedziałam, że wpadnie w szal, jeśli zobaczy, że jej nowy nabytek wygląda jak jakaś ściera do kurzu. Nie zostało mi nic innego jak delikatnie odczepić metkę, szybko wyprać i wysuszyć bluzkę, a po tym wszystkim przyczepić metkę z powrotem.

Tego samego wieczoru Rozwan zaczęła mnie w kuchni.

- Widziałam, że przyniosłaś tę nową bluzkę, o której ci mówiłam rano. Wyobraź sobie, że chciałam ją ubrać i okazała się za mała. Na pewno głupia sprzedawczyni pomyliła rozmiary. Muszę jutro iść złożyć na nią skargę i wymienić ją na inny rozmiar.

Tak, dzisiaj to była bardzo cenna lekcja. Nigdy nie przysypiaj na kanapie w salonie swojego pracodawcy oraz nigdy nie wrzucaj jedwabiu do suszarki. Biedna pracownico tego sklepu, jeżeli to czytasz, to przepraszam. Mam nadzieję, że zachowałeś pracę.

# Wracam do domu

Swoim oświadczeniem w pewien pochmurny poranek Conchita obudziła mnie skuteczniej niż jakikolwiek budzik.

- Ale gdzie do domu?! Przecież tu jest twój dom! - zapytałam z przerażeniem.

Jeżeli Conchita mnie zostawi, to sto procent obowiązków spadnie na mnie. Będę musiała gotować! Tu muszę się przyznać, że mimo kilku tygodni spędzonych razem z Conchitą, unikałam samodzielnego gotowania jak ognia. Zapewne Rozwan myśli, że te smaczne potrawy wychodzą częściowo także spod moich rąk - nic bardziej mylnego.

- Wszystko już potrafisz, możesz już zostać sama, na pewno dasz sobie radę - przekonywała Conchita. - Wracam do domu, żeby wziąć ślub i wreszcie mieć dziecko!

Te szczegóły już mnie nie interesowały. Wycisnęłam z niej informację, że wyjeżdża w piątek, czyli za dwa dni. Trochę mało czasu, żeby nauczyć się gotować. Moje rozmyślenia przerwała Rozwan, która zaprosiła mnie na rozmowę do swojego biura.

- Jak zapewne wiesz, Conchita wraca do domu, musimy jej wyprawić przyjęcie pożegnalne. Upiecz ciasto i zrób jakąś przekąskę. Będzie maksymalnie dwanaście osób. Przyjęcie zrobimy jutro o siedemnastej. - Jako zakończenie rozmowy miałam chyba uznać odwrócenie się ode mnie i zajęcie się czymś na laptopie.

Cóż, jestem w czarnej dupie. Jedyne, co potrafię upiec, to zakalec, a najlepszą moją przekąską są chipsy. Kupione w sklepie oczywiście.

W tym domu była tylko jedna osoba, która mogła mi pomóc, i musiałam ją wykorzystać póki jeszcze tutaj mieszkała.

- Będę za tobą tęsknić... Wiesz, jesteś teraz dla mnie jak przyjaciółka - zaczęłam od słodzenia.

Na szczęście Conchita łyknęła moją przynętę.

- Oh, Anno, ja też czuję, że jesteś moją bratnią duszą! Będę tęsknić za wspólnym pokojem!

Nie odpowiedziałam - o niczym bardziej nie marzę niż mieszkać sama, mam już dość wiecznego syfu i walających się wszędzie gratów Conchity. Ale moje skrajne zamiłowanie do czystości na bok - potrzebuję jej, a raczej jej kulinarnego talentu.

- Wiesz, wpadłam na pomysł, żeby jutro zaprosić kilka osób, będziesz mogła się ze wszystkimi pożegnać - rzuciłam mimochodem.

- Jesteś taka kochana! Jak ja ci się odwdzięczę?! - Rzuciła mi się na szyję.

- Jeśli już pytasz, to chyba mogłabyś mi w czymś pomóc...

Tym razem pilnie śledziłam poczynania Conchity, zapisywałam każdą jej radę i szybko notowałam przepisy, które według niej były łatwe i niemożliwe do zepsucia. Cóż, przyjmuję to jako osobiste wyzwanie. Następnego dnia upłynął pod znakiem pożegnań mojej koleżanki. Wieczorem obyło się bez żadnych przykrych niespodzianek i ani się obejrzałam, a już wszyscy staliśmy przed samochodem Conchity w piątkowe popołudnie, ściskając ją i życząc bezpiecznej podróży.

- Pisz do mnie często! - krzyczała, machając z okna samochodu.

- Na pewno będę! - Nie zanotowałam przecież wszystkich przepisów.

Spojrzałam na stojącą obok mnie Rozwan, zauważyłam łzy płynące po jej policzkach.

- Nikt mi nie zastąpi Conchity - rzuciła, patrząc na mnie złowrogo.

Nie martw się, nawet nie będę próbować.

Wszyscy wróciliśmy do domu.

- Posprzątaj po obiedzie i masz wolne. Dziś wieczorem nas nie będzie. Jutro jedziemy wszyscy do miasta, więc nie jesteś potrzebna Malikowi. Do zobaczenia w poniedziałek - rzuciła i odeszła na piętro.

Nie wierzyłam w swoje szczęście. Wkładając naczynia do zmywarki, prawie śpiewałam z radości. Na dzisiejszy wieczór zostało mi tylko jedno poważne zadanie: odgruzować mój pokój i umeblować go po swojemu. Nie było to zadanie łatwe - o ile do sprzątnięcia domu Conchita

trochę się przykładała, o tyle swój pokój omijała szerokim łukiem. Okno było szare od brudu, pościel wyglądała, jakby dawno nie widziała pralki.

Trzy godziny później wykończona siedziałam na środku mojego pokoiku i patrzyłam z dumą, jak teraz się prezentuje. Był mały, ale w końcu przynajmniej czysty. Tak mogłam mieszkać.

Weekend upłynął mi na słodkim lenistwie – byłam sama w domu. Spałam do południa, następnie wyciągałam najlepsze rzeczy znalezione w spiżarni i dogadzałam sobie kulinarnie; korzystając z nieobecności właścicieli, zwinęłam nawet butelkę wina z piwniczki i raczyłam się trunkiem, siedząc na moło. Piłam pyszny trunek i wyciągałam twarz do słońca, marzyłam, żeby ten weekend nigdy się nie skończył. Eh, jakby było wspaniale, gdyby to było moje prawdziwe życie. Ale niestety moje prośby nie zostały wysłuchane. Weekend szybko upłynął i przyszedł poniedziałek, a wraz z nim powrót do szarej rzeczywistości. Moją największą bolączką – jak wiadomo – było gotowanie. Na razie układałam menu tak, żeby były w nim potrawy, z którymi czułam się pewnie i co do których miałam przekonanie, że nikogo nimi nie otruję.

Shivani przynosiła swoje lunchy jak zwykle nietknięte. Na początku się tym przejmowałam, ale Conchita uświadomiła mnie, że to dziecko oprócz całego wachlarza alergii pokarmowych posiada również wielki kompleks na punkcie swojej wagi. Było to dla mnie zupełnie niezrozumiałe – ważyła przecież tyle co kartka papieru (i tak też ostatnio wyglądała). Wychodziło na to, że wolała nie jeść nic. Kiedyś na początku próbowałam nawet zwrócić uwagę Rozwan, że Shivani nie chce nic jeść, ale pożałowałam tego jeszcze tego samego dnia. Wieczorem, kiedy szłam roznieść pranie, usłyszałam, jak Rozwan krzyczy na Shivani. Jak udało mi się podsłuchać, powodem tej kłótni był brak apetytu córki. Zwieńczeniem tego mało przyjemnego incydentu był dźwięk głośnego uderzenia ręką w policzek, a potem usłyszałam tylko płacz Shivani. Szybko uciekłam spod drzwi – nie chciałam, żeby Rozwan złapała mnie na podsłuchiwanie, mogłam i ja zarobić uderzenie w twarz. Po tym zdarzeniu postanowiłam w ogóle nie wtrącać się w to, co dzieje się w tym domu.

Jakiś czas po wyjeździe Conchity mój kulinarny spokój został

zakłócony przez Rozwan. Któregoś dnia weszła dziarsko do kuchni i od drzwi wołała do mnie:

- Zmieniamy nasze menu! Mam już dość kurczaka. Przejrzałam to, co jedliśmy przez ostatnie tygodnie, i potrzebuję odmiany.

Moja propozycja była prosta: Idź do knajpy i nie zwracaj mi głowy. Niestety, nie mogłam jej tego głośno powiedzieć.

- Przygotowałam ci menu na przyszły tydzień, możesz się z nim zapoznać i jeśli masz jakieś pytania, to przyjdź do mnie.

Zostawiła kartkę zapisaną gęsto przepisami i tyle ją widziałam. Z obawą spojrzałam na kartkę. Rozwan nie zawiodła, przepisy wzięła chyba z książki „100 najbardziej skomplikowanych przepisów”. Nie potrafiłam nawet wymówić nazw niektórych składników, a co dopiero z wiedzą, co z nimi zrobić? Tej nocy śniły mi się wielkie eskalopki goniące mnie wokół blatu w kuchni. I niech jeszcze ktoś powie, że praca housekeepera nie jest stresująca.

Ale następny poranek zepchnął kulinarne problemy na dalszy plan. Ledwo wstałam z łóżka i dotarłam do kuchni, przybiegła za mną wyraźnie czymś zaaferowana Rozwan. Jak długo tu pracuję, nigdy nie widziałam jej o tej godzinie w kuchni - musiało stać się coś ważnego.

- Chodź szybko za mną... Tylko musisz mi obiecać całkowitą dyskrecję - powiedziała moja chlebodawczyni.

Umierałam z ciekawości, co też takiego tajemniczego chce mi pokazać. Poszłam za nią na górę do pokoju Shivani. Gdy tylko zamknęły się za mną drzwi, pożałowałam swojej ciekawości. Pokój wyglądał tak, jakby kogoś w nim zamordowano, w bardzo krwawy sposób. Pierwsze, co przyszło mi na myśl, to że ktoś włamał się do domu i doszło do jakiejś przepychanki - nie umiałam inaczej tego wyjaśnić. Moje pytające spojrzenie zmusiło Rozwan do wyjaśnień.

- Shivani zapomniała włożyć podpaski i trochę pobrudziła prześcieradło, przebierz, proszę, pościel.

Stałam osłupiała z otwartymi ustami. Jak to zapomniała? To nie impreza niespodzianka, że można się tego nie spodziewać. Zmusiłam się tylko, żeby rzucić:

- Myślę, że każdemu za pierwszym razem może się to przydarzyć...

- To nie pierwszy raz, czasem się jej to przydarza, a ja zapomniałam jej przypomnieć - odpowiedziała Rozwan. - Pospiesz się, proszę, bo zaraz musimy schodzić na śniadanie, a nie zniosę faktu, że tak tu wygląda. No tak, zapomniałam, jaki z niej czyścioszek. Chciałam o coś jeszcze zapytać, ale Rozwan, niewzruszona, zabrała w dalszym ciągu przyklejoną do swojego telefonu Shivani do łazienki. Przez całą tę sytuację mogłam po raz pierwszy obserwować, jak wygląda poranny rytuał przygotowywania się do szkoły. Przebierając pościel, zauważyłam, że Rozwan najpierw umyła Shivani buzię, potem pilnowała, żeby dziewczyna umyła zęby, następnie wyczesła jej włosy. Trzynastolatka traktowana jak malutkie dziecko - dzisiejszy poranny wypadek przestał być dla mnie zaskakujący. Muszę się kiedyś przyjrzeć, czy przypadkiem nie karmi jej podczas obiadu.

Kiedy obydwie wyszły, zajrzałam do łazienki, gdzie zastałam podobny krwawy armagedon: ręczniki, piżama, dywanik - wszystko brudne. Rzadko kiedy nie mam słów, ale dzisiaj zabrakło mi ich do jakiegokolwiek riposty. Zostało mi tylko wyszorować to wszystko - taki los sprzątaczkii.

\*

Nadszedł w końcu nowy tydzień, kiedy to wyszukane menu Rozwan miało trafić na stół. Rano dostałam zakupy. Rozpakowywałam poszczególne rzeczy i nadal nie wiedziałam, z czym to się je. Dosłownie. Rozwan dość dokładnie rozpisała krok po kroku, jak przygotowywać jej drogie produkty. Obiecałam sobie, że będę się trzymać przepisu w stu procentach. Robiłam wszystko tak, jak napisała Rozwan, mimo to, po czterdziestu pięciu minutach w piekarniku, w naczyniu żaroodpornym miałam szarą breję bez smaku. To coś, co powinno być wykwinną potrawką z owoców morza, wyglądało jak pomyje z wiadra. Z duszą na ramieniu czekałam na Rozwan - czułam, że kiedy przyjdzie, rzuci we mnie naczyniem i dostanę wypowiedzenie. Zaskoczyło mnie, gdy już od drzwi krzyczała:

- Czy to pachnie jedzenie, które wybrałam? Na pewno smakuje tak, jak pachnie!

Jej krzyk tak mnie wystraszył, że odruchowo podniosłam rękę, która aktualnie znajdowała się w piekarniku, trzymając widelec. Najpierw usłyszałam skwierczenie przypalanego mięsa, a potem poczułam kosmiczny ból. Spojrzałam na moją dłoń i zobaczyłam wielkie oparzenie ciągnące się od kciuka do nadgarstka. Ból mnie paraliżował, nie wiedziałam, czy zacząć płakać, czy krzyczeć.

Rozwan zdawała się nie zauważać, że zaraz mogę zemdleć z bólu.

- Oj, niezdaro, jak teraz będziesz podawać ten pyszny obiad do stołu? - zapytała.

- Rozwan, ja nie wiem, czy dobrze zrobiłam to danie - wyjąkałam, zaciskając zęby z bólu.

- Nie znasz się, pachnie pięknie, daj, skosztuję. - Szybko wzięła widelec i nabrała trochę mazi. - Pyszne! Idealne! Już się nie mogę doczekać obiadu, na pewno wszyscy pokochają moje nowe menu. Idź, opatrz rękę, i zacznij podawać do stołu.

Ulżyło mi trochę, najwidoczniej nie mam bladego pojęcia na temat nawyków żywieniowych bogatych ludzi. Pobiegłam do swojego pokoju, nałożyłam maść na oparzenia i płacząc z bólu, zawijałam rękę w bandaż. Nie miałam wyboru, musiałam jedną ręką podawać obiad do stołu. Kirk i Shivani nie mieli za bardzo przekonanych min, gdy zobaczyli potrawę. Nie czekając na nich, Rozwan nałożyła każdemu dużą porcję i sama zabrała się do pałaszowania. Shivani z niechęcią wbiła widelec w papkę na talerzu, powąchała i odłożyła z powrotem.

- Mamo, tego nie da się jeść - nieśmiało bąknęła.

- Nonsens! Nie wybrzydź, tylko jedz! - fuknęła na nią Rozwan.

- Kochanie, naprawdę to chyba też nie mój smak - oświadczył Kirk.

Wtedy w Rozwan wstąpił szatan. Zaczęła wrzeszczeć, że nikt nie docenia jej ciężkiej pracy, a powinni być jej wszyscy wdzięczni, bo bez niej wylądowaliby na ulicy. Rzuciła obelgami, wygrażała każdemu, a w jej oczach widać było furję. Wtedy jej wzrok skierował się na mnie, próbującą za wszelką cenę wkomponować się w szczelinę pomiędzy lodówką a ścianą. Niestety nie udało mi się. Rozwan chwyciła potrawkę, wbiegła do kuchni i zaczęła na mnie wrzeszczeć:

- To wszystko twoja wina! Nie potrafisz gotować i moja rodzina

chodzi głodna! Rujnujesz wszystko, marzę, żeby Conchita wróciła do tego domu!

Zakończeniem tej niezwykłej szopki było rzucenie szklanym naczyniem z potrawką o marmurową podłogę. Rozwan, mimo lichej postury, chyba miała siłę, bo naczynie rozpadło się na milion kawałków, rozpryskując rybną breję po całej kuchni. Chyba wtedy Rozwan uzmysłowiła sobie, co się właśnie stało. Patrzyła na mnie, jakby widziała mnie pierwszy raz w życiu.

Do kuchni wszedł Kirk, otoczył ją ramieniem i zabrał ze sobą na górę. Chyba nie był to pierwszy wybuch szału, który oglądał i z którego musiał ją wyprowadzać. Zauważyłam, że Shivani też wymknęła się niezauważona. Zostałam tylko ja i kuchnia uwalona rybią mazią.

Jakieś pół godziny później usłyszałam dzwonek. Nie zdążyłam podejść do drzwi, kiedy Kirk zbiegł z piętra i otworzył – jak się okazało – dostawcy pizzy. Zabrał pysznie pachnące jedzenie na piętro, nie zaszczyciwszy mnie nawet jednym spojrzeniem. Sprzątałam rybę wymieszaną z kawałkami szkła do późnej nocy. Później, opatrując poparzoną rękę, zauważyłam, że moje palce też są całe poranione od szkła. Stojąc w zakrwawionej łazience, spojrzałam w lustro i powiedziałam sobie:

- Musisz stąd uciekać i to jak najszybciej.

Następnego dnia rano Rozwan wezwała mnie do swojej sypialni. Spodziewałam się wyjaśnienia jej irracjonalnego zachowania z poprzedniego dnia, niestety jak zwykle srogo się zawiodłam.

- Przeanalizowałam czystość tego domu i jestem głęboko niezadowolona. Pokażę ci kilka rzeczy, które należy natychmiast poprawić – wyrzuciła z siebie tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Poszłam za nią do jej toalety; wskazała mi palcem mikroskopijną plamkę z kamienia, który osadził się z twardej wody.

- Patrz, tu jest brudno! Nie po to ci płacę, żeby używać brudnej toalety! Przyłóż się dzisiaj do pracy, dziewucho!

Oho, widzę, że dzisiejszy dzień nie będzie należał do najłatwiejszych. Zaciągnęła mnie z powrotem do sypialni i położyła się na ziemi. Zdezorientowana patrzyłam, co ona odstawia.



- Nie stój i się nie patrz, tylko zobacz, jaki pod łóżkiem jest kurz! Chcesz mnie zabić?! Przecież wiesz, że mam alergię na brud!

W tym momencie, zamiast patrzeć na te pokłady kurzu, uświadomiłam sobie absurd aktualnej sytuacji: stoję nad kobietą po czterdziestce ubraną w najdroższe ciuchy od projektantów, która wala się po podłodze w poszukiwaniu brudu. Szybko otrząsnęłam się z zadumy.

- Tak, Rozwan, dzisiaj się przyłożę, to się już nie powtórzy. - Cóż innego zostało mi do powiedzenia? Nie ma co zadzierać z wariatami, prawda?

- Lepiej, żebym nie musiała drugi raz ci tego pokazywać! - warczała na mnie.

- A co z dzisiejszym obiadem? - ryzykownie zapytałam; po wczorajszej katastrofie nie wiedziałam, czy będą chcieli jeść cokolwiek, co wyjdzie z moich rąk.

- Wychodzimy na miasto, nie mam ochoty, żeby twoje nieudolne gotowanie zrujnowało nam kolejny wieczór! - odburknęła i wyszła z sypialni.

Gdy wychodziła, zauważyłam, że cały tył sukienki ma ubrudzony kurzem, ale stwierdziłam, że zachowam tę wiedzę dla siebie.

Nie miałam innego wyjścia - wzięłam się do pracy. Zaczęłam od największego porannego dramatu, czyli plamy z kamienia. Stałam i dumiałam nad tą toaletą, czym mam to wyszorować, żeby jutro nie mieć powtórki z rozrywki? Mój wzrok przesunął się po półkach w łazience.

O proszę, to będzie idealne! Uśmiechnęłam się do siebie, szorując dokładnie powierzchnię toalety szczoteczką do zębów Rozwan. Mimo wszystko dla świętego spokoju wysprzątałam gruntownie cały dom. Wieczorem padłam wyczerpana na łóżko i usnęłam tak twardo, że nawet nie słyszałam, kiedy rodzina wróciła z kolacji.

\*

Przez kolejne dni szczególnie przykładałam się do pracy, nie chciałam odbyć kolejnej pogadanki z Rozwan. Jednego poranka szczególnie się spieszyłam - trochę rano zasnęłam i przez to ciągle brakowało mi czasu.

W pośpiechu wrzuciłam koszule Kirka do pralki, ustawiłam na odpowiedni program i pobiegłam sprzątać. Gdy usłyszałam dźwięk zakończonego cyklu prania, poszłam szybko przerzucić pranie do suszarki. Wyciągnęłam rzeczy i zamarłam... wszystko było różowe! Piękne, drogie białe koszule Kirka zmieniły się w słodkie różowiotkie koszulki. Jak to się mogło stać? W panice przeglądałam pranie – w końcu znalazłam winowajcę: różowe bokserki. Moje.

Miałam dwa wyjścia: odkupić koszule albo jakoś je wybielić. No, ewentualnie trzecie: spakować się, uciec na drugi koniec świata i zmienić nazwisko.

Szybkie sprawdzenie cen zmotywowało do tego, że natychmiast wyszukałam najmocniejszy wybielacz i zamoczyłam w nim koszule. Stwierdziłam, że nawet jeśli się zniszczą przy wybielaniu, to gorzej już nie będzie. Po paru godzinach moczenia się w wybielaczu większość wróciła do normalnego koloru. Poza jedną koszulą i jednym podkoszulkiem. W panice spojrzałam na zegar – za chwilę wróci do domu cała rodzina. Muszę coś wymyślić! Stwierdziłam, że będę udawać, że nie wiem, o co chodzi, i zacznę się modlić, żeby nikt nie zauważył. O ile jeszcze nowy kolor koszuli mógł ujść uwadze, o tyle różowy podkoszulek w szafie pełnej białych szybko zostałby zauważony. Miałam tylko jedno wyjście. Zapakowałam feralną koszulkę do worka, potem do drugiego, a potem spakowałam to wszystko do wielkiego worka na śmieci. Wszystko wyniosłam do śmietnika na zewnątrz. Miałam nadzieję, iż Rozwan nie przyjdzie do głowy inspekcja koszy, bo wtedy marny będzie mój los. Resztę prania wysuszyłam, wyprasowałam i powiesiłam w szafie. Krytycznym wzrokiem objęłam dziesiątki koszul. Zmieniłam zdanie: w szeregu bielutkich – ciężko było nie zauważyć tej jednej jedynej różowej. Pozostało mi trzymać kciuki za nagłe oślepienie moich gospodarzy.

Nazajutrz wieczorem, kiedy sprzątałam po obiedzie, do kuchni weszła Rozwan. Zauważyłam, że w ręce trzyma tę nieszczęsną koszulę. Już chciałam zacząć płakać i obiecywać, że ją odkupię, kiedy Rozwan wypaliła:

- Kojarzysz może, gdzie kupiłam tę koszulę? Kirkowi bardzo

spodobał się jej kolor i chciałby jeszcze jedną taką.

- Eeee... nie mam zielonego pojęcia, ale sprawdzę metki i powiem ci jutro - wypaliłam, z wrażenia siadając na stołku przy barze. Nie wierzyłam w swoje szczęście.

Może powinnam rzucić wszystko i rozpocząć masową produkcję różowych koszul?

# Zmiany

Nadeszło lato, Shivani miała wakacje. Jedynym plusem tego faktu było to, że nie musiałam zrywać się wcześniej rano i mogłam spać do ósmej. Liczyłam, że teraz, kiedy Shivani ma wolne od szkoły, rodzice wyślą ją na jakiś wyjazd, obóz lub w inne miejsce, gdzie odprawia się nastolatki, kiedy chce się ich pozbyć. Niestety, Rozwan rozwiąła moje nadzieje i już na samym początku wakacji obwiesiła, że nastolatka całe dwa miesiące spędzi w domu. Przynajmniej nie jest tak absorbująca i poza późnym śniadaniem i lunchem w zasadzie nie muszę mieć jej na głowie.

Rozwan traktowała mnie ostatnio jak powietrze, poza poleceniami związanymi z moją pracą nie odzywała się do mnie wcale. Nawet mi to pasowało, robiłam swoje i miałam święty spokój. Któregoś dnia wróciła do domu wyraźnie podekscytowana i od razu zawołała mnie do swojego biura. Gdy tylko weszłam, obwieściła mi, że organizują wielkie party w ogrodzie.

- Nazwałam to „Powitanie lata nad rzeką”, zaprosiłam bardzo ważnych gości, więc musimy się wszyscy postarać, żeby kolacja wyszła idealnie - powiedziała.

- Rozwan, masz moje słowo, że dam z siebie sto procent - odparłam z uśmiechem.

- O nie, ty będziesz tylko otwierać drzwi i prowadzić gości do ogrodu, nie mogę ryzykować, że coś pójdzie nie tak - odparła ze zgryźliwym uśmiechem.

W takim razie nie rozumiem, po co mnie tu w ogóle zawołała. Skoro mnie nie potrzebuje, to mogę spędzić ten wieczór w swoim pokoju.

- Zamówiłam już szefa kuchni z najlepszej okolicznej restauracji, będą kelnerki i sommelier, to będzie party, którego będą zazdrościć wszyscy sąsiedzi! Kolacja jest za tydzień w sobotę, wymagam od ciebie

stroju wieczorowego, jeśli jakiś masz, i eleganckich butów na obcasie. Mam cię nauczyć, jak poprawnie otwierać drzwi, czy poradzisz sobie z taką odpowiedzialnością?

Nie czekając na moją odpowiedź, z drwiącym uśmiechem wyszła z biura. Powoli przywykłam do jej złośliwości, poza tym pocieszał mnie fakt, że codziennie rano myje zęby szczoteczką, której ja też używam. Z innym przeznaczeniem.

Już od następnego dnia było widać, że party będzie organizowane z rozmachem. Przywieziono duży pawilon, w którym poustawiano stoły i krzesła. Cały sztab ogrodników zadbał, żeby ogród wyglądał jak z bajki. Ja za to miałam święty spokój. Rozwan skupiła się na poniżaniu pracowników odpowiedzialnych za przygotowanie przyjęcia. Robiłam swoje rano, a od południa miałam czas tylko dla siebie.

W końcu nastał wielki dzień. Rano przyszła dostawa wina, od którego ilości zakręciło mi się w głowie. W takiej masie butelek nikt nie zauważył zniknięcia kilku flaszek, schowanych w bezpiecznym miejscu na później. Stoły zostały przystrojone z przepychem, ogród był skąpany w świecach i lampionach, z głośników sączyła się nastrojowa muzyka. Kelnerki w uniformach otwierały szampana, żeby każdy gość dostał poczęstunek zaraz po przyjściu. Rozwan wystroiła się, jakby szła na herbatę do królowej, wynajęła nawet stylistkę, żeby ją pomalowała i uczesała - na niewiele się to zdało, nadal było widać, że jest wstrętną suką. Wszyscy byli gotowi na party. Samochody, którymi podjeżdżali goście, sugerowały, że Rozwan nie zaprosiła byle kogo. Podczas otwierania drzwi próbowałam miło się uśmiechać i zagadywać do gości, ale większość mnie ignorowała, więc sobie darowałam. Prowadziłam ich do ogrodu i oddawałam w ręce kelnerek.

Pyszne jedzenie przygotowane przez szefa kuchni wzmagało pragnienie u gości, którzy butelki opróżniali jedną za drugą. Moja praca w sumie się skończyła, ale stwierdziłam, że posiedzę w kuchni i poczekam na jakieś jedzenie.

W pewnej chwili coś mnie tknęło i zapytałam przechodzącą obok kelnerkę:

- Czy ktoś zaniósł jedzenie Shivani?

- To jakiś gość? - spytała mnie dziewczyna.

Wtedy do mnie dotarło, że praktycznie od rana dziewczyna mogła nie widzieć żadnego jedzenia. Pozbierałam z półmisków wszystko, co nie powinno jej uczulić, i zaniiosłam piętro wyżej. Zapukałam nieśmiało do drzwi. Słyszając ciche „Proszę”, weszłam do pokoju.

- Hej, przyniosłam ci kolację, chyba w tym całym zamieszaniu zapomnieliśmy o tobie.

Łapczywie złapała talerz i zaczęła zjadać zawartość.

- Za każdym razem jak mama urządza przyjęcia, to o mnie zapomina, przywykłam - odparła.

W tym domu nic już nie było w stanie mnie zdziwić. Zabrałam pusty talerz, życzyłam jej dobrej nocy i zeszłam z powrotem do kuchni. W ogrodzie impreza trwała w najlepsze, kelnerki biegały pomiędzy pawilonem a piwniczką z winami. Stojąc przy barze, zauważyłam butelkę bardzo gustownego szampana, którą nikt się nie interesował. Przechodząca obok kelnerka zauważyła mój skierowany na niego wzrok, bo powiedziała do mnie:

- Weź ją sobie, odłożyłam dla siebie, ale w piwniczce jest tego tyle, że wezmę kolejną.

Kiedy ktoś daje ci drogiego szampana, nie zadajesz pytań - zgarnęłam butelkę i poszłam do siebie. Nie domknęłam drzwi, zostawiłam szparę, żeby móc obserwować, co dzieje się na korytarzu. Raczyłam się wykwinnym trunkiem z mojego kubka w kotki i jednym uchem słuchałam, jak się rozwija sytuacja. Butelka zdążyła się prawie opróżnić, ja zdążyłam przysnąć, kiedy usłyszałam, że goście zaczynają schodzić się do drzwi wejściowych. Lekko zaspana wyszłam z pokoju, a moim oczom ukazała się ledwo stojąca na nogach Rozwan, bardzo wylewnie żegnająca się ze swoimi gośćmi. Widzę, że czy wino tanie, czy drogie - ścina tak samo. Potykająca się o swoje nogi pani domu poszła w kierunku kuchni; z ciekawości podążyłam za nią, może coś ciekawego się jeszcze dzisiaj wydarzy. Kiedy tam dotarłam, zobaczyłam, jak Rozwan wręcza każdej kelnerce pieniądze i dziękuje za ciężką pracę przy jej party. Zauważyłam, że wręczane kwoty znacznie przewyższają moją tygodniówkę. Stałam w rzędzie z kelnerkami, w końcu też dzisiaj

ciężko pracowałam. Rozwan podeszła do mnie i wyciągnęła rękę z pieniędzmi w moim kierunku. Już chciałam złapać dodatkową gotówkę, kiedy schowała rękę za siebie, spojrzała na mnie i wybełkotała:

- A ty nie dostaniesz, nie zasłużyłaś.

Wszyscy w pomieszczeniu spojrzeli na nią zszokowani. Nic nie odpowiedziałam, rzuciłam tylko Rozwan, że odprowadzę kelnerki do wyjścia. Chwilę później, przy drzwiach wejściowych, dziewczyny stały z dużą reklamówką. Jak się ze mną zegnały, wcisnęły mi ją do rąk, mówiąc jedna przez drugą:

- Miałyśmy to zabrać dla siebie, ale jak zobaczyłyśmy, jak cię potraktowała, to ty bardziej na nie zasługujesz. Trzymaj się i uciekaj stąd!

W środku był alkohol wart o wiele więcej niż pieniądze, które Rozwan dała kelnerkom.

Zaniosłam wartościowy prezent do pokoju i poszłam sprawdzić, gdzie jest moja pani. Znalazłam ją leżącą pod schodami i bełkotającą coś do siebie. Podniosłam ją i zaczęłam zaciągać w kierunku sypialni. Po drodze zaczęła mówić do siebie i chichotać. Z tego natłoku, zrozumiałam tylko jedno:

- Conchita już niedługo wróci do tego domu.

Rzuciłam bezwładne ciało Rozwan na łóżko i zostawiłam ją - niech się nią zajmie jej mąż. Wychodząc z pokoju, zauważyłam, że próbowała wstać, niestety, nie wyszło jej i tylko sturlała się z łóżka na podłogę. Nie wróciłam, żeby jej pomóc.

Schodząc na dół, spotkałam Kirka. Też nie był w najlepszej formie, ale trzymał się zdecydowanie lepiej niż jego żona.

- Posprzątaj wszystkie kieliszki z dworu i umyj. Jutro przyjeżdża firma cateringowa, żeby je zabrać. - I tyle go widziałam.

Jest trzecia w nocy, jestem na nogach od ósmej rano z niewielką niedawną przerwą, i przed sobą mam pracę na trzy godziny! Połykając łyżę, pozbierałam kieliszki i szklanki, załadowałam obydwie zmywarki i chciałam się położyć. Mój wzrok spoczął jednak na reklamówce z kosztownymi trunkami. Byłoby miło, gdybym mogła je wszystkie wypić, ale bardziej opłacało mi się je upłynnić - dosłownie. W tej dzielnicy,

mimo jej prestiżu, nie brakowało szemranych miejsc, w których można było kupić różne rzeczy, i nie mówię teraz o pomidorach. Zostawiłam sobie jednego szampana na otarcie łez. Resztę butelek przełożyłam do wielkiego plecaka, ubrałam się na czarno, założyłam wygodne buty – nigdy nie wiadomo, czy nie będę musiała szybko się stamtąd ewakuować – i wybrałam się na nocną – lub prawie poranną – wycieczkę. Renoma miejsca nie kłamała: za jednym z lokalnych pubów znalazłam kilku szemranych kolesi. Jednego kojarzyłam z widzenia – był u nas w tym tygodniu, ale nie sprzedawał lipnej wody, tylko obcinał krzewy. Podeszłam do niego i wyłuszczyłam sprawę. Spojrzał na mnie zaskoczony, nic nie powiedział, tylko rzucił:

– Chodź za mną!

Z duszą na ramieniu poszłam z nim ciemną alejką wprost pod tylne drzwi pubu. Chłopak wyciągnął z kieszeni klucze i ze skrzypnięciem otworzył drzwi. W wejściu uderzył mnie smród starego piwa i moczu. Mam nadzieję, że nie umrę w miejscu takim jak to. Weszliśmy do pomieszczenia na zapleczu. W pubie panowała cisza, wszyscy goście chyba już wyszli, za barem jakiś mężczyzna smętnie polerował szklanki szmatą, która sama wymagała prania.

– To jest Bob, jest właścicielem tego pubu. Bob, to moja znajoma, ma na sprzedaż kilka butelek, może coś Cię zainteresuje.

Bob okazał się mężczyzną w trudnym do określenia wieku z wielką brodą i jeszcze większym brzuchem – czyli statystyczny właściciel lokalu takiego jak ten. Gdyby nie miejsce, w którym przyszło nam się spotkać, stwierdziłabym, że mógłby grać Świętego Mikołaja. Sam zainteresowany nie podniósł nawet wzroku znad szklanki.

– Pokaż, co masz – burknął.

Postawiłam plecak na blacie i otworzyłam. Bob zajrzał do środka i od razu na jego twarzy wymalowało się zainteresowanie.

– Ile za to chcesz? – zapytał.

Wymieniłam kwotę o połowę niższą niż rynkowa.

– Nie ma takiej opcji! Skąd mam wiedzieć, że to oryginał? Nie sprzedaję byle czego w mojej restauracji! – obruszył się, choć to ja powinnam się obruszyć za nazwanie tej nory restauracją. Stałam



w miejscu tylko dlatego, że buty przykleiły mi się do podłogi.

- Nie ściemniaj, widzisz, że butelki dalej mają plomby i dobrze wiemy, za ile to sprzedasz w swojej restauracji. Bierz albo zabieram butelki i znikam - powiedziałam z wyższością w głosie.

Widać było po jego twarzy, że chciałby mi jeszcze jakoś wygarnąć, ale cena, jaką podałam, okazała się zbyt kusząca. Otworzył kasę, wyciągnął zwitek banknotów i rzucił w moim kierunku. Przeliczyłam, czy się zgadza, odpałam procent mojemu przewodnikowi i ruszyłam w kierunku wyjścia.

- Jak będziesz coś jeszcze miała, to przyjdź, wezmę, co masz - rzucił za mną Bob.

Myślę, że jeszcze się z nim kiedyś spotkam. Mimo niezbyt przyjaznej aparycji, budził we mnie sympatię. Życie mnie już nauczyło, że warto ufać swoim przeczuciom.

Do domu przyszłam skonana. Nastawiłam ponownie zmywarke. Budzik musiałam nastawiać co godzinę, bo tyle trwał jeden cykl zmywania. Skończyłam o ósmej rano.

Nie było sensu się już ponownie kłaść. Po podwójnej kawie zabrałam się za kompletowanie zastawy stołowej wynajętej z firmy cateringowej. Nosząc wielkie i ciężkie kosze wypełnione porcelaną, nic przed sobą nie widziałam. Podczas którejś kolejnej rundy nie zauważyłam stopnia i spadłam z niego wraz z całym koszem. Ból przeszył całe moje ciało. Nie mogłam poruszyć nogą, która w kostce w sekundzie stała się purpurowa i dwa razy większa. Na schodach usłyszałam kroki Rozwan.

- Na boga, dziewucho, co narobiłaś?! Jak coś stłukłaś, to ci odciągnę z wypłaty!

- Nie martw się, Rozwan, chyba tylko skręciłam kostkę, twoje cenne talerze są całe - wypaliłam z sarkazmem. Noga bolała tak bardzo, że nie interesowało mnie, czy obrazi się za moją zuchwałość, czy nie.

- Tyle dobrze. Zostaw te talerze tutaj, firma cateringowa je stąd zabierze. My jesteśmy wykończeni wczorajszym party. Jedziemy za miasto odpocząć, wracamy w następną niedzielę wieczorem.

I zostawiła mnie leżącą na tylnych schodach. Nie miałam wyjścia, prawie na czworakach i płacząc z bólu, dowlokłam się do swojego łóżka.

Z apteczki wybrałam najmocniejsze leki przeciwbólowe, zaciągnęłam rolety i poszłam spać.

Kolejne dni z powodu koszmarnego bólu nogi i gorączki pamiętam jak przez mgłę. Nie wstawałam nawet, żeby coś zjeść, moja dieta ograniczyła się do wody i tabletek przeciwbólowych. Myślałam, że wyzionę ducha w tej klitce.

Gdzieś po połowie tygodnia gorączka zaczęła odpuszczać, obrzęk nogi zmalął, a co za tym idzie – ból również. Z łóżka tego dnia wyrwało mnie natarczywe dzwonienie do drzwi frontowych. Kto to może być? Brama przecież była zamknięta, więc musiał to być ktoś, kto znał kod. Pokuśtykałam do drzwi i po ich otwarciu moim oczom ukazał się Malik.

– Hej, słyszałem, że źle się czujesz, wpadłem sprawdzić, czy żyjesz.

Mój wygląd chyba potwierdzał złe samopoczucie, bo aż się trochę skrzywił.

– Jasne, wchodź. – Wpuściłam go i pokuśtykałam do salonu.

Przechodząc obok ogromnego lustra, spojrzałam na swoje odbicie. Faktycznie przedstawiało ono obraz nędzy i rozpacz. Skołtunione tłuste włosy, zapadnięta sina twarz i wymięta piżama ze śladami wczorajszego posiłku. Zdecydowanie nie byłam w formie.

– Jak się czujesz? – zagadnął Malik.

– A jak wyglądam? Uprzedzę twoją odpowiedź, czuję się jeszcze gorzej. – Średnio mnie interesowało, co sobie pomyśli, chciałam wrócić do łóżka, wziąć tabletki i pójść spać.

– Myślałem, że przyjdiesz do nas w sobotę popilnować Shan, ale widzę, że masz dalej problem z nogą... Jakbym po ciebie przyjechał, posiedziałybyś z nią?

Nie wierzyłam w to, co właśnie usłyszałam. Nie interesowało go, jak się czuję ani czy daję sobie radę, tylko potrzebował opiekunki do dziecka. Zagotowało się we mnie, ale wiedziałam, że jak wybuchnę, Rozwan dowie się o tym, zanim ja zdążę ochłonąć.

– Bardzo bym chciała, niestety mam gorączkę, nie wiem, czy Shan się nie zarazi. – Dla potwierdzenia kaszlnęłam kilka razy i wymownie pociągnęłam nosem.

Malik się skrzywił i zaczął wycofywać się w kierunku drzwi.

- To trzymaj się, pa. - I tyle go widziałam.

Czy wszyscy w okolicy to banda zakłamanych obłudników?!

Dzień przed przyjazdem Rozwan zadzwoniła do mnie z poleceniem policzenia całego alkoholu w domu, ponieważ planowała wielkie przyjęcie w ogrodzie dla rodziny i przyjaciół. Miałam jej przesłać inwentaryzację jeszcze dzisiaj, bo chciała uzupełnić zapasy. To była moja szansa - z całej baterii trunków, które znalazłam w piwniczce, kuchni i spiżarni, spokojnie uszczknęłam kilka butelek. Rozwan nawet tego nie zauważył, a mnie przyda się zastrzyk gotówki. Miałam dziwne przeczucie, że niedługo będę musiała szukać nowej pracy.

Tego samego wieczora odwiedziłam Boba. Cieszył się, jakby gwiazdka przyszła w tym roku wcześniej.

\*

Posiłkując się okazałymi ilościami tabletek, wróciłam do stanu używalności. Nie miałam wyboru, wiedziałam, że Rozwan czyha na każde moje potknięcie. Któregoś dnia popołudniu wezwała mnie do pokoju Shivani. Stan pokoju, jaki zastałam, znacznie odbiegał od tego, w jakim zostawiłam pokój rano. Zawartość wszystkich szuflad była wyrzucona na ziemię. Na podłodze walały się ubrania, kosmetyki, książki i co tylko Rozwan znalazła w wielkiej szafie. Dziwne, że jeszcze nie zerwała telewizora ze ściany.

- To skandal! - wrzeszczała, wyrzucając z szafy kolejne rzeczy. - Jak można normalnie żyć w takim syfie?! Jak mogłaś dopuścić do takiego stanu?!

Zastanawiałam się, czy ma na myśli stan, w jakim teraz jest pokój, czy coś innego urodziło się w jej głowie.

- Rozwan, przepraszam, ale nie do końca rozumiem, o co ci chodzi - próbowałam dowiedzieć się, co jest przyczyną tego wybuchu.

To jeszcze bardziej rozsierdziło Rozwan.

- Skarpetki pomieszane z majtkami! Jeszcze masz czelność pytać?! - wrzeszczała. - Nie udawaj głupszej niż jesteś!

Stałam tak na środku tego bałaganu, nie wiedząc, co jej odpowiedzieć.

- Masz natychmiast tu posprzątać! Patrz, jaki tu jest bajzel, dezorganizujesz życie naszego domu! - Wyszła, trzaskając drzwiami.

Tak, zdecydowanie muszę znaleźć nowe miejsce do życia.

Biorąc pod uwagę ostatnie zachowanie Rozwan i informację, którą wyjawiała po pijaku, że Conchita wraca, zaczęłam przygotowywać się do odejścia z tego domu. Nie wiedziałam, gdzie wyląduję w następnej kolejności, więc musiałam być gotowa na różne możliwości. Ale liczba obowiązków powodowała, że miałam bardzo mało czasu na szukanie nowego miejsca do życia. Nie opuszczało mnie jednak uczucie, że mój czas w tym miejscu się kończy i tylko ode mnie zależy, czy będę na ów koniec przygotowana.

Mimo że jeszcze nie rozpoczęłam na poważnie szukania pracy, przygotowywałam inne aspekty odejścia z tego pięknego domu pełnego dziwnych ludzi.

Od niedawna do cotygodniowych zamówień w sklepie online dokładałam kilka nadprogramowych opakowań jedzenia i innych potrzebnych mi rzeczy. Staralam się być bardzo ostrożna, nie mogłam dopuścić, żeby Rozwan domyśliła się, co robię. Chciałam zrobić zapasy na czarną godzinę, żeby nie zostać wykopana na ulicę z pustymi rękoma.

Bałam się, że właścicielka przeszukuje mój pokój, więc chomikowałam wszystkie słoiki, puszki i pudełka w bagażniku mojego samochodu. Parkowałam go na parkingu kilka ulic dalej, więc w razie szybkiej ewakuacji miałabym wszystkie te rzeczy pod ręką. Gdybym złapała gumę, to nie miałabym koła na zmianę, ale czekając na pomoc drogową, mogłabym ugotować spaghetti.

Sytuacja w domu była niezwykle napięta, zmotywowałam się więc i zaczęłam przygotowywać sobie CV i rozsyłać je do potencjalnych pracodawców. Czas spędzony w domu Rozwan przekonał mnie, że nie boję się ciężkiej pracy, a doświadczenie w pracy z wariatami mogłam wpisać w CV jako umiejętności dodatkowe. Po szkole życia, jaką zafundowała mi moja pierwsza pracodawczyni w tym kraju, już chyba mało co mogło mnie zaskoczyć. Nie ukrywam jednak, że po cichu liczyłam, iż trafię w trochę bardziej normalne miejsce.

W końcu któregoś dnia rano zadzwonił mój telefon. Wyświetlił mi się nieznany numer, więc to na pewno musiał być ktoś w sprawie pracy. Język podszkoliłam przez ten czas na tyle, że już nie bałam się swobodnej konwersacji przez telefon.

Starsza kobieta uprzejmie zadała mi kilka pytań, a następnie zaprosiła mnie na rozmowę, która miała się odbyć jutro. Szukają kogoś od poniedziałku, więc jak dostanę tę pracę, Rozwan będzie niezadowolona z mojego szybkiego odejścia. Ale nic mnie już nie trzymało w tym domu, atmosfera ciągłego terroru powodowała, że nie mogłam spać, a stres zajadałam – jeszcze trochę i nie zmieszczę się w największe dresy, jakie posiadam. Bardzo cieszyłam się z faktu, że mam szansę wyrwać się z tego przybytku wariatów.

Jedynym, o co poprosiła Maria – bo tak miała na imię moja rozmówczyni – było przyniesienie referencji z mojej obecnej pracy. Nie było opcji, żeby Rozwan napisała cokolwiek dobrego na mój temat. Mogłam sama coś napisać, ale potrzebowałam kogoś, kto telefonicznie potwierdzi, jaka ze mnie dobra i pracowita osoba. Nie znałam tutaj za wiele osób – praca od rana do wieczora nie sprzyjała zawieraniu przyjaźni. W tej sytuacji mogłam poprosić o pomoc tylko jedną osobę – Laurę. Zadzwoniłam do niej i poprosiłam o spotkanie w parku obok za godzinę. O umówionym czasie czekałam na nią na parkowej ławce. Spóźniała się – ona nie potrafiła wyjść z domu bez nałożenia na twarz grubej warstwy makijażu, to pewnie dlatego. W końcu się doczekałam – zauważyłam ją, jak powoli idzie w moim kierunku parkową alejką. Gdy tylko zbliżyła się do mnie, od razu wypaliłam z grubej rury:

- Potrzebuję od ciebie referencji!
- Dzień dobry, mnie też miło cię widzieć – odparła z przekąsem.

Potrzebowałam jej pomocy, więc poprawiłam się szybko:

- Witaj, Lauro, pięknie dziś wyglądasz...

Mój tani tekst zadziałał; mimo że widziałyśmy się tylko kilka razy w życiu, to dała się poznać jako osoba łasa na komplementy.

- Skoro już zatarłaś niemiłe pierwsze wrażenie, w czym mogę ci pomóc? – odpowiedziała w wyraźnie lepszym nastroju.

- Potrzebuję referencji, chcę zmienić pracę, bo Rozwan mnie

prześladuje – wypaliłam.

Bałam się, że Laura powie coś Malikowi, ale w obecnej sytuacji nie miałam nic do stracenia.

– Wiadomo, że Rozwan nie da mi dobrych referencji – wyjaśniałam. – Przed chwilą napisałam je sobie sama, a ciebie chciałabym prosić o potwierdzenie ich, kiedy moja nowa pracodawczyni do ciebie zadzwoni.

– Nie ma problemu. Podaj mój numer, podszyję się pod Rozwan. Pokaż mi te referencje, żebym wiedziała, o czym mam rozmawiać – odparła w ogóle niezdziwiona.

Podalam jej kartkę, na której były wypisane posklejane ze sobą naprędce wzory referencji znalezione w internecie.

– No, no! Nie żałowałaś sobie! – zaśmiała się.

– Co? Złe napisałam? – zapytałam zaniepokojona. Nigdy nie pisałam takiego listu, więc musiałam użyć wyobraźni, a ta niekiedy potrafi być bardzo bujna.

– Nie, wszystko ok. I tak długo wytrzymałaś u Rozwan. Podobno dziewczyna, która pracowała przed Conchitą uciekła po tygodniu w środku nocy! – powiedziała ze śmiechem.

Po tak długim czasie w tym wariatkowie wcale się jej nie dziwię.

Następnego dnia rano miałam wszystko rozplanowane. Żeby załatwić moją rozmowę o pracę, miałam trzy godziny pomiędzy śniadaniem dla Shivani a lunchem dla Rozwan. Gdybym spóźniła się choćby o pięć minut, cały mój misterny plan runąłby. Uwijałam się jak w ukropie, żeby rano wszystko było gotowe. Modliłam się, żeby dzisiaj wszyscy wyszli z domu o czasie. Kiedy tylko za Rozwan zamknęły się drzwi wejściowe, mogłam odetchnąć. Szybko posprzątałam po śniadaniu, z prędkością światła ogarnęłam sypialnię i na pełnym gazie przebrałam się i wsiadłam do samochodu. Wbiłam adres w nawigację i pojechałam ku nowemu przeznaczeniu.

Kiedy nawigacja obwieściła, że dotarłam do celu, przed moimi oczami stanęła okazała wiktoriańska rezydencja. Gdy patrzyło się na ten dom, można było powiedzieć, że chatka Rozwan mogłaby przy nim pełnić funkcję domku dla służby. Wsiadłam z samochodu i stałam,

z otwartymi ustami gapiąc się na budynek. Olśniewał i przytłaczał swoim majestatem. Nie wiedziałam, czy powinnam zadzwonić do drzwi frontowych, czy szukać bocznego wejścia. Z drugiej strony nie chciałam chodzić naokoło domu, żeby nie wziął mnie ktoś za złodzieja. Z obawą wcisnęłam przycisk dzwonka przy frontowych drzwiach. Gdzieś w oddali zadźwięczał gong. Czekałam z niecierpliwością i nasłuchiwałam kroków. Nagle drzwi otwarły się, a za nimi ukazał się szpakowaty pan ubrany w idealnie skrojony uniform. Mężczyzna wyglądał jak żywcem wyjęty z filmu. Chyba zauważył, że prawie spadłam ze schodów, bo rzucił niezwykle uprzejmie:

- Przepraszam, że panią przestraszyłem. W jakiej sprawie przybyła pani do Wrzosowego Opactwa?

Usłyszałam tę piękną nazwę i zapomniałam języka w gębie. Stałam przed tym niezwykle wytwornym mężczyzną, będącym być może właścicielem tego pięknego domu... tfu! opactwa - i nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Na szczęście niezręczną sytuację przerwał głos z głębi domu.

- Bernardzie, to zapewne pani na rozmowę w sprawie pracy, wpuść ją, proszę, i zaprowadź do biblioteki! - Nie wiedziałam, do kogo należy ten głos, ale w myślach dziękowałam mu za przerwanie tej niezręcznej ciszy, kiedy to na kilkadziesiąt sekund zamieniłam się w debila.

Posłusznie dreptałam za Bernardem w kierunku biblioteki. Byłam tak zachwycona tym, co widziałam naokoło siebie, że zapomniałam, po co w ogóle tu przyjechałam. Dom onieśmiał swoim przepychem i rozmachem. W środku wszystko było wielkie, ciężkie i czarowało swoim wyglądem. W holu wisiał największy żyrandol, jaki widziałam. Schody wiły się ku wyższym piętrům, na ścianach wisiały ogromne obrazy przedstawiające samych poważnych ludzi. Bernard w końcu stanął przed jednymi z wielu drzwi, oddalonymi nieco od innych, otworzył je i ruchem ręki pokazał mi, że mam wejść pierwsza. To, co zobaczyłam, zaparło mi dech w piersiach. Półki z książkami zajmowały całe ściany. Od góry do dołu ciągnęły się niezliczone liczby woluminów. Na środku pokoju stały fotele i kanapa, które zapraszały do relaksu z książką. Idealnego obrazu dopełniał kominek. Mogę tu zamieszkać za

darmo, tylko dajcie mi czytać te książki i grać się w blasku kominka.

- Proszę usiąść i poczekać, aż pani Maria przyjdzie z panią porozmawiać - powiedział Bernard i bezszelestnie wyszedł z pokoju. Już wiem, czemu nie słyszałam jego kroków: porusza się jak ninja, nie wydając przy tym najmniejszego dźwięku.

Przycupnęłam na najbliższym fotelu i z niecierpliwością oczekiwałam na tajemniczą panią Marię, która miała ze mną rozmawiać.

Nie czekałam długo - drzwi się otwały i do pokoju weszła niezwykle szczupła kobieta od góry do dołu ubrana w czerń. Gdy dodamy do tego czarne włosy, wyglądała bardzo poważnie. Jej twarz też sprawiała wrażenie surowej; nie wiem, czy to z powodu zaciętej miny, czy ze względu na bardzo minimalistyczny makijaż.

- Witam. Miło, że zdążyłaś na czas. Jestem Maria, nadzoruję służbę w tym domu. Wybacz mi swobodny strój, ale jestem tu dzisiaj tylko, żeby przeprowadzić rozmowy.

Jeżeli ona to ubranie nazywa swobodnym, to aż boję się zapytać, jak będzie wyglądała w służbowym uniformie.

- Dzień dobry, to przyjemność móc odwiedzić tak wspaniały dom i cię poznać - wypaliłam. Czyli wróciła mi zdolność do mówienia i nawet powiedziałam coś z sensem.

- Nie chcę cię za długo zatrzymywać. Porozmawiajmy o twojej aktualnej pracy, później wezmę twoje referencje i w ciągu paru dni oddzwonię, czy chcemy podjąć z tobą współpracę - powiedziała.

Rozmowa przebiegała w miłej atmosferze, kobieta wypytała mnie o zakres obowiązków, szczegółowo rozwodziłam się nad dbaniem o dzieła sztuki i polerowaniem drewnianych podłóg. Na koniec Maria krótko opisała moje ewentualne nowe zadania:

- Będiesz pokojówką, która dba o pokoje dla gości. Dom, w którym teraz jesteśmy, to dom letni, państwo przyjeżdżają tylko na dwa-trzy miesiące w roku. Mają przyjechać za dwa miesiące. Co prawda w ogłoszeniu była informacja, że praca jest od zaraz, jednak tak naprawdę mogłabyś zacząć pracę za sześć tygodni. Oferujemy ci studio tylko dla ciebie i oczywiście tygodniowe wynagrodzenie. - Podała kwotę,



która mnie więcej niż zadowalała.

Co prawda pokrzyżowało to trochę moje plany, nie wiem, czy dam radę wytrzymać tyle w mojej aktualnej pracy, ale nie mam za bardzo co wybrzydzać – niech tylko mnie tutaj zatrudnią. Spojrzałam na zegarek. Jeśli chciałam zdążyć przed Rozwan, musiałam zaraz wyjść. Na szczęście Maria okazała się bardzo konkretną osobą. Po wymienieniu się ze mną wszystkimi informacjami wstała i odprowadziła mnie do wyjścia.

- Dam ci jutro znać, czy możesz rozpocząć pracę dla tego domu. Dzisiaj sprawdzę referencje. Do widzenia. - Zatrzasnęła za sobą ogromne drzwi wejściowe.

Szybko ruszyłam z powrotem do siebie.

Wpadłam do domu i szybko zaczęłam odgrzewać lunch. Gdy tylko skończyłam układać talerze, ususzałam trzaśnięcie drzwi wejściowych.

- Ubrałaś się i umalowałaś... Wychodziłaś gdzieś dzisiaj? - zapytała Rozwan.

Nie przypominam sobie, żebym była jej zakładnikiem, ale zamiast tego odpowiedziałam:

- Poszłam do sklepu kupić kilka rzeczy z drogerii.

- Mogłaś zamówić sobie z cotygodniową przesyłką zamiast marnować swój czas. Mam nadzieję, że przyłożyłaś się do sprzątnięcia. - Chyba była głodna, bo na tym zakończył się jej wykład.

Korzystając z sytuacji, pobiegłam na górę sprawdzić, czy wszystko jest ok. Obejrzałam newralgiczne punkty, na których Rozwan lubiła testować moją dokładność. Albo zdałam test, albo Rozwan sobie odpuściła, bo tego dnia mnie już nie nachodziła.

Nazajutrz otrzymałam telefon od Marii, że sprawdziła moje referencje i chętnie mnie zatrudnią. Start pracy za sześć tygodni. Muszę tyle wytrzymać, bo nie stać mnie na wynajęcie chociażby pokoju. Każdy grosz, także ten nadal zarabiany między innymi na chacie, przelewałam do Piekiełka, żeby spłacać zaległe należności. Musiałam też pamiętać, żeby podziękować Laurze za potwierdzenie referencji. Chciałam jej oddać pozostawioną sobie kiedyś butelkę szampana, ale po namyśle stwierdziłam, że bardziej będzie się cieszyć z bombonierki. Trochę się

uspokoiliam, wiedząc, że już tylko sześć tygodni dzieli mnie od zmiany w życiu – miałam wielką nadzieję, że nareszcie na lepsze.

Rozwan chyba wyczuwała, że coś się święci, bo była jeszcze bardziej czepialska niż zazwyczaj. Któregoś popołudnia krzątałam się po kuchni, przygotowując obiad dla Shivani i nic nie zwiastowało katastrofy. Po chwili usłyszałam, że Rozwan i Shivani wchodzą do domu. Zaczęłam nakładać obiad na talerz, kiedy zwróciłam uwagę, że szepczą o czymś za drzwiami. Długo nie trzymały mnie w niepewności i Rozwan wpadła do kuchni, wymachując jakimś pudełkiem.

– Ty głupia dziewucho! Patrz, co narobiłaś!

Szczerze? Nie miałam zielonego pojęcia, o co tej babie może znowu chodzić.

– Możesz wyjaśnić, o co chodzi? – zapytałam najspokojniej, jak potrafiłam.

– Nic nie potrafisz dobrze zrobić! Nic! Moje dziecko głoduje przez ciebie! – wrzeszczała.

– Nie wiem, o czym mówisz, przecież Shivani wyszła z domu z pudełkiem pełnym lunchu – odparłam dość zdziwiona. Co, jak co, ale żeby ten dzieciak nie chodził głodny, to akurat pilnuję.

– Ale jakie to było jedzenie?! Kto normalny by to tknął?! – piekliła się.

Nie wiedziałam, czego niesamowitego oczekiwała po makaronie z grzybami, ale kim ja jestem, żeby oceniać.

– Rozwan, to zwykły lunch, taki jak co tydzień, nie wiem, o co...

W tym momencie mój wywód przerwał makaron, który pojawił się na mojej twarzy. Jak zwykle furiatka nie wytrzymała – tym razem rzuciła na mnie pudełkiem z całą zawartością. Pudełko minęło moją głowę, ale makaron malowniczo rozmazał się na mym licu.

– Sama sobie jedz makaron bez sosu sojowego, my nie jesteśmy barbarzyńcami jak wy! – wysyczała jeszcze i wyszła.

Nie wiem, kogo uważała za barbarzyńców, ale na określenie jej samej miałam kilka cięższych słów. Cóż, trzeba sobie jasno powiedzieć: mój czas w tym domu właśnie dobiegł końca. Już teraz, w tym momencie. Spojrzałam przez okno. Shivani pakowała się właśnie do

auta; zapewne jechały na obiad. Wróciłam do kuchni, zjadłam obiad, który przygotowałam dla Shivani. Jeśli mój plan, który właśnie wpadł mi do głowy, zostanie zrealizowany, przyda mi się pełny brzuch. Po zjedzeniu wzięłam ze składzika wory na śmieci i rozpoczęłam pakowanie. Postawiłam moje auto pod drzwiami i powoli je zapełniałam. W pewnym momencie, kiedy w najlepsze zajęta byłam pakowaniem worków do auta, zauważyłam idącego w kierunku drzwi Kirka.

O nie - pomyślałam - teraz zadzwoni do Rozwan i z mojej ewakuacji nici!

Czekałam, aż znajdzie się obok mnie, żeby mu wyjaśnić, co się stało, ale Kirk... przeszedł obok mnie i tyle. Nawet nie zwrócił na mnie uwagi - nie spojrzał znad tableta. Cóż, nie mogę być w stu procentach pewna, że mnie nie widział. Może Rozwan już do niego zadzwoniła i tylko udawał, bo nie chciał ze mną rozmawiać?

Na szczęście pakowanie było już prawie skończone. Czas na ostatnią wycieczkę po domu, który dawał mi schronienie przez ostatnie kilka miesięcy. Przeszłam się po wszystkich pokojach, teraz już nie robiły na mnie wrażenia, a rzeźby hinduskich bóstw wyglądały po prostu jarmarcznie i tanio. Bez żalu opuszczałam to miejsce - dostałam od życia wartościową lekcję, ale czas już ruszyć dalej. Następnym razem Rozwan może we mnie rzucić czymś cięższym niż pudełko z lunchem.

Zostawiłam mój komplet kluczy na blacie w kuchni, napisałam krótką notatkę i zatrzasnęłam za sobą drzwi. Wsiadłam do samochodu i... No właśnie, gdzie ja mam jechać? Moja praca zaczyna się za pięć tygodni, co mam ze sobą zrobić do tego czasu? Nie chcę roztrwonić swoich małych oszczędności na pokój, a nikt nie przyjmie mnie na pięć tygodni - musiałabym zadowolić się szorowaniem garów. Wyjechałam za bramę - nie mogłam ryzykować spotkania z Rozwan - odjechałam spory kawałek od domu, stanęłam na poboczu, żeby zastanowić się, co dalej. Nie miałam do wyboru wielu opcji. Na hotel nie było mnie stać. A ze względu na to, że moje auto zapakowane po dach moimi gratami, będę mieć problem, żeby się w nim zmieścić.

Nagle mnie olśniło. Wiem, gdzie mogę jechać! Zawróciłam i pojechałam wprost do miejsca, które w normalnej sytuacji przysłoby

mi na myśl jako ostatnie.

## U pana Boba za piecem

Drzwi frontowe były jeszcze zamknięte. W sumie niedziwne, dopiero osiemnasta, może w tygodniu otwierają później. Poszłam na tył i długo waliłam w metalowe drzwi. Zdążyły rozboleć mnie ręce, kiedy wreszcie usłyszałam ryk Boba:

- Czego! Zamknięte! - Gdy otworzył, nie wyglądał za świeżego. Chyba bardzo na serio brał sobie pracę w barze i kosztował każdy możliwy alkohol; zapewne w obawie, żeby klienci się nie otruli.

- Siemka Bob, sprawę mam. - Uśmiechnęłam się najmilej, jak potrafiłam, i już wciskałam się pomiędzy jego pachą a drzewami w ciemny chłód baru.

- Jak masz dla mnie butelki, to mogłaś przyjść później, przeszkodziłaś mi w przygotowaniu do otwarcia.

- Bob, kogo ty chcesz oszukać? Masz odbitą poduszkę na twarzy. - Przezornie spakowałam kilka butelek do torby, którą miałam ze sobą. - Mam butelki, ale mam też do ciebie interes, potrzebuję pomocy - zagadnęłam mojego niewyspanego rozmówcę.

- Nie pożyczam kasy ani auta i nie daję na kreskę - wyrecytował formułkę. Chyba często musiał ją powtarzać.

- Nic z tych rzeczy, potrzebuję parkingu, miejsca do spania i pracy - wystrzeliłam. Raz się żyje, nie mam czasu na udawanie przymilania się.

- Po co mi ktoś do pomocy? Dzieciaku, mój bar ma się świetnie i sam daję sobie radę, nie potrzebuję nikogo. Poza tym nie mam pieniędzy, żeby ci płacić - odpowiedział.

Przełknęłam tego dzieciaka, musiałam dzisiaj gryźć się w język, inaczej czekała mnie zimna noc w samochodzie. Spodziewałam się, że Bob będzie bronił się przed moim pomysłem, ale podczas ostatniej wizyty z butelkami musiałam trochę na niego poczekać i miałam okazję

przyjrzeć się temu lokalowi. Miejscówka była niezła, ale z powodu lat zaniedbań ten kiedyś przyjemny zapewne pub, wyglądał raczej jak mordownia, w której prędzej dostaniesz zakaźną chorobę niż dobrego drinka.

- Nie chcę zapłaty, zapłatą będzie miejsce do spania. Będę sprzątać, nalewać piwo... cokolwiek, proszę.

Mój płaczliwy ton chyba odniósł skutek.

- Dobra, możemy spróbować. Ale bez kręcenia! Złapię cię na kradzieży albo kombinowaniu, wylatujesz! - odpowiedział Bob.

Z radości chciałam go przytulić, ale szybkie spojrzenie na jego koszulę sprawiło, że tylko powiedziałam:

- Nie zawiedziesz się Bob.

W okolicy zaplecza znajdowała się mikroskopijna klitka z jeszcze mniejszą łazienką. Bob przytargał tam, nie mam pojęcia skąd, składane łóżko.

- Na dzisiaj musi ci wystarczyć, jutro pomyślimy nad czymś innym. Tu masz klucze do bramy, postaw tam swoje auto i zabierz z niego graty, bo zaraz ci je okradną. I uwijaj się, za godzinę otwieramy bar. - Po wygłoszeniu tej krótkiej przemowy, rzucił mi klucze i znikł za drzwiami.

Rozejrzałam się po moim nowym pokoju. Nie był to pięciogwiazdkowy hotel, ale było ciepło i nie padało na głowę. Na razie musiało wystarczyć. Szybko przeparkowałam auto, zabrałam swoje graty i jak tylko skończyłam, musiałam się przebierać i pomóc Bobowi.

Na początku nie za bardzo wiedziałam, za co mam się zabrać, moje jedyne doświadczenie w nalewaniu alkoholu polegało na nalewaniu go sobie. Na szczęście Bob przejął się swoją rolą mentora i opowiadał mi, co i jak powinno się robić. Mimo że pub wyglądał jak mordownia, Bob wiedział, co robi.

Szybko też odnalazł się w nowej funkcji, bo kiedy już pokazał mi, jak ma wyglądać moja nowa praca, siadł na stołku za barem i tylko wydawał komendy:

- Pościągaj krzesła ze stołów... powycieraj stoliki... przetrzyj blat... poukładaj kufle... Z życiem! Jesteś panienka z dobrego domu, że tak się guzdrzesz?!

Bob chyba sobie postanowił, że to będzie prawdziwy dzień próby, bo gdy tylko kończyłam robić jedno, od razu rzucał kolejne zadanie. Nie miałam jednak co narzekać - żeby mieć gdzie mieszkać, musiałam go zadowolić, dlatego zasuwiałam cały wieczór. Ostatni klient wyszedł o drugiej w nocy, Bob zamknął drzwi i poszedł liczyć utarg. Ja kończyłam myć podłogę i marzyłam tylko o położeniu się do łóżka. Wyciskałam mopa po raz ostatni, kiedy przyszedł Bob i trzymając coś w ręku, powiedział:

- Dobrze się dzisiaj spisalaś, byłaś bardzo pomocna, klienci chwalili sobie twoją obsługę, dlatego tu jest twoja działka za dzisiejszy dzień. - Wręczył mi zwitek banknotów.

- Dziękuję, Bob, ale nie tak się umawialiśmy. Mam u ciebie pracować za mieszkanie. Ratujesz mi skórę tym, że się zgodziłeś, nie oczekuję więc żadnej zapłaty. - I wierzcie mi, po raz pierwszy, od kiedy do tego kraju przyjechałam, powiedziałam coś takiego szczerze.

- Bierz, to napiwki, więc ci się należą, dzieciaku. - Wręczył mi pieniądze, życzyliśmy sobie dobrej nocy i każde z nas udało się do swojego pokoju, Bob bowiem zajmował małe mieszkanie nad pubem.

Przyszłam do swojego lokum, wzięłam bardzo szybki prysznic - nie tylko dlatego, że byłam piekielnie zmęczona, ale również z tego względu, że dawno nikt tego prysznic nie sprzątał - i z ulgą położyłam się na łóżko. Naokoło mnie wszędzie walały się wory z moimi rzeczami, miałam déjà vu, że kolejny raz zaczynam wszystko od nowa. Przed zaśnięciem chciałam ustawić budzik na telefonie. Na ekranie ukazały mi się komunikaty o nowych wiadomościach i próbach połączenia się z moim numerem. Wszędzie widniało jedno imię - Rozwan. No, to dość oczywiste, bo takie odejście było dla niej jak policzek. Wiem jedno: ta baba miała niezmierną fantazję, jeśli chodzi o ubliżanie ludziom. Niektórych obelg, które przeczytałam w esemesach od niej, dotąd nawet nie znałam. Człowiek uczy się całe życie.

Rano zerwałam się jeszcze przed budzikiem - plan na dziś to odgruzować mój pokój i zobaczyć, jak wygląda pub w świetle dziennym; może słońce pokaże jakiś jego ukryty urok?

Wywaliłam wszystkie graty z pokoju na korytarz i moim oczom

ukazały się drzwi... takie całkiem małe, ale jednak w dalszym ciągu drzwi. Dokąd mogą prowadzić? Z pewnym niepokojem otwarałam je, a moim oczom ukazała się szafa, a może raczej składzik pod schodami. Bardzo się z tego powodu ucieszyłam – przyda się każdy dodatkowy centymetr miejsca na moje graty. Nie wiedziałam, co mam zrobić z rzeczami, które już tam były – wszystkie pokrywała gruba warstwa kurzu, więc wątpiłam, żeby ktoś często ich używał. Nie chciałam jednak wyrzucić niczego należącego do Boba. Poszłam go więc poszukać, by zapytać, co mam zrobić z moim znaleziskiem. Spodziewałam się, że jeszcze śpi, ale o dziwo znalazłam go w pubie skrzętnie coś notującego.

- Dobrze spałaś? - zapytał Bob.

- O, nawet nie wiesz jak. Mam pytanie: Przy moim pokoju jest składzik, a w środku pełno jakichś rzeczy, czy mogę je gdzieś przenieść? Miałabym miejsce na swoje graty.

- Wywal wszystko, same starocie, zajmują tylko miejsce i zbierają kurz - rzucił Bob.

- Na pewno nie chcesz tego przejrzeć? Może coś okaże się dla ciebie wartościowe...

- Na pewno nie, wyrzucić wszystko do koszy za restauracją - powiedział i wrócił do swoich notatek.

Cóż, miałam zielone światło, poszłam więc do swojego pokoju z wielkim worem, gotowa robić porządki. Na początku składziku faktycznie były same papiery i stare gazety, ale kiedy weszłam głębiej, znalazłam kilka ciekawych rzeczy. Najbardziej w oko wpadła mi piękna lampka nocna - sprawdziłam i działała, została więc od razu przeze mnie adoptowana. W kartonie na samym końcu leżało pełno zdjęć oprawionych w piękne ramki. Na jednym z nich zauważyłam młodego mężczyznę, który bardzo przypominał Boba. Przytulała się do niego piękna kobieta. Razem tworzyli cudowną parę. Ciekawe, kim była ta kobieta i co się z nią stało. Swoją drogą, z Boba był niezły przystojniak. Mimo jego sugestii, żeby pozbyć się wszystkich tych rzeczy, zapakowałam z powrotem ramki w gazety i schowałam do pudła. Może kiedyś będę mieć okazję, żeby wypytać Boba o jego historię.

Zakończyłam porządki i mój pokój zaczął przypominać sypialnię,



a nie pobjawisko. Przechodzący obok Bob zajrzał do mnie i gwizdnął z podziwem:

- No, no! Postarałaś się! Ze starego magazynku zrobić taki luksusowy pokój... Znalazłaś też lampę pod schodami? Ta lampa należała do kogoś, kto tu kiedyś mieszkał - powiedział z nietypową dla siebie zadumą.

- Mam nadzieję, że ci nie przeszkadza, że jej używam? - zapytałam. Nie chciałam, żeby miał do mnie żal.

- Używaj, co znajdziesz, nikomu się to już nie przyda. - Odwrócił się i poszedł do siebie.

Jestem coraz bardziej ciekawa, jakie historie ma do opowiedzenia Bob. Mam pięć tygodni na to, żeby dowiedzieć się o nim czegoś ciekawego.

Ja, skoro już i tak byłam ubrudzona od góry do dołu, poszłam obejrzyć bar. W świetle słonecznym wyglądał jeszcze gorzej niż wieczorem. Wydawało mi się, że Bob ograniczał sprzątanie do wycierania blatu baru, bo ten aż błyszczał. Witrażowe okna spowijała gruba warstwa kurzu, plastikowe kwiaty straszyły zamiast ozdabiać wnętrze, a kamienna podłoga dawno straciła swój blask. Długo się nie zastanawiając, poszłam po wiadro, mopa i inne specyfiki mogące mi pomóc w przywróceniu temu miejscu odpowiedniego blasku. Nie powiem, zadanie wybrałam sobie ambitne, samo szorowanie okien zajęło mi kilka godzin - po umyciu każdego jednego musiałam zmieniać wodę we wiaderku. Ale efekt końcowy przeszedł najśmielsze oczekiwania - zachodzące słońce rzucało na podłogę kolorowe pryzmaty. Mogłam być z siebie dumna. Niestety, zanim Bob zszedł do baru, zdążyło się ściemnić i raczej nie zauważył efektu. Jutro zabiorę się za podłogę, a póki co musiałam się przebrać i pomóc Bobowi przy barze. Po całym dniu pracy spałam na stojąco, ale przynajmniej nie mogłam narzekać na nudę.

Systematycznie, dzień po dniu, sprzątałam bar - nawet plastikowe kwiaty zastąpiłam żywymi. Po prawie dwóch tygodniach codziennej harówki bar nie przypominał już zapuszczonej meliny. Nawet klienci zaczęli zauważać zmiany na lepsze. Bob jednak konsekwentnie milczał

na temat moich działań. Było mi trochę przykro, że nie docenił mojej ciężkiej pracy, ale dawał mi miejsce do spania, więc odpuściłam i nie dopraszałam się o żadne komplementy. Każdej wspólnej nocy, kiedy pracowałam za barem, zastanawiałam się, ile lat może mieć Bob. Jak dla mnie wyglądał na starszego niż węgiel, ale w pubie radził sobie nieźle, widać było, że czuje się w tej pracy jak ryba w wodzie. Dalej nie miałam pojęcia, jak ogarniał to wszystko sam.

Czas mijał nam na pracy i zdawkowych pogawędkach. Bob mnie akceptował, ale nie szukał głębszej przyjaźni. Mnie to odpowiadało – miałam na razie dość wścibskich ludzi. Nieubłaganie zbliżał się jednak czas, kiedy miałam zostawić pub, Boba i odejść do nowej pracy. Wiedziałam, że po moim odejściu z czasem wszystko wróci do stanu poprzedniego. Wpadłam jednak na pomysł, że skoro jest tu miejsce do spania, to Bob może zatrudnić kogoś do pomocy na moje miejsce. Założę się, że nie jestem jedyną bez pracy i miejsca do spania. Jednego dnia Bob był w wybitnie dobrym humorze, więc stwierdziłam, że to dobra okazja, żeby go wtajemniczyć w mój plan.

- Bob, tak sobie myślałam, ja za niedługo będę odchodzić do nowej pracy, więc może byś przemyślał zatrudnienie kogoś na moje miejsce? Myślę, że przydałaby ci się pomoc...

- Nie myśl sobie, że jestem zniedołężniałym starcem! Radziłem sobie przed twoim przyjściem, to i poradzę sobie, jak odejdziesz – fuknął i mruczając coś pod nosem, poszedł do swojego mieszkania. To by było na tyle, jeśli chodzi o dobry humor.

W każdy kolejny weekend w pubie było coraz więcej klientów. W dni, kiedy w telewizji były transmitowane mecze piłki nożnej, nie można było w środku znaleźć wolnego miejsca. Ledwo wyrabialiśmy się z Bobem, a bywały wieczory, że nie miałam nawet pięciu minut przerwy. Po którymś z takich pracowitych weekendów, kiedy kończyłam sprzątać salę, przyszedł Bob i rzucił:

- Możesz kogoś szukać na swoje miejsce, ale ja nie będę w tym brać udziału. Ma być tak dobry jak ty i nie zawracać mi głowy. – I tyle go widziałam.

Ucieszyło mnie to. Nie chciałam zostawiać Boba samego, ale

z drugiej strony nie mogłam też wpuścić pod jego dach byle kogo. Od jutra zacznę poszukiwania idealnego kandydata. Wymyśliłam sobie, że powinien to być chłopak, żeby mógł wykonywać za Boba cięższe prace. Odpadało dodanie ogłoszenia w gazecie, bo co niby miałam napisać? „Bezdomny desperat poszukiwany! Będziemy ci płacić wdzięcznością”? Niestety moja nikła liczba znajomych ograniczała możliwość znalezienia kogoś w tym kręgu. Znałam jednak pewną osobę, która kiedyś już mi pomogła. Mam na myśli chłopaka, który poznał mnie z Bobem. Często widywałam go w pubie i kiedy było mniej klientów, siedzieliśmy razem i gadaliśmy o wszystkim i niczym.

Czekałam, kiedy kolejny raz odwiedzi pub, i gdy tylko go zobaczyłam w drzwiach wejściowych, nalałam mu piwo i poszłam przedstawić swój plan. Wytłumaczyłam, że szukam kogoś, kto będzie się opiekował barem i Bobem.

Pomyślał chwilę i odparł:

- Znam kogoś, ale nie wiem, czy będziesz go chciała...

- Czemu? Jest rudy? - zapytałam.

- Nie, ale siedział za pobicie. Chłopak jego mamy chciał ją skrzywdzić, więc stanął w jej obronie. Niestety, facet miał znajomości i to Jim, bo tak ma na imię, miał problemy, a nie ten dupek - w skrócie przedstawił mi jego historię.

- Ręczysz za niego? - zapytałam.

- Tak - odpowiedział. - Bob nieraz mi pomagał, kiedy tego potrzebowałam, nigdy bym nie pozwolił, żeby jakiś oprych zamieszkał pod jego dachem.

To mi na tę chwilę wystarczyło.

Następnego dnia do tylnych drzwi załomotał Jim. Wpuściłam go i zaprosiłam na rozmowę. Żeby nie było drętwo, wzięłam ze sobą do stołu jakieś przekąski. Gdy tylko wylądowały na stole, Jim rzucił się na nie, jakby od długiego czasu nie miał nic w ustach. Zapytałam, co teraz robi i gdzie mieszka. Opowiedział mi, jak po wyjściu z aresztu stracił pracę, a matka wyrzuciła go z domu. Od tego czasu pomieszkuje u znajomych i zbiera złom. Wiedziałam, jak to jest nie mieć gdzie mieszkać, więc powiedziałam mu, że od razu może przenieść swoje

rzeczy, gdzieś na zapleczu wała się stare łóżko turystyczne – póki tu jeszcze jestem musi mu wystarczyć. Patrząc na tego młodego chłopaka, można było się domyślić, że los go nie oszczędzał. Był bardzo wysoki i niezdrowo chudy, na jego twarzy malowały się ślady po siniakach. Życie na ulicy na pewno go nie oszczędzało. Jego ubranie też wyglądało, jakby od dawna nie widziało pralki. Jeśli się sprawdzi, to muszę trochę o niego zadbać.

Jimowi aż zaświeciły się oczy, gdy usłyszał to, co mu zaproponowałam, ale co do rzeczy obwieścił mi:

- Mam wszystko przy sobie.

Z tego, co widziałam, miał tylko plecak.

- To cały twój dobytek? - zapytałam.

- Musiałem uciekać z domu, nie miałem czasu pakować wszystkich rzeczy - odparł, patrząc na swoje buty.

- Tym się nie martw, to załatwimy później. Chodź, pomożesz mi wyciągnąć łóżko z zaplecza.

Do mojej wyprowadzki zostało dwa tygodnie. Przez ten czas musiałam się upewnić, że Jim będzie odpowiednim kompanem dla Boba. Ten ostatni zdawał się nie zauważać, że do naszych prac dołączyła nowa osoba, ale wiedziałam, że uważnie obserwuje nowego pracownika.

Pierwszego dnia jego pracy poszłam poszukać Jima, ale jego tymczasowe łóżko było puste.

- No tak, wystraszył się i uciekł - powiedziałam sama do siebie.

Poszłam do baru, żeby obwieścić złe nowiny Bobowi. Idąc z zaplecza do głównej sali, przechodzi się obok starej kuchni, kiedyś mocno eksploatowanej, teraz kurzącej się i niszczącej. Zauważyłam światło sączące się pod drzwiami. Nikt tam praktycznie nigdy nie chodził, więc zajrzałam, co się tam dzieje. Widok, jaki zobaczyłam, zaskoczył mnie, i to bardzo. Ostatni raz, kiedy tu byłam, wszystkie urządzenia były przykryte starymi prześcieradłami, a na podłodze wałały się patelnie i garnki. Teraz szafki i wyposażenie lśniły, podłoga była uprzątnięta, ba! wyszorowana. Nie spodziewałam się, żeby Bob nagle poczuł potrzebę sprzątnięcia, więc musiał to zrobić Jim. Czyli jednak nie uciekł... Ale kiedy on to zrobił? Chyba w ogóle się nie kładł.

Znalazłam wreszcie chłopaka w dużej spiżarni na końcu kuchni... szorował półki.

- Hej, nie powiem, zrobiłeś na mnie wrażenie - przywitałam go z uśmiechem. - Ale nie musiałeś tego robić, od lat nikt nie używa tej kuchni.

- Hej, sprawdziłem urządzenia, wszystko działa. Zamierzałem zrobić wam śniadanie, ale po pierwsze nie chciałem gotować w takim brudzie, a pod drugie nie mam za co kupić składników - powiedział z rozbijającą szczerością.

Wygrzebałam z kieszeni kilka banknotów i dałam je Jimowi

- Skocz do sklepu i kup, co trzeba.

Jakiś czas później w drzwiach pojawiła się głowa Jima, który z uśmiechem obwieścił:

- Idź po Boba i za pół godziny podaję jedzenie.

Cóż, do jedzenia nikt namawiać mnie nie musi.

Gotowanie posiłków przez Jima umilało nam kolejne dni. Podczas któregoś z posiłków Jim wypalił:

- Czy mógłbym gotować dla naszych gości?

Bob się prawie zakrztusił kiełbaską, którą właśnie jadł.

- Ale po co? - zapytał, gdy już poradził sobie z atakiem kaszlu.

- Myślę, że klienci chętnie przekąsiliby coś do piwa. W ofercie mamy tylko chipsy i orzeszki - zaczął tłumaczyć się ze swojego pomysłu Jim. - Poza tym, praca kucharza zawsze była moim marzeniem.

- Ale to będzie kosztowało kupę kasy. I klienci przyzwyczaili się do baru bez jedzenia - zaczął się bronić Bob.

- Bob, w sumie to nie taki głupi pomysł, zacznijmy na próbę robić coś prostego, jakies burgery, śniadania w niedzielę. Zobaczymy, jak będzie - przekonywałam Boba. Miałam przeczucie, że ten pomysł może wypalić.

- Dobra, ale ja się do tego nie mieszam, robicie to na swoją odpowiedzialność - zakończył dyskusję Bob, wytarł twarz z resztek śniadania i zostawił nas samych.

- No to wychodzi na to, że zostałeś szefem kuchni, Jim.

Chyba się ucieszył z tego faktu, bo uściskał mnie i pobiegł szorować

swoje nowe miejsce pracy.

Gdy wychodziłam z pubu, na blacie znalazłam czek z przypiętą kartką „Na zakupy dla Jima”. Spojrzałam na kwotę. Wychodziło na to, że w głębi duszy Bob też przekonał się do tego pomysłu.

Następne parę dni zeszło nam na przygotowywaniu menu, zamawianiu jedzenia i zmianie baru pod nową ofertę – każdemu klientowi opowiadaliśmy, jaki to świetny obiad może zjeść u nas. Pierwszym dniem, w którym zaczęliśmy serwować jedzenie, była niedziela. Nawet w najśmielszych snach nie spodziewaliśmy się takiego zainteresowania. Jednego tylko nie przewidziałam: że zostanę z automatu mianowana kelnerką. Uwijałam się jak w ukropie, dostarczając zamówione dania, no i oczywiście piwo, które na szczęście nalewał Bob – inaczej musiałabym się rozdzielić. Tego wieczoru podczas liczenia utargu podjęłam męską decyzję i obwieściłam:

- Bob, Jim, potrzebujemy zatrudnić kelnerkę. – Nie czekając na jakąkolwiek odpowiedź, zostawiłam ich samych. Dzisiaj byłam za bardzo zmęczona, żeby wdawać się w kolejną dyskusję.

Stwierdziłam, że skoro Jim został zatrudniony z polecenia, druga osoba powinna się tu znaleźć w taki sam sposób. Niestety w ostatnim czasie nie widziałam u nas mojego kolegi ze znajomościami. Właśnie uświadomiłam sobie, że nie wiedziałam nawet, jak on ma na imię. Zapytałam Jima, czy zna może kogoś godnego polecenia na to stanowisko; obiecał, że się rozejrzy. Miałam nadzieję, że zrobi to szybko, bo zostało już niewiele czasu do mojego odejścia. Uświadomiłam go, że jeżeli osoba, którą poleci, da ciała, wylecą obydwój. Nie mogłam zostawić Boba w złym towarzystwie.

Następnego dnia Jim obwieścił, że znalazł kandydatkę na stanowisko kelnerki – mieszka za rogiem i rozpaczliwie poszukuje pracy. Poprosiłam go, żeby zaprosił ją jeszcze dzisiaj – jeżeli przeżyje wieczorną zmianę, to przeżyje wszystko. Po południu zjawiała się w drzwiach dziewczyna, która dla mnie na oko mogła mieć piętnaście lat (w rzeczywistości okazało się jednak, że była pełnoletnia), a mocniejszy podmuch wiatru mógłby ją zmieść do rowu. Była chyba niższa ode mnie, a to dość nietypowe. Już chciałam powiedzieć, że dzieci mogą tutaj

przychodzić tylko z rodzicami, kiedy dziewczę oświadczyło, że przyszło tu w sprawie pracy.

- Na pewno wiesz, na czym ta praca polega? To dość wymagające stanowisko - próbowałam ją zniechęcić. Bałam się, że dziewczyna padnie pod ciężarem talerza z obiadem.

- Nie martw się, dam radę, poza tym potrzebuję kasy na czynsz, inaczej wywalą mnie i moje młodsze rodzeństwo z naszego mieszkania.

Jak się później dowiedziałam, Elle została sama z dwójką młodszego rodzeństwa na utrzymaniu, kiedy to jej matka wybrała wolność i swobodę z kolejną miłością swego życia.

Powoli zaczęli schodzić się goście, którzy od niedawna przybywali wcześniej niż kiedyś. Podałam Elle fartuch i notes i oświadczyłam, że jej dzień próbny właśnie się zaczął. Razem z Bobem usadowiliśmy się za barem i dopóki nie zrobił się większy ruch, uważnie obserwowaliśmy nową pracownicę. Wzbudziła we mnie podziw: jak mała torpeda biegła z talerzami i kuflami, przez cały wieczór nie usiadła. Dobrze dogadywała się z Jimem, dania płynnie wychodziły z kuchni wprost do zadowolonych klientów. Wypytałam kilku stałych bywalców, co o niej sądzą. Wszystkie opinie były jak najbardziej pozytywne. Spojrzeliśmy na siebie z Bobem - chyba mamy nową pracownicę.

Wiedziałam, że mój czas w pubie dobiega końca. Nie mogłam tutaj zostać, bo z sympatii dla Boba utknęłabym tu na zawsze. Czułam jednak w stosunku do niego dożywotnią wdzięczność, więc musiałam zadbać o to, by nikt nie wpadł na pomysł oszukania go. Na dzień przed swoim wyjazdem, poszłam do kuchni, wzięłam największy nóż, jaki znalazłam, oraz latarkę. Cichutko zakradłam się do komórki, w której stało łóżko Jima, zapaliłam latarkę, wskoczyłam na chłopaka i z dzikim wyrazem twarzy wysyczałam:

- Skrzywdź Boba, a wrócę tu i pożałujesz, że przekroczyłeś próg tego baru! - Chyba musiałam być bardzo przekonująca, albo wyglądać na niezrównoważoną, bo Jim tylko potaknął głową, wybałuszając na mnie oczy. Wymachując nożem, szybko wyszłam.

Mam nadzieję, że teraz dwa razy się zastanowi, zanim wpadnie mu do głowy jakiś głupi pomysł. Równie mocno liczyłam na to, że nie

przestraszy się za bardzo i nie ucieknie.

Rano Jim był na swoim miejscu w kuchni; nie podjął tematu moich nocnych odwiedzin, może myślał, że był to tylko abstrakcyjny sen.

Nadszedł czas mojego wyjazdu i rozpoczęcia nowego rozdziału w życiu. Kolejny już raz musiałam spakować się w wielkie wory, załadować moje auto po dach i pojechać ku nieznanemu. Po raz pierwszy jednak nie uciekałam w popłochu, tylko żegnałam się z kimś, kogo mogłam nazwać przyjacielem. Sama nie wierzyłam w to, jak głęboko zaprzyjaźniłam się z Bobem przez ten czas, jaki spędziłam z nim w pubie.

Ostatniego dnia ubrałam się w najlepsze ciuchy – chciałam nowy rozdział w moim życiu zacząć ze smakiem. Tu muszę wtrącić, że mam pewną słabość. Jestem... zakupoholikiem w stanie uśpienia. Gdyby nie to, że jestem ekstremalnie biedna, to tonęłabym w ubraniach i butach. Każdą nadprogramową kasę musiałam przeznaczyć na coś fajnego – pieniądze w portfelu lub na koncie najwyraźniej mnie uwierały. Ktoś kiedyś dość trafnie o mnie powiedział, że chyba mam alergię na oszczędzanie. Coś w tym jest. W każdym razie moja alergia jest przyczyną tego, że w swojej szafie posiadam bardzo modny i obrzydliwie drogi płaszcz od znanego projektanta oraz kilka torebek z logo marek, które możesz znaleźć w najlepszych butikach. Nie jestem z tego dumna, ale cóż – jestem uzależniona, to choroba i ktoś powinien wystawić mi na to zaświadczenie. Tak więc mojego pierwszego dnia w nowej pracy, który był zarazem ostatnim u Boba, wyglądałam dość stylowo.

W głównej sali czekała na mnie cała ekipa. Pierwszy podszedł do mnie Bob i wręczając mi storczyka, powiedział:

- Zawsze będzie czekało tu na ciebie łóżko, dzieciaku. - To powiedziawszy, ukradkiem otarł łzy. - Zmieniłaś mój pub i zmieniłaś moje życie w ekspresowym tempie, nigdy ci tego nie zapomnę.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie pamiętałam już, kiedy ostatni raz ktoś był dla mnie tak serdeczny. Wychodzi na to, że czegokolwiek się dotknę, zamieniam w złoto. Poza moim własnym życiem.

Przytulając na do widzenia do Jima, szepnęłam mu na ucho:

- Będę cię obserwować, nie zawieź mnie!



Jim tylko pokiwał głową – chyba faktycznie się mnie bał.

Odjeżdżałam, mając łzy w oczach. Będę tęsknić za tym miejscem i za tymi ludźmi, ale też obiecałam sobie, że Bob na zawsze zostanie w moim życiu. Tym, czego się nauczyłam podczas mojego pobytu w tym kraju, jest to, że dobrych ludzi trzeba się trzymać z całych sił. Włożyłam storczyka do auta i odjechałam otworzyć nowy rozdział w moim życiu.

## Rozrywki pięknych i bogatych

Kiedy prawie już podjechałam pod Opactwo, zaparkowałam na poboczu i obserwowałam majestatyczny budynek, który pławił się w promieniach porannego słońca. Szyby lśniły, jakby były wykonane ze złota, a wrzosa za domem wyglądały jak fioletowe morze.

Dom wyglądał niczym z jakiegoś bajkowego opisu – ciekawe, czy moje życie tam będzie jak w bajce...

Podjechałam pod dom i poszłam poszukać Marii lub kogoś innego, kto powie mi, gdzie mogę zostawić auto. Tym razem w domu dało się wyczuć, że tętni życiem. Jedne pokojówki biegały z naręczem pościeli i ręczników; kolejne polerowały każdą możliwą powierzchnię.

Marię znalazłam w jej gabinecie za kuchnią. Siedziała przed laptopem i namiętnie wklepywała w tabele jakieś cyferki.

– O, dobrze, że jesteś – przywitała mnie z uśmiechem. – Jak widzisz, uwijamy się przed przyjazdem państwa. Chodź, pokażę ci twoje studio i miejsce parkingowe.

Posłusznie szłam za Marią niekończącymi się korytarzami – czułam się jak w jakimś labiryncie. Wiedziałam jedno: na pewno pobłądzę w drodze do mojego pokoju. Muszę nadmienić, że mam pewien defekt: potrafię się zgubić nawet na parkingu przed centrum handlowym. Podobnie, choć mam w samochodzie dwie nawigacje, to za mało, żeby naprowadzić mnie na dobrą drogę. Poza tym, jako urodzony koziorożec, mam brzydki nawyk, że nie przyjmuję dobrych rad i na złość robię dokładnie odwrotnie. Skutkuje to tym, że gubię się wszędzie. Póki nie nauczę się na pamięć tych korytarzy, będę tu błądzić.

W końcu stanęliśmy przed jednymi z wielu takich samych drzwi. Maria wyciągnęła ogromny pęk kluczy i otworzyła drzwi. Nie czekając na zaproszenie, weszłam do środka i zamarłam. Pokój był ogromny;

wprawdzie prosto umeblowany, ale miał wszystko, czego potrzebowałam. W kącie zauważyłam nawet mały aneks kuchenny. Byłam przeszczęśliwa. Dostałam od Marii wytyczne, gdzie zostawić samochód, i do lunchu miałam czas wolny, żeby się rozgościć. Potem miałam się zgłosić po odbiór uniformu i zacząć nową pracę. Poszłam do samochodu po moje rzeczy. Targając je za sobą, próbowałam sobie przypomnieć, gdzie jest mój pokój. Kilka razy wyminął mnie ktoś z pracowników, ale byli chyba zbyt zajęci, żeby zainteresować się zagubioną dziewczyną z czarnymi workami w rękach.

Kiedy robiłam kolejną rundkę po zagmatwanych korytarzach, zagadnęła mnie miło wyglądająca dziewczyna. Poczułam do niej sympatię, bo wyglądała dość podobnie do mnie, to znaczy była niska i okrągła. Ale poza tym miała w twarzy coś, co powodowało, że chciałam ją poznać. Jediną różnicą pomiędzy nami było to, że jej włosy miały prawie biały kolor.

- Hej, jestem Jill, wyglądasz jakbyś się zgubiła. Chodź, pokażę ci, gdzie jest twój pokój. Jesteśmy w końcu sąsiadkami! - niemal krzyknęła do mnie.

Kamień spadł mi z serca. Już myślałam, że będę tak krążyć do śmierci, a potem zostanę duchem opactwa - Białą Damą z czarnymi worami. Jill zaprowadziła mnie pod same drzwi i rzuciła, że widzimy się na lunchu o pierwszej. Spojrzałam na zegarek. Nie zostało mi już dużo czasu na rozgoszczenie się w nowym pokoju, który pokochałam od pierwszego wejrzenia. Co prawda widok z okna był na garaże zamiast na wrzosowisko, ale to nic. Było tu więcej miejsca niż we wszystkich moich poprzednich pokojach razem wziętych. Szybko porozkładałam swoje rzeczy, nie chciałam spóźnić się pierwszego dnia. Jak na razie wszystko mi się tutaj podobało.

Moją krzątalinę przerwało pukanie do drzwi. Nie miałam pojęcia, kto to może być. Za drzwiami stała uśmiechnięta Jill.

- Hej, przyniosłam ci twój uniform, mam nadzieję, że będzie pasować, nosimy chyba ten sam rozmiar. - Czyli ona też to zauważyła.

Wzięłam swój fartuszek i poszłam się przebrać. Bałam się, że się nie zmieszczę i będę musiała prosić o większy rozmiar, ale Jill faktycznie

miała dobre oko, wszystko pasowało jak ulał. Nieśmiało wyszłam z łazienki.

Gdy Jill mnie zobaczyła, wykrzyknęła:

- Wyglądamy jak siostry! Tylko kolor włosów nas różni. A teraz, skoro już prezentujesz się jak rasowa pokojówka, idziemy na lunch, poznasz wszystkich.

Szybko szłam za nią do jadalni, w której znajdowała się już spora grupa ludzi.

- Uwaga wszyscy, to nowa pokojówka Anna! - krzyknęła na całą salę Jill. Po kolei zaczęła mnie przedstawiać każdemu. Niestety moja pamięć do imion jest raczej kiepska, więc w dalszym ciągu pamiętałam tylko imię mojej nowej sąsiadki.

Na szczęście kłopotliwe przedstawianie skończyło się szybko i poszłam za Jill, żeby usiąść przy stole. Kucharki już znosiły jedzenie na stół; wyglądało pysznie.

Rozwan, jeśli to czytasz, udław się swoją rybną breją!

Tak jak podejrzewałam, jedzenie smakowało tak, jak wyglądało. Po skończonym posiłku Jill powiedziała, że pokaże mi, co będzie należało do moich obowiązków.

- Będiesz sprzątać pokoje gościnne. Są wprawdzie używane tylko kiedy organizowane są przyjęcia, czasem jednak przyjeżdżają goście do państwa, więc musisz stale utrzymywać je w nienagannej czystości.

Pomyślałam sobie: co może być trudnego w sprzątaniu dwóch czy trzech czystych pokoi. Jak się jednak za chwilę dowiedziałam, pokoi dla gości było dziewięć, a każdy miał własną łazienkę. Trochę się przeraziłam - teraz, kiedy pokoje są puste, jest w porządku, ale co zrobię, kiedy zapełnią się gośćmi? Na szczęście Jill zaraz mnie uspokoiła:

- Nie martw się, goście przyjeżdżają zazwyczaj ze swoją służbą i ty nie masz wtedy wstępu do pokoi.

- Jak długo tu pracujesz? - zapytałam Jill, bo wydawało mi się, że o pracy pokojówki wie wszystko.

- To mój drugi rok tutaj. Nie jest źle, przez większą część roku dom stoi pusty... no, nie licząc służby. Prawdziwej pracy jest może trzy albo

cztery miesiące w roku.

Coraz bardziej mi się tutaj podobało - muszę spać się i ciężko pracować tylko parę miesięcy, a potem to bardziej odpoczynek niż praca.

- Pracę zaczynasz o ósmej, a kończysz, jak wszystko posprzątasz. Ale nie spiesz się z pracą, bo Maria na pewno sprawdzi, czy przykładasz się do roboty - ostrzegła mnie Jill.

Nie mam zamiaru się z niczym spieszyć - chcę tu zostać. Zdecydowanie.

Następnie pokazano mi, gdzie są trzymane detergenty. Pomieszczenie to wyglądało bardziej jak sklep niż schowek na płyny - jestem w niebie... pedantycznym niebie.

Po tym małym wprowadzeniu, zaczęłam sprzątać. Nie byłam pewna, kiedy ostatni raz ktoś tu sprzątał, ale wszystko było dość zakurzone. Powoli po kolei doprowadzałam kolejne pokoje do stanu używalności. Niosąc naręczce pościeli do wyprania, zauważyłam w jednym pokoju Marię. Stałam cicho za drzwiami i patrzyłam, co będzie robić. Maria ręką ubraną w białą rękawiczkę sprawdzała, czy dokładnie wysprzątałam gzyms kominka. Z tej odległości nie za bardzo widziałam, czy zdałam ten test, ale miałam nadzieję, że tak.

Wieczorem Jill zabrała mnie do kuchni, w której wszyscy siedzieli przy stole. Widać było, że są już po pracy - nie było śladu po fartuszkach i garniturach, ludzie raczyli się jedzeniem i piwem. Po którejś kolejnej butelce wszyscy byli już rozluźnieni, a rozmowa zeszła na naszych gospodarzy. Każdy dzielił się jakimiś śmiesznymi historyjkami, które wydarzyły się w domu. W pewnej chwili któryś z chłopaków rzucił żartem:

- No, mam nadzieję, że Anna nie skończy jak jej poprzedniczka, to dopiero było zabawne.

Wszyscy nagle umilkli i wpatrywali się to w niego, to we mnie. Jak to „skończyła”?! Jej zwłoki są nadal w szafie? W ciągu paru minut wszyscy rozeszli się do pokoi. W drodze do siebie próbowałam wypytać Jill, o co chodzi z tą moją poprzedniczką.

- Oj, Anno, jestem za trzeźwa, żeby mówić takie rzeczy! - ucięła

i zniknęła za drzwiami swojego pokoju.

Cóż, taka odpowiedź mi wystarczyła - muszę urządzić babski wieczór dla mnie i Jill, a wtedy wszystkiego się dowiem.

Przez kolejne dni sprzątałam w kółko moje pokoje gościnne, trochę rutynowo, ale cieszyłam się z każdej chwili spędzonej w tym pięknym i spokojnym miejscu. Polubiłam ciszę panującą w domu pomimo tego, że pracowało tu tyle osób. Pokochałam moje poduszki pachnące lawendą i ogromne wrzosowiska za domem. Któregoś dnia z sennego krzątania się po pokojach wyrwała mnie Jill.

- Państwo przyjeżdżają! - krzyczała od drzwi. - Musimy się przygotować!

- Przecież ten dom łśni od stóp do głów, co ty chcesz przygotowywać? - zapytałam Jill.

- Nie co, tylko kogo - my się musimy przygotować. Młody pan bardzo lubi, kiedy pracownice ładnie wyglądają.

Co prawda nie pisałam się na konkurs piękności, ale jakie miałam wyjście? Jill chyba te przygotowania sprawiały przyjemność, więc bez zbędnego protestu pozwoliłam się zrobić „na człowieka”. Wieczorem, po nerwowym oczekiwaniu, usłyszałyśmy wołanie Marii, że wszyscy mają zejść do głównego holu, żeby powitać właścicieli. Byłam ogromnie podenerwowana, nie wiedziałam, czego i kogo się spodziewać. Poza tym nie zapomniałam, że to moja pierwsza praca w takim miejscu. Dom Rozwan, mimo jej rozpaczliwych prób aspirowania do bycia arystokratką, mógłby tutaj robić tylko za domek dla służby.

Dwuskrzydłowe drzwi otwały się i do środka weszła starsza dystygowana para. Mężczyzna i kobieta zamienili kilka słów z Marią, ominęli nas wzrokiem i poszli do swoich pokoi. Ulżyło mi, że nie musiałam z nimi rozmawiać, zapewne z wrażenia zapomniałabym języka w gębie. Chciałam już się odwrócić i pójść do siebie, kiedy Jill przytrzymała mnie za sukienkę i szepnęła, że mam się nigdzie nie ruszać, bo to jeszcze nie wszyscy. Faktycznie po paru minutach do hallu weszło dwóch młodych mężczyzn i dziewczyna. Ta ostatnia nawet nie zaszczyciła nas spojrzeniem, klepiąc coś w telefonie, poszła prosto na piętro. Jedynym, co po niej zostało, był ciężki zapach perfum. Jej twarz

schowana była za ogromnym smartfonem, więc nie potrafię jej nawet opisać. Wychodzi na to, że Shivani miała zadatki na arystokratkę. Dwaj młodzi mężczyźni, którzy weszli jako ostatni, mogliby być brani za bliźniaków. Obydwaj ubrani byli w modne casualowe marynarki. Fryzury, które miały uchodzić za niedbałe, wyszły zapewne spod ręki jakiegoś drogiego fryzjera. No i brody... Czy teraz każdy facet musi mieć brodę?

W odróżnieniu do młodej damy, młodzieńcy się nami zainteresowali. Podeszli do mnie i Jill, zlustrowali nas wzrokiem, w końcu jeden z nich rzucił:

- Co, Jill? Co sezon to nowa świeżynka? - I śmiejąc się, poszli za resztą grupy.

Poza tym jednym zdaniem nikt nie odezwał się do nas ani słowem. I dobrze, mam nadzieję, że taki stan będzie utrzymywać się przez cały czas.

Myślałam, że przyjazd rodziny zmieni coś w przebiegu mojej pracy, na szczęście dla mnie dalej każdy dzień przebiegał na czyszczeniu pustych i czystych pokoi. Z tego, co się dowiedziałam, nasi lokatorzy całe lato spędzają na przyjęciach i bywaniu w podobnie snobistycznych miejscach. Dla mnie super. Mniej kontaktu z pracodawcą - mniejsze szanse, że mnie zwolnią.

Z drugiej strony stwierdziłam, że moje życie stało się monotonne - codziennie rano robiłam te same rzeczy, sprzątałam te same pokoje, siedziałam na tym samym miejscu przy stole w jadalni. Obiecałam sobie, że muszę znaleźć jakieś hobby, bo inaczej oszaleję. Z nudów znowu zaczęłam dużo pisać na chacie. Zabijałam w ten sposób czas, no i wpadał dodatkowy grosz. Musiałam się jednak pilnować, ponieważ nie chciałam znowu usnąć na kanapie w pokoju, w którym powinnam sprzątać. Myślę, że Maria nie byłaby taka łatwowierna. Podczas kolejnej nocy, kiedy namiętnie pisałam z internetowymi napaleńcami, na korytarzu usłyszałam jakieś głosy. Było to dość niezwykle, o tej porze cała służba powinna już być w swoich pokojach. Podeszłam do drzwi i najciszej, jak potrafiłam, otworzyłam je. Przez szparę w drzwiach zauważyłam Jill i jednego z młodych lordów, Georga. Na szczęście stali

do mnie plecami więc nie mogli mnie zauważyć.

Usłyszałam, jak George cicho mówi do Jill:

- Dobrze się dzisiaj spisałaś, to twoja działka. Powinnaś pogadać z tą nową, co zaczęła pracę, miałbym do kompletu brunetkę. Poza tym przyda się dodatkowa para... - Tutaj urwał, pokazując coś Jill, niestety nie zobaczyłam co. To, co zobaczyłam na pewno, to zwitek banknotów, które George wręczył Jill. Nie wiedziałam, za co jej płacił, ale po grubości zwitka szacowałam, że dostała równowartość swojej miesięcznej wypłaty. Było to podejrzane, ponieważ nasze tygodniówki wypłacała nam w gotówce Maria.

Stwierdziłam, że muszę jutro sprawdzić, kiedy mamy następny wolny wieczór i wyrwać Jill z domu. Liczyłam, że powie mi, jaki to biznes robi z naszym małym księciem.

Niestety, mój kolejny wolny wieczór rozminął się z wolnym Jill, spędziłam go więc tak jak każdy poprzedni. Leżałam na moim ogromnym łóżku i udawałam, że oglądam telewizję. Próbowałam zadzwonić do Boba, ale zgłosiła się tylko sekretarka. Miałam nadzieję, że powodem tego jest to, że nikt nie słyszał dzwonka, a nie to, że Bob leży zadżgany w jednej z zamrażarek. Z braku zajęcia oczywiście zaczęłam rozpamiętywać wszystkie moje przygody, które mnie spotkały na obczyźnie, i zastanawiałam się, gdzie jeszcze rzuci mnie los. W głowie miałam mętlik - nie chcę do końca życia sprzątać czyjegoś domu, nawet jeżeli jest tak piękny. Z drugiej strony, nie chcę, żeby moim życiowym osiągnięciem było nalewanie piwa bez spienienia go. Tak bardzo chcę wierzyć, że całe moje życie jest czymś więcej niż tylko jednym wielkim błędem!

Następnego dnia Jill rozchmurzyła mnie - obwieściła, że w najbliższy piątek ma wolny wieczór, więc zabiera mnie i wychodzimy na miasto. Musiałam się dwa razy upewniać, co dokładnie chce robić - tak bardzo zasiedziałam się w opactwie, że wyjście na miasto kojarzyło mi się z szybką wycieczką do sklepu po wino. Odliczałam z niecierpliwością dni do piątku; po pierwsze, chciałam się rozerwać, po drugie, chciałam wreszcie wypytać Jill o parę rzeczy, które mnie nurtowały.



W końcu nadszedł oczekiwany dzień. Odstawiłyśmy się z Jill niczym na przyjazd samej królowej. Weszłyśmy do pierwszego napotkanego pubu, zajęłyśmy stolik i zamówiłyśmy kolejkę. Niestety, Jill okazała się dużo lepszym zawodnikiem niż ja. Ledwo zamoczyłam usta w drinku, a Jill już swój kończyła. W tym tempie zdąży się upić szybciej, niż ja skończę tę szklanekę, i nic się nie dowiem. Nie miałam więc czasu na półśrodków i udawanie, że interesuje mnie tylko picie. Zamówiłam następną kolejkę i prosto z mostu zagadnęłam o dziewczynę, która pracowała przede mną. Jill spojrzała na mnie podejrzliwie.

- Nie wygadasz nikomu? - zapytała.

- Słowo harcerza! - wypaliłam.

- No więc dziewczyna, która pracowała tutaj przed tobą, była dość... hmm... rozrywkowa, lubiła się zabawić... - Słuchałam uważnie, niestety Jill często przerywała, żeby wypić ze szklanki kolejny łyk. - No i zaprzyjaźniła się trochę za bardzo z bratem Georga, Jerry'ym. Wszyscy przymykali na to oko, oni są tutaj przecież tylko kilka tygodni w roku. Każdy kręcił głową, gdy ta dziewczyna opowiadała, jak to książe pokochał kopciuszka. Przy każdym posiłku słuchaliśmy, jak snuła plany na temat ślubu i o tym, że zostanie panią w Opactwie. Ona była jeszcze bardzo młoda i nie dała sobie wytłumaczyć, że faceci tacy jak on takie dziewczyny tylko wykorzystują, a żenią się z prawdziwymi księżniczkami. Romans trwał w najlepsze i zapewne skończyłby się tak samo, jak każdy inny, niestety nikt nie przewidział, że Jerry nie pomyśli tą głową, którą powinien, i mówiąc prosto z mostu, zrobił tej biedaczce dzieciaka...

Tu moje oczy były już wielkości spodków. Jak to dziecko?! Taki mezalians?! Czyżby wydarzyła się tu historia rodem z bajki o Kopciuszku?

Jill wymownie spojrzała na swoją pustą szklanekę. Czyli w zamian za informacje musiałam płacić tequilą. Szybko przyniosłam kolejne drinki, mimo że sama nadal nie skończyłam pierwszego.

- No więc dziewczyna zaszła w ciążę i wtedy zrobiło się już nieciekawie. Pani się dowiedziała, karą dla Jerry'ego było odesłanie z powrotem do City, a dziewczyna po dwóch dniach „odeszła z służby”.

- To znaczy, że nie było ślubu? A co z dzieckiem? - wypytywałam Jill.

- Jakiego ślubu?! Takie rzeczy dzieją się tylko w hollywoodzkich filmach. W rzeczywistości dziewczynę umówiono na zabieg, żeby pozbyć się niechcianego dziecka, ona dostała trochę kasy za milczenie i taki był koniec romantycznej miłości.

Naprawdę nie wierzyłam w to, co właśnie usłyszałam. Czy to już reguła, że im piękniejszy dom, tym większe bagno?

Została jeszcze jedna rzecz, o którą chciałam zapytać Jill, tylko nie za bardzo wiedziałam jak zacząć temat. Nie chciałam, żeby poczuła się urażona moją ciekawością. Na szczęście tequila mi pomogła i skutecznie rozwiązała Jill język. Poznałam kilka pikantnych ploteczek na temat reszty służby. Wreszcie Jill zapytała, jak stoję z kasą. Zgodnie z prawdą powiedziałam, że cierpię na permanentną biedę.

- Może mogłabym ci zaproponować pracę... mogłabyś sobie dorobić - zaczęła.

- Przecież pracujemy cały tydzień, kiedy mam jeszcze znaleźć czas na dodatkowe zajęcie? - zapytałam.

- Możesz pracować razem ze mną wieczorami.

Tequila chyba zaczęła mi już przyćmiewać rzeczywistość, bo palnęłam jak sierota:

- Chodzi o pracę w cateringu? Jakaś obsługa przyjęć?

- No... powiedzmy, jesteś towarzystwem dla biznesmenów, więc w sumie to taka obsługa przyjęć, tyle że jest na nim tylko dwóch gości. - Jill zachichotała, wyraźnie zadowolona ze swojego żarciku.

Teraz zrozumiałam, o co jej chodzi. O matko! Moja koleżanka była prostytutką! Zapytałam o pierwszą rzecz, jaka przyszła mi na myśl po tej wiadomości:

- Nie boisz się, że ktoś w domu dowie się, co robisz?

- Nie martw się, mam bardzo dyskretnego opiekuna, a klienci też wolą zachować w tajemnicy spotkania ze mną. To co o tym myślisz?

- Wiesz, muszę się trochę zastanowić, nie spodziewałam się takiej oferty - odpowiedziałam, bo uświadomiłam sobie, że teraz, kiedy znam już jej sekret, albo będę musiała do niej dołączyć, albo znowu szukać pracy.

W nocy leżałam w łóżku, analizując to, co usłyszałam od Jill. Dalej było mi ciężko uwierzyć, jakie rzeczy dzieją się za fasadą piękna i bogactwa. Dotychczas o takich sprawach czytałam w brukowcach do śniadania i nie wiedziałam, czy chcę się stać częścią takiego świata. Zaczęłam nawet rozważać rzucenie tego wszystkiego i powrót do Boba. Wiem, że chciałam odmiany, ale wychodzi na to, że moje życie to wpadanie z jednej skrajności w drugą.

Przez kolejne dni starałam się unikać Jill. Praca, jaką mi zaoferowała, była na ostatnim miejscu listy najbardziej upokarzających zajęć, jakich mogłabym się imać. Nie jestem przesadnie cnotliwa, ale przeczucie podpowiadało mi, że nie powinnam się w to łądować. Jestem biedna, ale swoją godność mam... Chyba.

Pewnego dnia, kiedy szorowałam łazienkę, zobaczyłam Jill stojącą w drzwiach.

- Unikasz mnie ostatnio, to chyba nie z powodu mojej oferty?

No tak, postawiła mnie przed faktem: muszę albo przekonująco skłamać, albo od jutra będę towarzyszyć zbereźnym staruchom. A jeżeli są chociaż w jednym procencie tak pomysłowi, jak moi chatowi koledzy, to dziękuję bardzo.

- Nie unikam cię, tylko miałam dużo pracy. - Wiedziałam, że Jill nie jest głupia, i nie uwierzy w takie marne wymówki.

- Akurat! Nie rób ze mnie głupka, jesteście koleżanki czy nie?

Nie miałam jak uciec, stała w drzwiach. Nie zostało mi nic innego, jak rzucić z grubej rury:

- Jill, nie wiedziałam po prostu, jak ci powiedzieć... Chciałabym sobie dorobić, ale nie mogę, ja jestem chora, tam... Wiesz... - Rozpaczliwie próbowałam przypomnieć sobie nazwę jakiegoś egzotycznego schorzenia, które mogłam usłyszeć w jednym z medycznych tasiemców. - Mam toczeń! - W myślach prosiłam, żeby Jill nie oglądała tych samych seriali, co ja.

- Ok, przepraszam, nie wiedziałam. Zapomnij, że w ogóle pytałam. - Jill wyglądała na autentycznie przejętą.

Liczyłam, że nie sprawdzi w internecie nazwy choroby. Na razie miałam ją z głowy. Musiałam się jednak poważnie zastanowić, co dalej

mam zrobić z wiedzą, którą posiadałam.

Kilka dni później do rezydencji zjechali się goście na coroczny bal letni. Nie miałam czasu na rozmyślanie - od rana do wieczora byłam zajęta pracą. Mogłam za to ukradkiem obserwować, jak wyglądają takie imprezy. Okazało się, że poza większym przepychem i podwyższonym standardem niczym nie się różniły się od imprez organizowanych przez Rozwan - czyli wszyscy bawią się tak samo, różni się tylko cena na butelce szampana.

Parę tygodni później znowu mój wolny dzień pokrył się z wolnym Jill. Powoli naszym zwyczajem stawało się już wspólne wychodzenie wtedy na miasto. Tym razem jednak Jill unikała tematów związanych z jej drugą pracą i znacznie ograniczyła ilość tequili. Nie było to już dla mnie istotne - i tak wiedziałam więcej, niż chciałam. Gdy siedziałyśmy nad kolejnym drinkiem, Jill niespodziewanie wypaliła:

- Wiesz, czytałam o tej twojej chorobie.

Zrobiło mi się słabo. Jak się jej wytłumaczę z takiego kłamstwa?

- Taczka to straszna choroba, bardzo ci współczuję. - To powiedziawszy, przytuliła mnie. Stwierdziłam, że moja koleżanka w dalszym ciągu zdecydowanie za dużo pije.

Kiedy wychodziłyśmy z baru, spotkałyśmy się w drzwiach z jednym chłopakiem, który pracował razem z nami, a teraz również opuszczał lokal. Zauważyłam, że zanim nas zobaczył, włożył drugiemu chłopakowi saszetkę pełną białego proszku. Głupia nie jestem, nie urodziłam się wczoraj i już wiedziałam, że kolejna osoba z domu znalazła sobie dodatkowe zajęcie. Czy tylko mnie, gdy myślę o dodatkowej pracy, chodzi o opiekę nad dziećmi?

Przywitaliśmy się i postanowiliśmy, że wspólnie weźmiemy taksówkę do domu. Zanim wprowadziliśmy nasz plan w życie, nowy towarzysz zmienił zdanie i zaproponował, że podwożą nas jego znajomi. Zastanawiałam się, po co po trzy osoby ma przyjeżdżać większa grupa. Zrozumiałam, gdy zobaczyłam samochody, które podjechały pod pub. Zazwyczaj widywałam takie w filmach albo gdzieś na autostradzie, jak ze świstem wyprzedzały moje auto. Musiałam głupio wyglądać, bo Jill podeszła do mnie i powiedziała:

- To jest mój przyjaciel, o którym ci wspominałam, nie stresuj się, też go przecież znasz.

O czym ona gada? Nie przypominam sobie, żebym miała w znajomych na Facebooku jakiegoś alfonsa.

Odwróciła się i wpakowała do sportowego auta z maksymalną gracją, na jaką pozwalała jej ilość wypitej tequili, i samochód odjechał z piskiem opon. Otworzyłam drzwi samochodu, którym miałam wracać do domu, i moim oczom ukazał się George.

No pięknie, mama wie, z kim się zadajesz?

- O proszę, moja nowa świeżynka! Wsiadaj, przewiozę cię! Nie pozostało mi nic innego, jak wsiąść i pojechać z małym księciem.

Zamiast w kierunku opactwa, skierował wóz wprost na autostradę. Udając pełen luz, zapytałam:

- Gdzie mnie porywasz?

- No, chyba nie odwiozę cię tak po prostu do domu? Pokażę ci, jak się tutaj jeździ. - Słowa wprowadził w czyn, dosłownie wcisnęło mnie w fotel.

Nie wiem, z jaką prędkością jechaliśmy, i w sumie nie chciałam wiedzieć, modliłam się tylko, żebym dojechała do domu w jednym kawałku. Co prawda mogłabym skończyć życie w mega drogim samochodzie, ale niekoniecznie akurat w towarzystwie alfonsa. Mimo przymkniętych oczu, zauważyłam migające światło policyjnego koguta. No, w sumie było to do przewidzenia - z przerażeniem spojrzałam na George'a.

- Zatrzymujemy się czy uciekamy? - rzucił w moim kierunku z uśmiechem. Chyba jednak zauważył moją minę, bo od razu dodał: - Spokojnie, załatwię to, nic się nie odzywaj, jakby co, jesteś moją kuzynką.

Zjechaliśmy na pobocze i czekaliśmy na oficera. Podszedł do nas i poprosił o wszystkie dokumenty. George długo grzebał w schowku, przy okazji, i zapewne wcale nieprzypadkowo, dotykając mnie po nogach. W końcu podał policjantowi gruby zwitek dokumentów. Czekaliśmy w kompletnej ciszy, aż wróci. W końcu zobaczyłam go w oknie. Podał George'owi dokumenty, i życzył nam udanej dalszej drogi.

Nie dało się nie zauważyć, że dokumenty, które oddał, były o wiele cieńsze niż te, które dostał. Żyję w świecie, w którym wszystko można kupić, jeśli jesteś wystarczająco bogaty.

Podjechaliśmy pod dom. George rzucił:

- Mam nadzieję, że ci się podobało, jak będziesz czegoś potrzebować, to przyjdź do mnie.

Odwróciłam się i pobiegłam w stronę bocznego wejścia. Gdy tylko dobiegłam do rogu domu, zwymiotowałam w starannie wypielegnowane róże. Miałam nadzieję, że ogrodnik mi to wybaczy. Kiedyś chciałam być porwana przez księcia, ale jak zwykle marzenia w zderzeniu z rzeczywistością ukazały brzydką prawdę. Zdecydowanie jestem już za stara na takie rozrywki.

Jeśli mowa o starości, przez ostatnie parę lat jak ognia unikałam świętowania urodzin - u Rozwan nikt nawet nie wiedział, kiedy wypadają. Nikt z moich poprzednich pracodawców nie zaprzętał sobie tym głowy. Jednak wprawno oka Marii nie można było oszukać. Dałam jej przecież mój paszport do sprawdzenia. Więc gdy któregoś dnia zeszłam do kuchni, na stole czekały na mnie tort i wielka paczka. Zostałam wyściskana i wycalowana za wszystkie poprzednie lata. W końcu doszło do odpakowywania prezentu. Zastanawiałam się, co też mogli mi kupić. Zrzucaliśmy się już kilka razy na prezenty dla innych pracowników, ale moja ingerencja zazwyczaj ograniczała się do oddania odpowiedniej kwoty Marii; nigdy się nie zastanawiałam, co dostają jubilaci, a mnie zazwyczaj nie było przy rozpakowywaniu prezentów. Kiedy przebrnęłam przez ogromne ilości kokardek i papieru, moim oczom ukazał się aparat. I to nie byle jaki - o wiele lepszy model od tego, który musiałam kiedyś sprzedać. Nie wierzyłam własnym oczom. Nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Stałam tak na środku kuchni, w świdrującej oczekiwaniem ciszy, i po prostu się poryczałam. I nie był to płacz w stylu uronionej łezki wzruszenia. Rozryczałam się za te wszystkie lata, kiedy byłam sama, nie mając nikogo obok siebie, kiedy cały świat był przeciwko mnie.

W końcu ciszę zakłócaną tylko moim chlupaniem przerwała Jill:

- Jeśli nie trafiliśmy z prezentem, to żaden problem, wymienimy.

- To... to nie tak... Tak bardzo się ucieszyłam... Dziękuję - przez łąy próbowałam wytłumaczyć, że nie płaczę dlatego, że nie podoba mi się obiektyw aparatu, tylko to pierwszy raz od długiego czasu, kiedy ktoś bezinteresownie coś mi dał. Nie tylko dał, lecz także spełnił moje marzenie. Uściskałam wszystkich i poszłam zanieść mój nowy skarb do pokoju.

Siedziałam na łóżku i cieszyłam się z prezentu jak małe dziecko. Z zachwytu wyrwało mnie pukanie do drzwi. Kiedy otworzyłam, zobaczyłam uśmiechniętą Jill. Weszła do pokoju, wręczyła mi torebkę. Zerknęłam do środka i zobaczyłam korek, co sugerowało, że zawartość bardzo ucieszy moje podniebienie. Uścisnęłam ją, a ona powiedziała:

- Wiesz, cieszę się, że trafiliśmy z prezentem. Maria zawsze wie, co kupić, nie?

- No, nawet nie wiesz, jak się cieszę. Wreszcie będę mogła wrócić do mojego hobby - odpowiedziałam jej, w dalszym ciągu autentycznie wzruszona.

- To dobrze się składa, bo mam do ciebie małą prośbę. Wiesz, jak sobie dorabiam, prawda?

Tak, Jill ciężko zapomnieć, że jak zrzucasz z siebie fartuszek, to stajesz się utrzymanką.

- Jasne, Jill, co tylko potrzebujesz. - Gdy tylko skończyłam mówić te słowa, już ich żałowałam. Wiedziałam, że znowu wpłaczę się w coś, czego bardzo nie chcę.

- Potrzebuję kilku zdjęć. Mnie i moich koleżanek. Zrobiłabyś nam sesję?

Cóż, zawsze mogła poprosić o uwiecznienie uniesień jej i jej klientów.

- Jasne, Jill nie ma problemu. - Skoro już się zgodziłam, to za bardzo nie miałam jak jej odmówić.

- Super, widzimy się w najbliższy piątek. Odbierze cię George. - Uścisnęła mnie jeszcze raz na dobranoc i poszła do siebie.

Liczyłam, że tym razem obędzie się bez interwencji policji.

Teraz, gdy już byłam sama, mogłam jeszcze raz na spokojnie obejrzeć mój prezent urodzinowy. Tak, miałam dobry obiektyw do

portretów, ale stwierdziłam, że zadanie, które mnie czeka, wymaga ode mnie lepszego przygotowania. Szybko weszłam na Ebay i zakupiłam obiektyw, który spełni oczekiwania moje, a co najważniejsze - moich klientek. Opłacało się esemesować! Moi drodzy, jeżeli esemesowaliście ze Słodką Czekoladką, to dziękuję Wam za nowy obiektyw.

W piątek czekałam w umówionym miejscu obładowana torbami pełnymi moich nowych skarbów. Z pięciominutowym opóźnieniem podjechał George. Tym razem nie wybrał nierozsądnie drogiego samochodu, tylko ogromnego SUV-a z przyciemnianymi szybami. George, w takim samochodzie brakuje ci tylko kapelusza z piórkiem i jesteś alfons pierwsza klasa. Chłopak zapakował moje skarby do bagażnika i otworzył mi drzwi pasażera. No proszę, nasz mały książe alfons jest dobrze wychowany, opłacało się wysyłać go do szwajcarskich szkół z internatem.

- Przed nami ponad godzina jazdy. Mieszkanie, w którym czekają dziewczyny, jest w City - obwieścił na starcie.

Na szczęście nie był w nastroju do rozmowy, podgłośnił radio i ruszyliśmy na naszą wycieczkę. Faktycznie mniej więcej po godzinie dojechaliśmy do dość snobistycznej dzielnicy w City. George zatrzymał się przed nowoczesnym wieżowcem, którego elewacja była cała ze szkła. Tak, zdecydowanie drugie imię Georga brzmiało Przepych.

Wyładowaliśmy wszystkie graty i poszliśmy w kierunku wejścia. George wyciągnął z portfela kartę, przejechał nią po czytniku i przed nami otworzyła się winda. Jeżeli mieszkanie wygląda tak jak ta winda, to już jest dobrze. (Chyba mam niskie standardy, skoro zachwyciła mnie winda). Jechaliśmy dość długo, zastanawiałam się, czy winda jest tak powolna, czy jedziemy tak wysoko. Uzmysłowiłam sobie, że będąc jeszcze na dworze, widziałam, że szczyt budynku schowany był za chmurami. Gdy wreszcie dotarliśmy, moim oczom ukazało się luksusowe mieszkanie. Nie zdążyłam się jeszcze po nim za bardzo rozejrzeć, kiedy w którymś z pokoi usłyszałam poruszenie. Drzwi się otworzyły i wyłoniło się zza nich kilkanaście dziewczyn. Wszystkie łączyła jedna rzecz: były bardzo ładne i nie miały na sobie nic poza skąpą bielizną. Robiłam dobrą minę do złej gry, wiedziałam przecież, na co się piszę. George po



przywitaniu się z rozchichotaną grupką zniknął za którymiś drzwiami.

Nie za bardzo wiedziałam, od czego mam zacząć, na szczęście z pomocą przyszła mi Jill.

- Dobra, wiecie, kto ma iść pierwszy, dajmy Annie rozstawić sprzęt i zaczynamy!

Pociągnęła mnie za sobą do jednej z sypialni. Za jej drzwiami ukazało się moim oczom największe łóżko, jakie kiedykolwiek widziałam. Chyba nie zmieściłoby się ono nawet w moim wielkim pokoju.

- To nasze miejsce pracy. Potrzebujemy kilku ujęć dziewczyn na łóżku... Wiesz, nie skupiaj się za bardzo na twarzy... nie to interesuje odbiorcę.

Tak, moje pierwsze zlecenie polegało na zrobieniu dziewczynom zdjęć na stronę internetową, na której bogaci faceci mogli wybierać niczym z katalogu Ikei. Nie miałam już za bardzo wyjścia, porozkładałam sprzęt i zaprosiłam pierwszą z moich modelek.

Na szczęście dziewczyna była mniej spięta niż ja. Szybko zrobiłam kilkanaście ujęć. Muszę dodać, że przy każdym kolejnym ujęciu dziewczyna gubiła jakąś część garderoby. Zdjęcia poszły gładko, szybko udało mi się sfotografować każdą z pań.

Liczyłam, że teraz będę mogła wrócić do domu. Niestety, przeliczyłam się - Jill została „w pracy”, a George musiał załatwić coś na mieście. Żebym się nie nudziła, dostałam płytę z programem do obróbki graficznej i poleceniem, żeby trochę wygładziła moje modelki. Co innego mi zostało? Przynajmniej już wiem, po co kazali mi zabrać swojego laptopa. Wyciągnęłam go z torby i zaczęłam obróbkę fotek. Praca mozolna i nudna - jedna noga za drugą, jedna pierś... a zresztą nieważne.

W końcu przyszedł po mnie George i obwieścił, że wracamy do domu. Pod domem pomógł mi wypakować graty i zapytał:

- Kiedy zdjęcia będą gotowe?

- Daj mi na nie spojrzeć, kiedy się wyśpię, postaram się oddać przed poniedziałkiem.

Chyba była to zadowolająca odpowiedź, ponieważ George wręczył mi kopertę i rzucił:

- Znajdę cię więc w poniedziałek; to zaliczka, reszta po przekazaniu zdjęć. - Groził czy obiecywał?

Kiedy dotarłam do pokoju, sprawdziłam, co znajdowało się w kopercie, szybko przeliczając zawartość - była to suma równa mojej trzymiesięcznej wypłacie. George, nie potrzebujesz więcej zdjęć?!

Rano jeszcze raz przejrzałam zdjęcia - jak na amatora, którym jednak jestem, wyszły całkiem nieźle, nawet obróbka nie rzucała się w oczy. Skopiowałam wszystko i przy nadążającej się okazji wręczyłam Georgowi. Dwa dni później pod drzwiami ktoś wsunął mi do pokoju kolejną kopertę. Zawartość była taka sama, jak poprzednia. Jestem bogata. Oficjalnie.

Musiałam się zastanowić, co zrobić z taką kasą - nie mogłam jej wpłacić do banku, od razu ktoś zacząłby zadawać pytania, jak zwykła pokojówka znalazła się w posiadaniu takiej gotówki. Muszę wymyślić jakiś plan. Przed snem brałam moją kopertę i liczyłam jej zawartość, dalej nie mogąc uwierzyć, że jestem w posiadaniu takiej gotówki. I co najważniejsze, żeby ją zarobić, nie musiałam ściągnąć nawet jednej skarpetki.

Po ostatniej nieudanej próbie dodzwonienia się do Boba, postanowiłam spróbować jeszcze raz, wybrałam numer i liczyłam sygnały

- Bar u Boba, słucham! - usłyszałam miły kobiecy głos.

Od kiedy ten pub ma nazwę?

- Eeee... hej, mogę rozmawiać z Bobem? Mówi Anna.

- Chwileczkę, sprawdzę, czy może podjeść do telefonu.

Serio?! Dzwonię do prezesa Apple czy do podrzędnego pubu.

- Hej! Wreszcie się odezwała panna z dobrego domu! - huknął Bob do słuchawki.

- Dziękuję, teraz jestem głucha i muszę z tobą zamieszkać - odpowiedziałam żartem.

- O nie, raz się ciebie pozbyłem, nie ma mowy, że drugi raz dam się nabrać! - Teraz już obydwójce śmialiśmy się do telefonu.

Wypytałam Boba o wszystkie nowinki, jak im się wiedzie oraz czy ekipa, z którą go zostawiłam, sprawuje się dobrze.

- Bob, jedno słowo, a pakuję się i jadę do Ciebie - powiedziałam jak najbardziej poważnie.

- Tylko jak chcesz mnie odwiedzić? Wiesz, że nasz pub został wybrany pubem miesiąca? I to wszystko twoja zasługa!

Nie dałam tego po sobie poznać, ale zrobiło mi się miło.

- Bob, mam prośbę, mogę powierzyć ci gotówkę do przechowania? - zapytałam.

- Oczywiście, że możesz... A nie lepiej wpłacić ją do banku?

- Pewnie, że lepiej, ale nie mogę.

Miałam cichą nadzieję, że Bob nie będzie wypytywał o szczegóły.

- Wierzę, że nie wplątałaś się w nic, dzieciaku. Czekam na ciebie.

Długo miło gawędziliśmy. Nawet się nie obejrzałam, a minęła nam godzina wiszenia na telefonie. Bob musiał kończyć, żeby wrócić za bar, a ja musiałam się kłaść, żeby jutro rano wstać do pracy. Ale już wiedziałam, gdzie spędzę mój następny dłuższy wolny od pracy czas - u Boba.

Z zewnątrz pub wyglądał tak, jak go zostawiłam. Pojawiła się tylko wielka plansza obwieszczająca: „Pub miesiąca”. Chwalipięty! W środku to już inna historia - ciężko mi było rozpoznać miejsce, które zostawiłam parę miesięcy temu. Nowe meble, odmalowane ściany... Tylko bar taki sam, a za barem Bob - też ten sam. Z jakąś ulgą przytuliłam się do mojego staruszka!

- Bob, tak tęskniłam! - powiedziałam, przytulając się do jego krzaczastej brody.

- Ja też, dzieciaku! - Ścisnął mnie tak mocno, że aż zabrakło mi tchu.

- Mów, opowiadaj, jak ci się żyje w świecie pięknych i bogatych.

Oh, Bob, gdybyś wiedział, jaki ten świat jest obrzydliwy i zepsuty. Opowiedziałam Bobowi mniej więcej, co u mnie słyhać, z przyczyn oczywistych pominęłam bardziej śliskie tematy. Jakby Bob się dowiedział, że zajmuję się fotografowaniem prostytutek, to by mnie przykuł do kaloryfera na zapleczu. W końcu wręczyłam Bobowi wypchaną kopertę. Zajrzał do środka i gwizdnął.

- Sporo kasy jak na pokojówkę. - Spojrzał na mnie uważnie. -

Chcesz mi coś powiedzieć? – rzucił, wwiercając się we mnie swoim wzrokiem.

– Bob, po prostu przechowaj to dla mnie, proszę. Nie zrobiłam nic złego, żeby dostać tę kasę – próbowałam się jakoś nieumiejętnie wykręcić.

– Nie wierzę w ani jedno twoje słowo – odpowiedział, kręcąc głową.

Na szczęście Bob odpuścił swoje śledztwo. Zostałam oprowadzona po całym pubie, który robił teraz naprawdę dobre wrażenie – część sprzętów została wymieniona, wszystko odmalowane. Zauważyłam w kuchni kilka nowych twarzy, spojrzałam pytająco na Boba.

– Mamy coraz więcej klientów i Jim zatrudnił do pomocy kilkoro dzieciaków. Ale muszę ci się pochwalić: wszyscy, którzy tutaj pracują, są z rozbitych rodzin lub z domu dziecka. Jak szukamy nowego pracownika, to mówimy, że trzeba przeprowadzić „Rekrutację Anny”, i po prostu rozglądamy się, który dzieciak może potrzebować pomocy.

Uspokoiła mnie ta wycieczka, widziałam, jak Bob odżył i jaką radość czerpie z pracy. Cieszyłam się, że miałam w końcu w życiu bezpieczną przystań, do której mogę wrócić.

Wieczorem musiałam wrócić do Opactwa. O ileż lepiej czułam się w prostym i ciepłym wnętrzu pubu, niż w tym wypełnionym bogactwem domu. Kiedyś byłabym w stanie oddać rękę, byleby stać się częścią takiego życia, teraz oddałabym rękę, żeby się stąd wyrwać.

\*

Lato zbliżało się ku końcowi. Do powrotu państwa do miasta zostało kilkanaście dni. Nic nie zwiastowało, by w tym sezonie miało wydarzyć się jeszcze coś ciekawego. Z tego, co wiedziałam, Jill nadal pracowała z Georgiem. Nie chwaliła mi się jednak szczegółami, a ja cieszyłam się z takiego obrotu sprawy – wołałam nie wiedzieć, na czym dokładnie polegają te jej spotkania z kulturalnymi starszymi panami. Któregoś cichego wieczoru, kiedy wraz z Jill pakowałam suknie balowe pani do plastikowych toreb, ciszę przerwał dzwonek do drzwi. Nie pojedynczy – ktoś ewidentnie naciskał przycisk dzwonka raz za razem.

– Kto się ośmiela być taki natarczywy o takiej godzinie?! – grzmiała

Maria piętro wyżej.

Zaciekawione wyszliśmy z Jill na korytarz, żeby podsłuchać, kto czekał za drzwiami.

- Dobry wieczór, DEA Agent Jones, mamy nakaz przeszukania tego domu oraz nakaz doprowadzenia do aresztu George'a Wittona oraz Jerry'ego Wittona. - Postawny mężczyzna wręczył osłupiałej Marii plik kartek i ruchem ręki zaprosił do środka kilkunastu policjantów.

Stałam na schodach z otwartymi ustami, nie wiedząc ani co zrobić, ani co powiedzieć. Co prawda taki obrót sprawy w ogóle mnie nie zdziwił, ale nie spodziewałam się, że ktoś przyjdzie do Opactwa w poszukiwaniu braci Wittonów. Obróciłam się, żeby zapytać Jill, co robimy, jednak tam, gdzie przed chwilą stała, nikogo nie było. Zapadła się pod ziemię? Zeszłam na dół zapytać Marię, czy potrzebuje jakiejś pomocy. Znalazłam ją w kuchni siedzącą przy stole i pijącą brandy. Kiedy Maria piła brandy, wiadomo było, że sprawa jest poważna. Siedziałam z nią przy stole, obserwując przechodzących co chwila agentów z kartonami, które wypakowane były dowodami. Wtedy zobaczyłam w rękach jednego z nich mojego własnego prywatnego laptopa. Podbiegłam do niego, próbując wyjaśnić, że to moja własność i laptop nie ma nic wspólnego z podejrzanymi braciszkami.

- To mój laptop, ja jestem tu tylko pokojówką, proszę go zostawić. - Zależało mi na tym przede wszystkim ze względu na bardzo liczną kolekcję nielegalnych filmów i seriali, które zalegały na moim dysku. Pominę przestępstwo piractwa i karę za to grożącą, ale co ja miałam dzisiaj wieczorem oglądać?

- Według nakazu pani laptop i aparat są na liście narzędzi używanych do przestępstwa stręczycielstwa oraz czerpania korzyści z nierządu osób trzecich - wyrecytował policjant i zniknął za drzwiami.

To by było na tyle, jeśli chodzi o wieczór filmowy. Ale dlaczego uważają, że mój sprzęt był używany do przestępstwa? Nagle sobie uświadomiłam: Przecież robiłam zdjęcia tym dziewczynom od George'a! Ale to niemożliwe, po zgraniu wszystkich zdjęć od razu skasowałam je z mojego dysku. W tym momencie od razu przypomniałam sobie wszystkie seriale CSI, w których informatycy odzyskują skasowane

dane. Miałam przesrane.

Usiadłam obok Marii i poprosiłam ją o kieliszek brandy. Nie lubię brandy ani żadnych innych perfumowanych alkoholi, ale w tym momencie nie liczyło się jaki, liczyło się, żebym mogłam się napić. Zawsze wiedziałam, że prędzej czy później trafię za kratki, za dużo miałam za uszami jeszcze z czasów, kiedy mieszkałam w Piekiełku, żeby wierzyć, że się wywinę. Ale w najgorszych koszmarach nie podejrzewałam, że pójdę siedzieć za zdjęcia. Oczyma wyobraźni widziałam swoje zdjęcie z malowniczym czarnym paskiem w miejscu oczu w każdej jutrzejszej gazecie. Próbowалам sobie przygotować jakąś solidną wymówkę, ale co powiem? Że robiłam im profilowe zdjęcia na Facebooka?

W końcu przyszedł do nas policjant, który wręczył Marii nakazy.

- Pani Anno, chyba mamy do porozmawiania, prawda? Zostaje pani zatrzymana pod zarzutem stręczycielstwa. Proszę za mną.

Spojrzałam na Marię. Liczyłam, że wydarzy się jakiś cud, ktoś wejdzie i powie, że to tylko taki niesmaczny żart. Niestety niebo się nie rozstąpiło, świat nie stanął w miejscu, a ja najwyraźniej zostałam aresztowana.

- Chyba nie mam wyboru. - Niechętnie powlokłam się za policjantem.

Zaprowadził mnie do radiowozu - doceniam fakt, że nie skuł mnie kajdankami. Spojrzałam ostatni raz na Opactwo - dzisiaj mieszkałam w takiej willi, a jutro będę deportowana z powrotem do Piekiełka. Całą drogę próbowałam wymyślić, jakie mam powiedzieć kłamstwo, żeby jakoś się wybielić, Niestety po raz pierwszy moja wyobraźnia zawiodła mnie. W głowie miałam tylko obraz samej siebie w jutrzejszym samolocie do domu... A raczej do piekła.

Podjechaliśmy pod duży posterunek policji. Zostałam wypuszczona z samochodu i doprowadzona do pokoju przesłuchań. Dotychczas takie miejsca widziałam jedynie w filmach. Na ścianie wisiało wielkie lustro, zapewne wszyscy mnie zza niego obserwowali. W dalszym ciągu nie miałam żadnego wytłumaczenia moich przestępstw - dziękuję, mózgu.

Do pokoju wszedł ten sam agent, który mnie aresztował.

- Zna pani swoje prawa, prawda? - rzekł z poważnym wyrazem twarzy.

Mam prawo do zapadnięcia się pod ziemię? - pomyślałam ponuro.

- Jestem agent Jones i prowadzę dochodzenie przeciwko braciom Witton. Jak rozumiem, jest pani ich przyjaciółką?

- Tak, rozumiem, ale po pierwsze tylko pracuję w ich domu i na pewno nie jestem żadną ich przyjaciółką, a po drugie nie wiem za bardzo, po co tu jestem. - Stwierdziłam, że najlepszy sposób to poudawać naiwną.

Niestety, zamiast odpowiedzi Jones rzucił na stół plik zdjęć. A na zdjęciach byłam ja i George w drodze do City, gdy jechaliśmy zrobić zdjęcia jego dziewczynom. No to po mnie.

- Pani Anno, wiem, że jest pani tylko pionkiem w tej sprawie, obserwujemy braci Witton od dwóch lat. Interesuje mnie coś innego: Czy wie pani, gdzie znajdują się pan George Witton i pani Juliette Seymour?

- Georga znam, ale żadnej Juliette nie kojarzę.

Agent pokazał mi zdjęcie Jill.

- Tak, to moja koleżanka Jill. - Chyba musiałam wyglądać na zdziwioną, bo agent wyjaśnił:

- Pani koleżanka Jill to Juliette. Jest poszukiwana listem gończym, dlatego używała innego imienia. Nie znaleźliśmy ani jej, ani jej partnera. Czy wie pani, gdzie się teraz znajdują?

- Jill była ze mną, kiedy wszedł pan do domu z nakazem, później niestety jej nie widziałam.

- Jest pani tego pewna? Ma pani świadomość, że za stręczycielstwo plus handel narkotykami może pani dostać w tym kraju dożywocie? Nie wiem, jaką ma pani linię obrony, ale pomoc zbiegom nie jest najlepszą opcją!

Hola, hola, stop! Jakie narkotyki?! Jakie dożywocie?! Chyba znowu wdepnęłam w coś, co jest dużo gorsze, niż na początku wyglądało.

Czułam, że zaczyna robić mi się słabo... Chyba będę potrzebowała mojego inhalatora.

- Myślę, że noc w celi pomoże pani przypomnieć sobie, gdzie może

być pani koleżanka. To na razie wszystko. Dobranoc - zakończył, wyszedł i tyle go widziałam.

Parę minut później przyszła po mnie policjantka i zaprowadziła mnie do celi. Na wyposażenie mojej dzisiejszej miejscówki składały się łóżko (a jakże by inaczej - piętrowe) i stalowa toaleta. Jak rozumiem, nie ma szans na kocyk? Usiadłam na gumowym materacu, podwinęłam nogi pod siebie i zaczęłam analizować, co się właśnie wydarzyło oraz gdzie może być Jill. Ja chyba mam jakiś dar - w całym mieście, ba, w całym państwie, potrafię znaleźć najgorszych idiotów i wpakować się z nimi w wielkie kłopoty. Ale zaskoczyło mnie jedno: mimo że byłam w sytuacji bez wyjścia, zachowałam zimną krew - żadnych łez, błagania i płaszczenia się. Nie byłam pewna, czy jestem silna psychicznie i zniósę wszystko, czy może jestem bezdusznym socjopatą.

Moje rozmyślenia nad sytuacją, w jakiej się znalazłam, przerwało jakieś nieartykułowane mruczenie na łóżku piętro wyżej. Serio? Cała ta sytuacja nie jest wystarczająco beznadziejna? Naprawdę okazuje się teraz, że jeszcze mam współlokatora? Nagle zauważyłam, że z góry spogląda na mnie czyjaś głowa.

- Siema, jestem Margaret, za co siedzisz? - Myślałam, że takie hasła są tylko w filmach gangsterskich, a tu proszę.

- Hej, mam na imię Anna. W sumie nie wiem za co, bo za bardzo nie zrozumiałam, o co im wszystkim chodzi. A ty? - Wcale nie chciałam wiedzieć, ale nie znałam się na więziennych zasadach savoir-vivre'u i nie chciałam obrazić mojej współlokatorki.

- Dźgnęłam mojego faceta nożem - rzuciła niedbale, zeskakując z łóżka.

- Eeee... to tak średnio. - Żałuję, że w ogóle zapytałam. Ach, ten mój niewyparzony język.

- Ma nauczkę, następnym razem pomyśli dwa razy, zanim nazwie mnie grubasem - powiedziała niedbale.

Jakbym ja dźgała każdego, kto nazwał mnie grubą, kurduplem albo innym przezwiskiem, ludzka populacja byłaby o wiele skromniejsza. Pozostało mi się tylko cieszyć, że nie mam tak gorącego temperamentu jak Margaret.



- Ale przeżył ten twój chłopak? - Chciałam się upewnić, czy przebywam w jednej celi z furiatką, czy z furiatką mordercą.

- Chyba tak, jak zabierała go karetka, to się odgrażał, że mnie dopadnie. Nie wyglądał na umierającego - powiedziała, patrząc na swoje paznokcie pokryte resztkami czerwonego lakieru.

Mam nadzieję, że przed zamknięciem jej dokładnie ją przeszukali i zabrali wszystkie noże. Naszą pogawędkę przerwało przyjscie tej samej policjantki, która mnie tutaj zamknęła.

- Anno, masz szczęście, ktoś wpłacił za ciebie kaucję, możesz wyjść - powiedziała, dzwoniąc pokaźnym pękiem kluczy.

- O, już wychodzisz, może wymienimy się numerami telefonów, mogłybyśmy się spotkać, jak mnie wypuszczą - powiedziała do mnie Margaret.

- Oj, chętnie, ale nie mam telefonu, pa! - Miałam nadzieję, że nie będę musiała już wracać do mojej współlokatorki.

Na końcu korytarza czekał na mnie elegancko ubrany mężczyzna.

- Dobry wieczór, jestem pani prawnikiem, porozmawiamy w samochodzie.

Odebrałam swoje rzeczy z depozytu i poszłam za tajemniczym mężczyzną na parking. Wsiadłam do samochodu, podobnego do tego, jakim jeździłam z George'em po autostradzie.

- Dobra powiedz, co zeznałaś - zaczął z grubej rury.

- No nic, bo w sumie nic nie wiem. - Za bardzo nie minęłam się z prawdą. W sumie to podejrzewałam, co obydwaj bracia mają za uszami, ale nie mogłam dokładnie wiedzieć, czym się zajmują.

- Bardzo dobrze, tak trzymaj, jak zapytają o zdjęcia, powiedz, że poprosili cię o fotografowanie imprezy. Zostałem opłacony przez twoją dobrą przyjaciółkę. Do czasu wyjaśnienia sprawy zamieszkasz w hotelu. Nie muszę wspominać, żebyś zachowała te wszystkie informacje dla siebie?

- Nie mam za wielu przyjaciół, stawiam więc, że to była Jill. - Zasypałam adwokata pytaniami. - Gdzie ona jest? Dlaczego się ukrywa? - próbowałam wyciągnąć z niego jakieś informacje.

- Proszę na razie się nad tym nie zastanawiać, jedziemy do hotelu.

- Wszystko ok, ale nie mam ze sobą żadnych ubrań... - próbowałam zaprotestować. Co prawda noc w hotelu zapowiadała się o wiele przyjemniej niż na twardej pryczy w areszcie, ale czułam się jak zakładnik.

- Jill wysłała paczkę z ubraniami, powinna już czekać w hotelu, więc proszę się nie przejmować.

Jechaliśmy dość długo. Nie do końca wiedziałam, czy dalej jestem w City, czy w jego okolicach. Hotel i sam pokój były dość luksusowe, przypominały apartament, w którym byłam z George'em, by robić zdjęcia.

- Odpocznij, jutro porozmawiamy co dalej, dobranoc. - Wyszedł.

Rozejrzałam się, na łóżku w sypialni stało kilka toreb - nazwy marek sugerowały, że Jill nie zrobiła zakupów w primarku. Dobrze i to, jak wyjdę z więzienia to zostaną mi przynajmniej markowe ubrania.

W nocy źle spałam. Mimo chwilowego poprawienia się sytuacji, bałam się konsekwencji wczorajszych wydarzeń. Mogę iść do więzienia, a co gorsza, mogę iść do więzienia w Piekielku! Całą noc śniło mi się, że zostałam deportowana i tanimi liniami lotniczymi musiałam wracać do mojego kraju.

Rano obudził mnie dzwonek telefonu, który stał przy łóżku. Ledwie przytomna, odebrałam.

- Witam, czekam na ciebie w sali śniadaniowej. - I trzask odkładanej słuchawki.

Nie mam chyba wyjścia, muszę się ogarnąć i pójść spotkać się z nim, zresztą w sumie z drugiej strony i tak jestem głodna. Na dole zastałam dokładnie to, czego się spodziewałam: tosty i kawę - nie lubię ani jednego, ani drugiego.

- Napisałem ci oświadczenie, podpisz je, proszę, i nie kontaktuj się z policją bez mojej obecności. Najlepiej w ogóle się przy nich nie odzywaj. Tu masz nowy telefon, nie dzwoń z niego nigdzie, odbieraj tylko przychodzące połączenia. - To powiedziawszy, zostawił mnie dość osłupiałą przy resztkach kawy.

Wzięłam oświadczenie, które miałam podpisać, i zaczęłam je czytać. Pierwszym, co uderzyło mnie w tym piśmie, było to, że miałam

potwierdzić, że nie wiem nic na temat działalności narkotykowej braci Witton. Czyli to, co mówił wczoraj ten agent, to prawda – Jill naprawdę dobrze grała. Zastanawiałam się jednak, w co jeszcze byli oni wplątani. W zaopatrywanie Bliskiego Wschodu w broń? W dalszej części same farmazony: nic nie wiem, nic nie słyszałam i nic nie powiem. W sumie mi to pasowało. Podpisałam wszystkie papiery i poszłam z powrotem do pokoju. Później pojawił się kurier, który zabrał dokumenty.

Adwokat zakazał mi wychodzić z hotelu; musiałam się więc zająć czymś tutaj. Przejrzałam wszystkie kanały, które oferowała hotelowa telewizja, liczyłam, że znajdę jakieś informacje o tym, co stało się wczoraj w Opactwie; niestety nie znalazłam niczego wartościowego, były tylko durne telenowe. Zrezygnowana wyłączyłam telewizję. Próbowałam połączyć się z internetem z telefonu, który dostałam od adwokata, ale chyba ktoś zablokował taką możliwość. Byłam więc faktycznie odcięta od świata. Nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Nagle w kącie pokoju zauważyłam barek. Miałam nadzieję, że Jill przygotowała się na dodatkowe wydatki. Zgarnęłam ze środka wszystkie buteleczki i przejrzałam, co może mnie zainteresować. Po pobieżnej analizie już wiedziałam, że to na pewno zajmie mnie przez resztę dnia. Jeszcze wczoraj w nocy zauważyłam drzwi balkonowe, ale nie byłam pewna, czy da się je otworzyć. Wzięłam ze sobą butelki i zaczęłam siłować się z klamką. Trochę się obawiałam, że otwarcie drzwi włączy jakiś alarm, ale miałam już dość kiszzenia się w pokoju. Wypiłam jedną buteleczkę i po kilku minutach kombinowania otworzyłam drzwi. Kiedy wyszłam na zewnątrz, zauważyłam, że do pokoju przynależy ogromny taras. Wzięłam jedno z krzeseł i usiadłam przy barierce. Widok zaparł mi dech w piersiach. Panorama miasta lśniła setkami świateł innych hoteli, latarni i domów; miałam widok jak z bajki. Miasto nocą jest piękne, szkoda że obserwuję je z pozycji zakładnika. Nie mam i tak innej opcji, przecież nie ucieknę z ostatniego piętra przez okno. Raczyłam się moimi minidrinkami, podziwiałam widoki i zastanawiałam się, co może przynieść jutro. Miałam nadzieję, że nie zamieni mojego wygodnego łóżka na więzienną pryczę. Druga sprawa: podejrzewałam, iż nie ma opcji, że wrócę do pracy we

Wrzosowym Opactwie. Co więc dalej ze sobą zrobić? Potrzebuję przecież miejsca do spania i pracy. Co prawda pamiętałam o odłożonych na czarną godzinę pieniądzech, które przetrzymywał mi Bob, ale na obecną chwilę nie były to pieniądze, którymi mogłabym się chwalić – wychodzi na to, że zarobiłam je, dopuszczając się co najmniej jednego przestępstwa.

Kolejne dni nie przyniosły żadnych wieści – o ustalonej porze dostawałam posiłek i z nudów chodziłam po ścianach. Jediną rozrywkę stanowiło nadejście kilku kolejnych paczek z ubraniami i kosmetykami. Po co mi to wszystko, jeżeli jedyną osobą, która mnie widuje, jest sprzątaczką?

W końcu któregoś kolejnego poranka dostałam telefon od adwokata. Za dwa dni miałam mieć przesłuchanie u prokuratora; miałam się jednak nie martwić, ponieważ prawnik ma dobre przeczucie co do tej sprawy. Dla mnie jednak wtedy dopiero zaczął się stres. Co, jak mnie deportują? Albo zamkną na dobre kilka lat w więzieniu? Czy „dobre przeczucie” wystarczy, żeby wykręcić się z tej sytuacji?

Dwie kolejne noce spędziłam na rozpaczaniu i wymyślaniu kolejnych czarnych scenariuszy. W końcu nadszedł sądny dzień. Rano zostały mi dostarczone ubrania, które miałam założyć na przesłuchanie. Kolor odzwierciedlał mój nastrój – cała w czerni czekałam na samochód mojego adwokata. W kilku słowach wyjaśnił mi, że mam się nie odzywać, a jak będę musiała, to mam mówić, że nic nie wiem. Chciałam go zapytać, jakie mam szanse na to, że nie pójdę do więzienia, ale bałam się, że od razu rozwieje moje nadzieje. Resztę drogi przebyliśmy więc w milczeniu.

Zatrzymaliśmy się przed ponurym budynkiem. Ogromny gmach miał się stać miejscem, w którym usłyszę wyrok. Zostaliśmy posadzeni w malutkiej klitce bez okien, panujący zaduch pogłębiał jeszcze uczucie klaustrofobii – siedziałam jak na szpilkach w oczekiwaniu na kata. W końcu usłyszałam kroki na korytarzu, drzwi się otworzyły i moim oczom ukazała się kobieta o najmiłszej twarzy, jaką widziałam. Polubiłam ją od razu i gdyby nie fakt, iż za chwilę może zrujnować moje życie, życzyłabym sobie zaprzyjaźnić się z nią. Miałam nadzieję, że moje

uczucia będą choć trochę odwzajemnione. Na stół zostały wyłożone akta mojej sprawy, wyglądały niepokojąco obszernie. Zobaczyłam raz jeszcze zdjęcia, które były powodem tego, że siedziałam teraz w tym miejscu. Adwokat zaczął rozmowę, ale ja nie rozumiałam z tego prawniczego bełkotu ani słowa; siedziałam i czekałam, aż łaskawie przetłumaczą mi coś na język, który zrozumiem. Czułam rosnące zażenowanie – mówią o mnie, jakby mnie nawet tutaj nie było. Irytacja zaczynała przewyższać strach.

Po parunastu minutach moje rozważania przerwał adwokat, zwracając się do mnie pierwszy raz od rozpoczęcia rozmowy z kurator.

- Żałujesz popełnionych czynów?

Brzmiało to jak rozgrzeszenie przed egzekucją, ale gorliwie przytaknęłam.

- Ustaliłem z panią prokurator karę roku w zawieszeniu na sześć miesięcy, z dozorem policyjnym.

Nie rozumiałam nic poza tym, że mam wyrok na rok. Ale co? Gdzie? Zamkną mnie w najciemniejszej celi na rok?!

- Chodź, wytłumaczę ci wszystko w samochodzie.

Zostało mi tylko szybko pożegnać moją niedoszłą przyjaciółkę i pobiegłam za kierującym się już ku wyjściu z budynku adwokatem.

- Dostaniesz na pół roku bransoletkę na nogę. Będziesz mogła poruszać się tylko po swoim domu i ewentualnie w miejscu pracy. Nie muszę wspominać, że przez ten czas masz się trzymać z dala od kłopotów? - rzucił szybko w moim kierunku.

Chciałam gorąco zaprotestować – to nie ja wpakowałam się w kłopoty, to kłopoty znalazły mnie i wpakowały w to bagno po samą szyję.

- Jeszcze jedno. Zatrzymany został twój samochód. Jest tutaj nielegalnie, bo nie opłaciłaś polisy ubezpieczeniowej. Masz czternaście dni na opłacenie kary i pozbycie się go. Tu masz wszystkie dokumenty, poczytaj sobie. - Podał mi niedbale kilka kartek papieru.

Stałam z nimi w ręce i nie wiedziałam za bardzo, co mam z tym wszystkim zrobić. Jakby sytuacja nie była jeszcze dostatecznie beznadziejna. Chciało mi się płakać, ale skoro nie uroniłam ani jednej łzy

podczas aresztowania, to przecież teraz nie zacznę ryczeć jak małe dziecko. Spojrzałam z nadzieją na mojego adwokata.

- Możesz mi w tym pomóc? - spytałam z najmilszym wyrazem twarzy, na jaki w obecnej sytuacji było mnie stać.

- Niestety, moje wynagrodzenie nie obejmuje pomocy w tej sprawie.  
- To powiedziawszy, zatrzymał się pod moim hotelem. - Jak się domyślasz, nie będziesz już dłużej pracować w Opactwie - powiedział.

No raczej, jeszcze jeden miesiąc pracy tam i wyrok dożywocia miałabym gwarantowany - pomyślałam. Ale wolałam się za bardzo nie odzywać, więc przytaknęłam głową na znak, że rozumiem.

- Umów się, proszę, z Marią na odbiór swoich rzeczy z Opactwa. Powodzenia. - Spojrzał na mnie wyczekująco, to był chyba znak, że nasza rozmowa i współpraca dobiegły właśnie końca. Nie pozostało mi nic innego, jak pożegnać się i wysiąść z jego samochodu.

Nie zdążyłam jeszcze dobrze zamknąć drzwi, gdy ruszył i pośpiesznie odjechał, wznosząc tumany kurzu z ulicy.

Miałam teraz na głowie dwa poważne problemy: co zrobić z moim autem i gdzie podziąć się ze wszystkimi rzeczami. Nie miałam za wielkiego wyboru, w telefonie oddanym mi przez policję wybrałam jedyny kontakt, który mógł być mi w tej sytuacji pomocny.

- Hej, Bob, mam problem...

# Jak trwoga to do Boba

Wczesnojesienny poranek, dom skąpany w złotym świetle, babie lato powiewa na wietrze. Ja siedzę na kupie czarnych worów, czekając na Boba. Moje życie zatoczyło kolejne koło, tyle że za każdym razem, kiedy jestem zmuszona zapakować się w wory, ląduję w gorszym miejscu. Teraz przynajmniej wracam do kogoś znajomego – powinnam zacząć chodzić do kościoła i dziękować za dzień, w którym poznałam Boba. Wreszcie na drodze prowadzącej do Opactwa zauważyłam wysłużonego vana Boba. Podjechał pod dom, wysiadając, gwizdnął:

- No, dzieciaku, nie wiem, jak zniesiesz przeprowadzkę z takiego pałacu do mojego skromnego pubu – powiedział z śmiechem.

- Z ulgą, Bob, z wielką ulgą.

Gdybyś tylko wiedział, co zostawiam za sobą, to też byś stąd uciekał bez zastanowienia.

Wrzuciliśmy wory do auta i odjechaliśmy. Opuszczając podjazd Wrzosowego Opactwa po raz ostatni w moim życiu, nawet nie spojrzałam w lusterko. To było piękne miejsce, w którym powietrze było jednak przesiąknięte oddechem złych ludzi.

- Chcesz pogadać o tym, co się stało? – powiedział Bob, spoglądając na mnie.

- Co się mogło stać? Chciałam dobrze, a wyszło jak zwykle – odpowiedziałam mu, spuszczać głowę.

Czułam wstyd, przecież Bob nieraz mnie ostrzegał, żebym nie pakowała się w kolejne kłopoty. Czemu jestem taka uparta i nigdy nie słucham mądrzejszych od siebie?

- Powiedz, tylko szczerze: wiedziałaś, czym oni się zajmowali? – zapytał Bob.

- Wiedziałam, że jedna ze sprzątaczek tak dorabia, podejrzewałam,

że to może być coś większego... Myślałam, że jak zrobię coś dla nich, to będę mieć spokój, tyle że zrobiła się z tego tak wielka afera – odpowiedziałam, połykając łzy upokorzenia.

- Było, minęło, za chwilę gazety zajmą się czymś innym.

- Czekaj, jakie gazety?! Pisali o tym?! Piszą tam o mnie? – No, tylko tego mi teraz brakuje, żebym stała się bohaterką szmatławców.

- Przyjedziesz do domu, to zobaczysz – uciął dyskusję Bob.

Dom – jak miło to brzmiało.

Podjechaliśmy pod pub. Wyglądał jakoś inaczej. Front był odmalowany, z boku został wyznaczony parking, jednak największe zaskoczenie czekało na mnie z tyłu. Stary garaż, do którego nikt nie wchodził ze strachu przed zawaleniem, albo sam się zawalił, albo ktoś zburzył, na jego miejsce stawiając kamienicę.

- Troszkę się pozmieniało, od kiedy byłaś tu ostatni raz – powiedział z nieukrywaną dumą Bob.

- Trochę to mało powiedziane! Bob, to miejsce wygląda, jakby ktoś wybudował je od nowa! – powiedziałam ze szczerym zachwytem.

- W sumie prawie tak jest, Jim to wszystko załatwił. Są tam dwa mieszkania, docelowo w jednym miał mieszkać Jim, a w drugim Elle z jej rodzeństwem, ale tak jakoś wyszło, że mieszkają razem. Drugie miało iść na wynajem, ale w sumie chyba właśnie znalazł się nam lokator – opowiadał Bob.

- Cóż, to chyba jedyna dobra strona tej sytuacji, chociaż raz nie muszę rozpaczliwie szukać miejsca do spania.

Kolejny raz wносиłam swoje rzeczy w torbach do nowego lokum. Jako postanowienie na nowy rok przyjąłam zakup kompletu walizek.

Usiadłam na łóżku i rozejrzałam się. Było prosto, ale bardzo przyjemnie. Wracając myślami do ostatnich paru lat, musiałam stwierdzić, że zdarzało mi się mieszkać w gorszych warunkach. Na razie moje nowe lokum wyglądało jak hotel, całkowicie bez wyrazu, ale tym mogłam się zająć później. Na razie jutro rano muszę się zgłosić na najbliższy komisariat w celu podania, gdzie będę mieszkać i zaobraczkowania mnie. Moje rozmyślenia przerwało pukanie do drzwi. Otworzyłam je, a za nimi czekała cała trójka moich współlokatorów.



- Witamy w domu! - krzyknął Jim, przytulając mnie.

Nie czekając na zaproszenie, zaczęli wносить stół i krzesła.

- Jak mamy świętować, skoro nie ma, na czym usiąść? - stwierdził ze śmiechem Jim.

No tak, poza materacem w domu nie było jeszcze żadnych mebli. W ciągu pół godziny salon został mniej więcej umeblowany, a na stole wylądowała smakowicie pachnąca pizza i zimne piwo. Tego zdecydowanie mi dzisiaj brakowało. Podzieliliśmy się posiłkiem, każdy dostał piwo.

- No, teraz opowiadaj - zarządził Bob.

Cóż innego mi pozostało - mniej więcej streściłam swoje ostatnie miesiące. Gdy doszłam do kwestii, że przez najbliższe pół roku mam nosić na nodze bransoletkę, ich oczy zrobiły się okrągłe z wrażenia.

- Jak z filmu! - podsumowała moją opowieść Elle.

Resztę wspólnego czasu spędziliśmy na wysłuchiwaniu opowieści, co sływać u każdego z osobna.

- Teraz my chcemy coś obwieścić - zaczął Jim.

- Mam nadzieję, że się nie zwalniacie, bo ja nie będę pracować za dwóch - zażartowałam.

- Nie, będziemy pracować za trzech, bo niedługo nasza barowa rodzina się powiększy - powiedziała ze śmiechem Elle.

Na początku nie zorientowałam się, o co chodzi, pytając spojrziałam na Boba, ale on też chyba jeszcze nie zrozumiał, co chce nam przekazać Elle.

- Chyba muszę jaśniej. To czwarty miesiąc, za pięć miesięcy urodzi nam się dziecko - wyjaśnił Jim.

Teraz stało się jasne, dlaczego Elle unikała dzisiaj piwa. Uściskom i gratulacjom nie było końca - Jim musiał pobiec do baru po kolejny karton złotego napoju; przecież to kolejny powód do świętowania.

Na drugi dzień nieco żałowałam ilości wypitego piwa. Na pobliski posterunek, w celu ustalenia warunków odbywania mojej kary, musiałam pójść z wielkim bólem głowy. Po wpisaniu miejsc, w których mogę przebywać, dostałam niezbyt twarzową i trudną do zakrycia bransoletkę. Dobrze, że idzie zima, bo przez kolejne pół roku moim

przeznaczeniem będą spodnie. Na odchodnym usłyszałam kolejny raz, że mam się trzymać z dala od kłopotów – to może być trudne, przecież zazwyczaj to kłopoty znajdują mnie.

Kolejna nieprzyjemna sprawa, którą musiałam się zająć, było odzyskanie mojego samochodu. Niestety mój prawnik się na mnie wypiął, więc nie zostało mi nic innego jak poprosić mojego kuratora o zgodę na wycieczkę. O ile to stanowiło łatwą część planu, o tyle dowiedzenie się, gdzie jest moje auto i co muszę zrobić, żeby je odzyskać, już takie proste nie było. Po godzinie chodzenia od jednego okienka do drugiego, w końcu ktoś ulitował się nade mną i powiedział mi, która osoba zajmuje się moją sprawą. Niestety, gdy już znalazłam oficera odpowiedzialnego za konfiskatę mojego auta, ten nie pozostawił mi złudzeń: mój samochód jest tutaj nielegalnie i muszę po pierwsze zapłacić mandat, po drugie albo go przerejestrować, albo w trybie natychmiastowym odesłać z powrotem do Piekiełka.

Zapłacenie mandatu było jeszcze w miarę wykonalne, ale z drugim mogę mieć spory problem. Nie wsiądę przecież w ten samochód i nie pojadę nim z powrotem przez pół kontynentu. Poza tym kolejna rzecz: Co z nim tam zrobię? Przecież nie postawię go na parkingu przed Tesco na wieki. Musiałam się go pozbyć. Opłaciłam mandat i dostałam czternaście dni na zrobienie z autem porządku.

Kolejnym problemem znowu okazały się pieniądze – mandat pochłonął znaczną część moich oszczędności, które przetrzymywał dla mnie Bob, musiałam więc znaleźć rozwiązanie, które załatwi sprawę a jednocześnie całkowicie mnie nie zrujnuje. W tym wszystkim pojawiła się kolejna przeszkoda – samochód jest generalnie własnością banku, nie muszę chyba wspominać, że z powodu mojej sytuacji finansowej płaciłam raty, jak chciałam, i w wysokości, na jaką pozwalał mi stan konta, nie mogłam więc go ot tak po prostu sprzedać. Wpadłam jednak na pomysł, że może bank będzie chciał sobie go zabrać i sprzedać, co pokryje jakąś część zadłużenia. Niestety, patrząc na niego, można było wywnioskować, że często parkowałam byle gdzie. Karoserię zdobiły rysy, zderzak parę razy miał bliskie spotkanie z różnymi murami i słupkami, a na felgach można było zobaczyć odbicie większości

krawężników z okolicy. Ale nie miałam innego wyjścia - warto było spróbować.

Nie chciałam, żeby bank znał mój adres i zamiary, dlatego pojechałam do najbliższej kafejki z dostępem do internetu, założyłam nowe konto mailowe i napisałam wiadomość do banku. Dwa dni później otrzymałam informację z kwotą, jaką zalegam, oraz informacjami, gdzie mam odstawić samochód. Pierwszą informację na początku zignorowałam - na chwilę obecną nie stać mnie na spłatę nawet jednego procenta tej kwoty - za to informacja, że bank chętnie weźmie z powrotem wóz, bardzo mnie ucieszyła. Teraz zostało mi tylko znaleźć kogoś, kto odwiezie auto z powrotem do Piekiełka. Przejrzałam kilka stron, zadzwoniłam do kilku firm oferujących lawety jeżdżące w kierunku, który mnie interesował. Nie wiedziałam, którą z firm wybrać - każda oferowała podobną cenę, a zakres usług był identyczny. Stwierdziłam, że nawet jeżeli ktoś przywłaszczy sobie samochód, to i tak w pewien sposób rozwiąże to mój problem. Wybrałam pierwszą lepszą firmę i zarezerwowałam odbiór auta za kilka dni. Zostało mi tylko pożegnać się z moją księżniczką. Przewiozła mnie wzdłuż całego świata - nigdy nie zawiodła, mimo mojego traktowania jej po macoszemu. Na pożegnanie zrobiłam sobie kilka zdjęć. Patrząc potem, jak kierowca ładuje auto na lawetę, pomyślałam, że kolejna ważna rzecz w moim życiu musi zostać oddana; nie miałam jednak innego wyjścia. Niestety nie udało mi się wyłgać od spłacenia chociaż małej części mojego długu, musiałam zacisnąć zęby i przelać należność do banku. Nie chciałam, żeby moje oszczędności zbyt szybko się skończyły, dlatego musiałam pomyśleć nad nową pracą.

Niestety moja bransoletka skutecznie ograniczała możliwości podróży, więc musiałam znaleźć coś bardzo lokalnie, najlepiej nie wychodząc z mojego pokoju. Zawsze ratowały mnie moje esemesy z napalonymi internautami, ale nie zarobię nimi tyle, żeby przeżyć. Nie mogę też brać od Boba żadnej zapłaty za pracę w pubie - mieszkam przecież za darmo w jego mieszkaniu. Zostaje mi znowu internet.

Tak jak przeczuwałam, większość ofert obwieszczała, że muszę się rozebrać. Wolałabym tego uniknąć, mam kilka tatuaży, które są dość

charakterystyczne – znając moje szczęście, pierwsza osoba, z którą się połączy, okaże się moim sąsiadem z Piekiełka. Poza tym – bądźmy realistami – kto by płacił za oglądanie mnie? Szukanie miłośników stóp też odpada – nie mogę przecież nigdzie wychodzić bez powiadomienia prokuratora, a przecież nie powiem mu, że idę dać sobie obślinić nogi w zamian za kasę. Poza tym może się taki koleś skaleczyć, kiedy natrafi na moją bransoletkę. Wtedy rzuciło mi się w oczy jedno ogłoszenie: „Telefoniczna sprzedaż kredytów. Dostajesz 10% prowizji od tego, co sprzedasz”. Lepiej trafić nie mogłam. Zanim zeszłam na złą drogę, pracowałam przecież w banku. Szybko wysłałam moje CV. Chyba byli bardziej zdesperowani niż ja, bo po dziesięciu minutach dostałam telefon zwrotny. Po krótkiej rozmowie ustaliłam, że jutro dostanę przesyłkę z telefonem i listą potencjalnych klientów. Co mi szkodzi, najwyżej zmarnuję trochę czasu.

Następnego dnia z niecierpliwością wyglądałam kuriera – chciałam spróbować moich sił w telemarketingu jeszcze przed pójściem do pubu. W końcu doczekałam się. Co prawda telefon swoje czasy świetności miał już za sobą, ale nie potrzebowałam go do lansowania się na Facebooku, tylko do zarabiania kasy. Kilka pierwszych telefonów było nieudanych, klienci mnie zbywali. Jeden nawet mnie zwyzywał, że mam mu nie zawracać głowy. W końcu udało mi się dodzwonić do jednego mężczyzny, który wydawał się dość zainteresowany. Tak wkręciłam się w rozmowę z nim, że straciłam poczucie czasu; fakt, że rozmawiamy już zdecydowanie za długo obwieścił dźwięk rozładowanej baterii w mojej wiekowej Nokii. Spojrzałam na zegar i uświadomiłam sobie, że od pół godziny powinnam już siedzieć za barem i nalewać piwo. Szybko pożegnałam się z moim interesującym rozmówcą, obiecując, że zadzwonię jutro. Nie byłam pewna, czy choćby wspomniałam mu o kredycie, który musi wziąć. Tak to zamiast obdzwonić pół listy poległam na jednym z pierwszych kontaktów.

Nazajutrz ominęłam numer, który wczoraj tak mnie pochłonał, i zaczęłam obdzwaniać kolejne pozycje; nie szło mi jednak jakoś wybitnie dobrze. Ciągle myślałam, o jak wielu ciekawszych rzeczach mogłam rozmawiać, zamiast wychwalać niskie oprocentowanie mojego

lichwiarskiego pracodawcy. W końcu, podczas kolejnej z rozmów, usłyszałam dźwięk przychodzącej wiadomości. „Obiecałaś że oddzwonisz” – przeczytałam na ekranie telefonu. Spojrzałam na zegar – za chwilę powinnam zejść na dół, niestety dzisiaj nie mogę dać się porwać tej zajmującej konwersacji.

Kiedy późnym wieczorem wróciłam do mieszkania, na ekranie była informacja o kilkunastu nieodebranych połączeniach i kilkudziesięciu esemesach. Każdy kolejny był bardziej irytujący: „Kiedy oddzwonisz?”, „Dlaczego mnie ignorujesz?” „Myślałem, że między nami coś jest”. Serio? Chciałam tylko sprzedać ci kredyt, a nie wziąć ślub. Jeszcze wczoraj myślałam, że facet jest niezwykle pasjonującą osobą, a okazało się, że to kolejny wariat. Naprawdę nawet sprzedając kredyty, muszę trafiać na idiotów? Stwierdziłam, że po prostu będę go ignorować i dalej wykonywać swoją robotę. Przez kilka dni mój telefon był zasypywany próbami połączeń i kolejnymi wiadomościami. Od esemesów pełnych wyrzutu do przeprosin i błagań o kontakt. W końcu telefony ustały. Odetchnęłam z ulgą, po prostu chciałam robić swoją robotę, bez pakowania się w kolejne kłopoty.

Minął prawie miesiąc mojej pracy w kredytach. Uważałam, że szło mi całkiem nieźle i z niecierpliwością oczekiwałam rozliczenia mojej pracy. W końcu otrzymałam list, ale jego zawartość była całkiem odmienna od tej, jakiej się spodziewałam. Z treści listu wynikało, że któryś z klientów złożył na mnie skargę – podobno próbowałam go namówić do wzięcia kredytu w zamian za seks. Od razu wiedziałam, kto złożył skargę. Doczytałam pismo do końca: informowano mnie, że umowa zostaje rozwiązana w trybie natychmiastowym, mam odesłać telefon i wtedy zostanie mi wysłane wynagrodzenie. Nawet nie spojrzałam na kwotę końcową, byłam tak wściekła, że od razu wybrałam numer do biura, które ze mną współpracowało. Chciałam wyjaśnić, że to ja byłam ofiarą. Niestety, jedynym, co usłyszałam, było to, że u nich panuje zasada, iż klient ma zawsze rację i mam odesłać telefon. Co innego mi zostało? Spakowałam moje narzędzie pracy i oddałam je kurierowi. Niedługo potem przyszedł przelew na moje konto – z kwoty wywnioskowałam, że szło mi całkiem nieźle. Kolejny zawód – chciałam

dobrze, a wyszło jak zwykle. To chyba powinno stać się moim życiowym mottem. Kwota, którą otrzymałam, pozwoli mi przeżyć parę tygodni; na razie robię sobie wakacje od idiotów i skupiam się na pracy u Boba.

Siedziałam w moim mikromieszkanie i rozmyślałam, dlaczego nigdy mi się nie udaje. Wiem, że powinnam polegać na własnych wyborach, ale skoro tak, to dlaczego każdy mój wybór kończy się katastrofą? Chciałam się jakoś oderwać od złych myśli i postanowiłam, że uprzątnę wreszcie wielki nieład, który panuje w mojej szafie. Kiedy sprawdzałam, czy w walizkach nie zostały jakieś ważne rzeczy, w jednej kieszeni wyczułam jakiś przedmiot. Zaciekawiona wyciągnęłam go i moim oczom ukazał się telefon. No tak, przecież Jill dała mi komórkę! Musiałam o niej zapomnieć. Chciałam sprawdzić, czy ktoś próbował się skontaktować z tym numerem, ale telefon nie reagował. Zapewne bateria się rozładowała. Podłączyłam go do prądu i wróciłam do sprzątanania. Chyba nie będzie mi dane posprzątać tej szafy – po jakimś czasie przerwał mi bowiem dźwięk dzwoniącego telefonu. Nie był to jednak mój telefon. Dzwonił ten, który niedawno znalazłam. Na wyświetlaczu zobaczyłam nieznaną numer. Powinnam odebrać? W sumie co strasznego może się stać?

– Halo? – Na początku w słuchawce słyszałam tylko jakiś szum, czekałam niecierpliwie, czy ktoś się odezwie.

– Halo, hej to ja! – usłyszałam dziwnie znajomy głos.

– Jaka ja? – zapytałam.

– Jill, głuptasie! Tęskniłaś? – Szczerze mówiąc, spodziewałam się każdego, ale nie jej.

– Nie wierzę! ... Możesz dzwonić? Gdzie jesteś? Gdzie jest George? Wiesz, że szuka cię policja? – zasypywałam ją pytaniami tak, że ledwo udało się jej przebić przez mój słowotok.

– Spokojnie, póki co nie mogę ci za dużo powiedzieć, dzwonię, żeby ci podziękować za lojalność. Doceniam, że nic nie powiedziałaś policji.

Cóż, nie miałam wyboru, kazano mi, to tak zrobiłam. Ale nie powiedziałam tego głośno.

– W ramach podziękowania proszę cię, żebyś zachowała ten telefon i w razie problemów dzwoniła. Pomogę ci w każdej sytuacji. Ale mów, co

u ciebie – powiedziała szybko Jill.

W kilku zdaniach opowiedziałam po kolei o stracie pracy, stracie auta i utracie co najmniej połowy włosów na mojej głowie.

– Co do auta, niestety już nie pomogę ci go odzyskać, ale chyba uda mi się inaczej ci pomóc. A co do straty pracy, to myślę, że rozwiążę problem. Podaj mi numer telefonu tego zboczeńca – zachęciła Jill.

Przez to, że zasypywał mnie wiadomościami i połączeniami, znałam numer na pamięć. Stwierdziłam, że skoro i tak wywalili mnie z pracy, to co mi szkodzi chociaż raz w życiu odegrać się na kimś, kto mi zaszkodził.

– Nie martw się niczym, załatwię to. Jak będziesz potrzebować, to dzwoń. Pozdrowienia od Georga. – Rozłączyła się. Wiec są razem. Jak Bonnie i Clyde.

Tego samego wieczoru dotarła do nas informacja, że steki serwowane przez Jima stały się tak sławne, iż najbardziej znany kanał kulinarny w kraju chce przyjechać i zrobić program o pubie. Bob z radości postawił wszystkim klientom w barze kolejkę na własny koszt. Wszystko pięknie, ale jak mam teraz wyjaśnić, że niestety po ostatniej aferze, kiedy moje zdjęcie wylądowało w lokalnej gazecie, wolę unikać pojawiania się w mediach. A co dopiero w mediach, które mają zasięg na cały kraj. Chyba czeka mnie bardzo poważna rozmowa z Bobem.

– Jak to nie chcesz wystąpić w tym programie? Czy ty wiesz, jakie to dla nas wyróżnienie? – pieklił się Bob.

– Wiem, ale po ostatniej aferze nie chcę, żeby ktoś kojarzył twój pub ze mną i z tym, co się stało. Chyba nie chcesz, żeby ktoś pomyślał, że jesteś przestępcą? – rzuciłam wymyśloną na szybko wymówkę.

Dobra opinia była chyba dla Boba bardzo ważna, bo niechętnie mi przytaknął.

– Może cię jakoś ucharakteryzujemy, żeby nikt cię nie poznał?

– To znaczy? Może nałożę sobie na głowę torbę papierową? Sto procent dyskrecji! – Pomysł Boba nie wydał mi się głupi, ale bałam się, że efekt będzie sztuczny i tym bardziej ludzie zaczną się zastanawiać, kim jestem i czemu na głowie mam tanią perukę.

– Zostaw to mnie, ty przygotuj, co powiesz. Gdy zadzwonili

z telewizji, to powiedziałem im, że nie byłoby tego wszystkiego bez ciebie – powiedział Bob.

Torba na głowie przestała wydawać mi się głupim pomysłem.

Kolejne dni zostały zdominowane przez przygotowywania do programu: szorowaliśmy, malowaliśmy wszystko, co wpadło nam w ręce. Jim nie wychodził z kuchni, próbując doskonalić swoje steki. Nasze przekonywania, że nie da się poprawić czegoś, co jest idealne, nie pomogły – przez dwa tygodnie jedliśmy steki na śniadanie, obiad i kolację. Zaczęłam się modlić o wcześniejszy przyjazd ekipy, żeby zacząć wreszcie jeść coś normalnego.

Rankiem w dniu jej przyjazdu w drzwiach mojego mieszkania stanęła dziewczyna ciągnąca za sobą wielki czarny kufer. Mam nadzieję, że pomysłem Boba nie jest schowanie się w tej skrzyni.

- Cześć, mam na imię Kim, to tobie mam dzisiaj zrobić metamorfozę? – spytała dziewczyna.

- Hmm, wychodzi na to, że tak.

Miała nadzieję, że dziewczyna potrafi coś więcej niż malowanie twarzy na przyjęciach urodzinowych dla dzieci. Wielki motyl na twarzy to nie taka metamorfoza, o jaką mi chodziło. Ale patrząc na jej twarz, która była prawie nieruchoma ze względu na ilość makijażu, to raczej mogłam być spokojna.

Okazało się, że wielki kufer skrywa imponującą ilość kosmetyków i kilka peruk. Liczyłam tylko, że dla mnie nie zostanie wybrana jakaś ruda. Wolałabym zostać rozpoznana niż być rudzielcem. Na szczęście otrzymałam blond włosy.

Kiedy dziewczyna skończyła pracę, w lustrze ukazała mi się całkowicie obca twarz. Nie wiem, jak ona to zrobiła, ale chcę się tak nauczyć. Zaczęłam wypytywać ją o kosmetyki, jakich użyła do wykonania tego makijażu, po usłyszeniu jednak kilku przykładowych cen, podziękowałam – w sumie na co dzień nie muszę się ukrywać. Moja bieda skazuje mnie na dożywotni beznadziejny wygląd.

Wkrótce potem przyjechała ekipa telewizyjna. Każdy z nas dostał skrypt rozmów i przebiegu całego programu – wychodziło na to, że programy mające pokazywać prawdziwe życie nie pozostawiają niczego



przypadkowi. Na szczęście misją tego programu było promowanie gwiazdy stacji, znanego kucharza – my i nasze wyśmienite steki byliśmy dla niego tylko tłem. Nagrywanie programu przebiegło bardzo zgrabnie, nawet gwiazda programu nie gwiazdorzyła nadmiernie – przyszedł, zjadł steki, rzucił kilkoma komplementami i tyle. Moja rola w tym przedstawieniu na szczęście ograniczyła się tylko do krótkiej i zwięzłej opowieści o tym, jak poznałam Boba i jak zaczęliśmy pracować razem. Dobrze, że napisali mi dokładnie, co mam powiedzieć, jeszcze przez przypadek rzuciłabym, iż poznałam Boba, kiedy sprzedawałam mu kradziony alkohol.

Wieczorem, po odjeździe ekipy, postanowiliśmy, że dzisiaj nie otwieramy już baru, odpuszczamy już steki i zamawiamy pizzę. Zgłosiłam się na ochotnika do przywiezienia jej – moją twarz w dalszym ciągu zdobił profesjonalny makijaż, więc pokażę się chociaż kucharzowi z pizzerii. Przechodząc deptakiem w kierunku restauracji, mijałam znany wszystkim w okolicy fast food oferujący mrożone hamburgery z mikrofalówki. W środku zauważyłam naszego mistrza kuchni i gwiazdę telewizji, pałaszującego ze smakiem coś, co przypominało hamburgera. Chyba zatrzymam tę wiedzę dla siebie, Jim mógłby dostać zawału, że ktoś, kogo uważa się za autorytet kulinarny, potrafi włożyć coś takiego do ust i nie wymiotować.

Zaraz po zjedzeniu pizzy wszyscy rozeszli się do domów – chyba emocje nas wszystkich wykończyły. Już chciałam zacząć przebierać się do łóżka, kiedy zadzwonił telefon podarowany przez Jill. Szybko odebrałam, licząc, że wyciągnę wreszcie od Jill jakieś ciekawostki, lecz zamiast jej głosu w słuchawce usłyszałam mężczyznę.

– Witaj, Jill powiedziała mi, że masz problem, a ja chciałbym go dzisiaj rozwiązać. Ubierz się ciepło, przyjadę po ciebie za piętnaście minut.

– Ale ja nie mogę nigdzie wychodzić, mam bransoletkę na nodze! – próbowałam nieśmiało zaprotestować.

– O to się nie martw – rzucił i rozłączył się.

Stwierdziłam, że jeśli nie spełnię jego żądania, to przyjdzie i wyciągnie mnie z mieszkania siłą. Chcąc nie chcąc, przebrałam się

w ciepłe ubrania i czekałam na dalsze instrukcje. Oh, Jill, w co ty mnie znowu wpakowałaś?! Po dziesięciu minutach usłyszałam dźwięk przychodzącej wiadomości. Spojrzałam na ekran i przeczytałam „Czekam przed domem”. No nic, witaj, przygodo!

Wyszłam na zewnątrz i zobaczyłam zaparkowany przed barem czarny terenowy samochód. Podeszłam do niego, a od strony kierowcy otworzyła się szyba. Zobaczyłam za nią wielkiego jak dąb mężczyznę – był tak wysoki, że jego głowa sięgała do sufitu w samochodzie.

- Wsiadaj na tył, zajmiemy się twoją nogą.

Liczyłam, że nie rozumiał przez to obcięta jej. Wsiadłam do samochodu, z tyłu czekał już na mnie kolejny wielki facet. Nałożył na moją bransoletkę jakieś urządzenie i wklepywał coś w tableta. Skończył, dał mi do ręki urządzenie i powiedział:

- Zanieś je do swojego mieszkania, połóż tablet na łóżku, pogaś wszystkie światła i zostaw tam też swoją komórkę.

Dwóch wielkich facetów kontra ja – jaki miałam wybór? Zaniósłam wszystko na górę. Przeleciało mi przez głowę, że powinnam zostawić jakiś liścik, gdyby faktycznie panowie chcieliby pozbyć się mnie w lesie, ale porzuciłam ten pomysł. Pobiegnęłam szybko na dół, nie chcąc, żeby ktoś zauważył stojący przed barem samochód. Wsiadłam z powrotem na tył i ruszyliśmy.

- Jill wspominała, że pewien pan zachował się w stosunku do ciebie nie fair, dzisiaj nauczymy go, co się dzieje, kiedy źle traktujesz przyjaciół Jill – opowiadał mężczyzna, który kierował samochodem.

Czego jeszcze dowiem się o Jill? Prostytucja, ucieczka w wielkim stylu, najemnicy do bicia... Siedziałam jak wmurowana na siedzeniu i nawet nie myślałam, żeby się odezwać. Może zapomną, że tu jestem? Po dość długiej przejażdżce zaparkowaliśmy w jakiejś ciemnej alejce.

- Przez ostatnie parę dni prowadziliśmy miłą pogawędkę z twoim kolegą. On jest święcie przekonany, że to ty do niego pisałaś. Na dzisiejszy wieczór mamy umówioną randkę z naszym kochaniem. Proponuję, żebyś została w samochodzie i obserwowowała z daleka, co się dzieje – poinstruował mnie mężczyzna siedzący obok mnie, który wcześniej rozbroił moją bransoletkę policyjną.

Cicho skinęłam głową, serce chciało wyskoczyć mi z piersi. Jak bardzo chciałam teraz być w swoim łóżku! Z drugiej strony alejki podjechał samochód. Wsiadł z niego mężczyzna i ruszył w stronę auta, w którym wszyscy siedzieliśmy. Czułam paralizujący strach – nie dość, że jestem na warunkowym, to siedzę z bandą drabów w aucie i planuję pozbycie się jakiegoś faceta. Co mi odbiło?! Ale niestety na odwrót było już za późno. Gdy mężczyzna podszedł na wysokość pierwszych drzwi, jeden z drabów otworzył je z impetem, uderzając go w twarz. Kochaś padł na ziemię, krzycząc z bólu. Wtedy obaj mężczyźni wyskoczyli z auta, wzięli go pod ramiona i zaciągnęli w kierunku jego samochodu. Chwilę grzebali mu w kieszeniach, jak się okazało w poszukiwaniu jego kluczyków. Otworzyli samochód, wrzucili nieszczęśnika do bagażnika, jeden z nich wsiadł i zaczął wycofywać. Do auta wrócił drugi z mężczyzn.

– Jak widzisz, sprawa będzie załatwiona, możesz się nie martwić o tego natręta – powiedział ze śmiechem mój nowy kierowca.

Z nerwów nie wytrzymałam i zwymiotowałam prosto na fotel przede mną.

– Przepraszam, ja posprzątam, to z nerwów – próbowałam się tłumaczyć. Chyba powinnam być co najmniej zażenowana, że narzygałam komuś w samochodzie. Strach i przerażenie były jednak tak duże, że kompletnie się tym nie przejmowałam.

– Nie martw się, auto jest wypożyczone – odpowiedział mężczyzna.

– Jednego dalej nie rozumiem: dlaczego musiałam jechać z wami? – wydukałam, walcząc z kolejnymi falami mdłości.

– Żebyś wiedziała, że zajęliśmy się problemem – odpowiedział takim tonem, jakby wyjaśniał dziecku reguły dodawania.

Spoko, następnym razem uwierzę na słowo.

Podjechaliśmy pod dom, musiałam pójść po sprzęt, a potem mój towarzysz zajął się moją bransoletką na nodze. Wreszcie, na trzęsących się nogach, mogłam wrócić do mieszkania.

Leżałam w łóżku i analizowałam wydarzenia dzisiejszego wieczora. Nie wierzyłam w to, co się stało. Czy ja właśnie brałam udział w kolejnym przestępstwie?!

Dlaczego im bardziej próbuję wyplatać się z problemów, w tym gorsze się pakuję?

\*

Parę dni później dostałam list z firmy, dla której sprzedawałam kredyty. Informowano mnie, że poprzednia skarga została wycofana, co więcej osoba wcześniej skarżąca zaciągnęła kredyt i jako tego, kto polecił jej tę usługę, podała mnie. W związku z tym otrzymuję moje dziesięć procent prowizji i propozycję powrotu do firmy. Spojrzałam na kwotę, która widniała na samym dole, szybko przeliczyłam, że chyba nie chcę się narażać na kolejne spotkania z wariatami i raczej podziękuję za współpracę. Parę dni później otrzymałam telefon, że firmie bardzo zależy na współpracy ze mną. Zdecydowanie podziękowałam i dodałam ich numer do listy zablokowanych kontaktów.

Dwa dni później, kiedy siedziałam w pubie i robiłam zamówienie, przybiegł do mnie wyraźnie czymś zaaferowany Bob.

- Chodź szybko! Nie uwierzysz, co czeka na ciebie na zewnątrz.

- Jeśli to nie jest worek pieniędzy, to nie jestem zainteresowana. -  
Po ostatnich przeżyciach miałam serdecznie dość niespodzianek.

Ale mimo wszystko ciekawość zwyciężyła i poszłam za Bobem. Na parkingu przed pubem zobaczyłam lawetę, która właśnie rozładowywała samochód. I to nie byle jaki - nowiutkie, ogromne audi q7. Nie za bardzo wiedziałam, czemu Bob tak się ekscytuje. Ten chyba czytał w moich myślach, bo od razu wyjaśnił.

- Kierowca powiedział, że to samochód dla ciebie.

- Jak to dla mnie?! Nie przypominam sobie, żebym po pierwsze miała na takie auto pieniądze, a po drugie żebym w ogóle takie coś kupowała.

Poza tym nie zapominajmy o mojej bransolecie, która pozwala mi co najwyżej przejść się maksymalnie kilka przecznic wokół pubu. A niestety nie dam rady pojechać tam samochodem.

- Bob, to musi być jakaś pomyłka, zaprosz tego miłego pana do pubu i wszystko z nim wyjaśnię.

Po piętnastu minutach, kiedy audi stało już na podjeździe, kierowca

przyszedł do mnie z dokumentami do podpisu.

- Proszę pana, przykro mi, że pan się fatygował, ale to jakaś pomyłka, to zdecydowanie nie jest mój samochód.

- Dokumenty mówią co innego. Proszę potwierdzić odbiór.

Spojrzałam na podsunięte papiery i wszystko stało się jasne. Jako nadawcę zobaczyłam panią J. - więc to sprawa Jill. Czy ona jest nienormalna? Jak się wytłumaczę, że mam taki samochód? Od razu powiążą mnie z nią i znowu będę mieć problemy.

- Proszę podpisać, bo się spieszę, i tak nie zabiorę tego samochodu z powrotem. Proszę wyjaśnić to sobie z nadawcą.

Nie zostało mi nic innego, jak podpisać papiery i zadzwonić do Jill.

Numer, z którego do mnie dzwoniła, był wyłączony, zamiast tego odebrałam od niej mail: „Mam nadzieję, że prezent przypadł ci do gustu, dziękuję za wszystko, twoja J.”. Czyli chyba właśnie stałam się właścicielką super fury.

Zeszłam na dół i zobaczyłam Boba i Jima przyklejonych do auta i mówiących jeden przez drugiego o parametrach i osiągnięciach. Na chwilę obecną mało mnie to interesowało - i tak nie mogłam tym jeździć. Kiedy przyszli do baru, wręczyłam obu po jednym komplecie kluczyków i prosiłam o ostrożną jazdę. Prawie mnie udusili, przytulając.

Na szczęście euforia z nowego auta spowodowała, że nikt nie zadawał niewygodnych pytań. Przynajmniej na razie.

\*

Za otrzymane teraz pieniądze spokojnie doczekam końca mojego wyroku, a co za tym idzie - uwolnienia z mojej bransolety. Po pokazaniu naszego pubu w krajowej telewizji mieliśmy zatrzęsienie klientów. Uwijaliśmy się jak w ukropie od popołudnia do późnych godzin nocnych. Ze względu na ciężę Elle musiała więcej odpoczywać, dlatego zatrudniliśmy do pomocy kilka nowych osób. W sumie w pubie pracowało nas teraz dwanaścioro, a rezerwacje na stoliki mieliśmy na kilka tygodni naprzód. I pomyśleć, że nie tak dawno był to podrzędny lokal z szemraną opinią, gdzie sprzedawano kradziony alkohol, który kupował ode mnie Bob. Jestem cudotwórcą, a jednocześnie w dalszym

ciągu nieudacznikiem. Czyli żadnych zmian. Jest beznadziejnie, ale stabilnie.

Jakieś parę tygodni po emisji programu o pubie odebrałam telefon z nieznanego numeru. W pierwszym momencie pomyślałam, że dzwoni ktoś w sprawie pracy, zajęło mi chwilę, zanim rozpoznałam głos w słuchawce.

- Eeee, widziałam ostatnio program o twoim pubie, sprytnie to sobie wymyśliłaś z tym przebraniem, ale i tak cię poznałam! - Właścicielką ociekającego cukrem głosu okazała się Rozwan.

- Hmm, co cię do mnie sprowadza? - nie chciałam potwierdzać, że to faktycznie byłam ja.

- Pomyślałam, że w ramach wdzięczności załatwisz mi stolik w pubie - zaświergotała do słuchawki. Gdybym jej faktycznie nie znała, to mogłabym się nabrać, ale niestety, nie ze mną te numery. Dalej pamiętam, jak to jest mieć makaron na twarzy.

- Musisz zadzwonić i się umówić... - próbowałam się jakoś wykręcić.

- Dzwoniłam! Wyobraź sobie że, chcą mi dać stolik za kilka miesięcy. Czy oni nie wiedzą, kim ja jestem?!

Na pewno nie wiedzą, ale jak im powiem, to prędzej piekło zamarznie, niż dostaniesz chociaż krzesło na zapleczu!

- A poza tym jaka wdzięczność?! Za co?! - dopiero do mnie dotarł bezsens tego, co ona do mnie mówiła.

- Beze mnie byś tego nie osiągnęła! Ja ci dałam możliwości w tym kraju! Beze mnie byłabyś nikiem!

O proszę, kochana Rozwan długo nie mogła udawać, już pokazuje swój paskudny charakterek.

- Oj nie, kochana, jakbym została w wariatkowie, który nazywasz domem, byłabym nikiem! - odpowiedziałam jej z śmiechem. - Cmoknij się w swój tłusty zad i więcej do mnie nie dzwoń! - rzuciłam w słuchawkę i nie czekałam nawet na żadną odpowiedź, rozłączyłam się, a numer, z którego dzwoniła, dodałam do czarnej listy.

Najwyższy czas zmienić numer telefonu.

Ale poczułam satysfakcję. Role się odwróciły, co, Rozwan?

Czas mijał nieubłaganie, minęła jesień, zima, potem przyszły święta. Po raz pierwszy od paru lat spędzałam je w gronie bliskich mi osób, ale gdzieś z tyłu głowy kołatała mi myśl, że powinnam zacząć szukać innej pracy. Chyba już taka moja natura, że nigdzie nie mogę zagrzać miejsca – nawet tam, gdzie mi dobrze. Najwyraźniej jestem skazana na wieczną tułaczkę. Bob chyba czytał w moich myślach, bo po kolacji podszedł do mnie i powiedział:

- Co, dzieciaku, носи cię żeby już pofrunąć dalej?

- To nie tak, Bob, chciałabym zostać, ale ciągnie mnie do świata...

Chyba nie uczę się na własnych błędach – odpowiedziałam szczerze.

- Takie prawo młodości, wiesz, że zawsze możesz tu wrócić. Wszystko, co tu jest, zawdzięczam tobie – powiedział, obejmując mnie ramieniem.

Bob dobrze wie, jak rozkleić mnie jednym zdaniem. Tego samego wieczoru zaniosałam mu kopertę z większością mojej gotówki, otrzymanej jako prowizja od ostatniego sprzedanego kredytu. Może nie uczę się na błędach, ale wiem, że zawsze muszę mieć kasę na czarną godzinę, a te zdarzają się u mnie niezwykle często.

Zaraz po Nowym Roku nadeszły moje urodziny – dwudzieste ósme. Obiecałam sobie, że przed trzydziestką ułożę sobie jakoś życie. Miałam już dość ładowania się z jednych kłopotów w drugie i wiecznych przeprowadzek. A jeśli mowa o przeprowadzkach, jako prezent dla samej siebie z małą pomocą ekipy barowej zasponsorowałam sobie komplet walizek. Bardzo stylowe i koszmarnie drogie – od teraz przeprowadzam się z klasą. Przynajmniej jedno postanowienie z zeszłego roku zrealizowałam.

W połowie lutego zaczęłam szukać pracy. Miałam jeszcze trochę czasu do ściągnięcia mojej bransoletki, ale nic nie stało na przeszkodzie, żeby trochę się rozejrzeć. Poprawiłam moje CV, ale żeby dostać pracę w porządnym domu musiałam mieć referencje z poprzedniej pracy. Nie miałam wyjścia, trzeba było zadzwonić do Marii. Szybko wytłumaczyłam, w czym rzecz, przypomniałam, że ja kiedyś zrobiłam jej kilka przysług, a teraz ona ma szansę mi się zrewanżować. W końcu wymogłam na Marii przesłanie mi porządnych referencji – chyba moje

argumenty zrobiły na niej wrażenie, bo takich rekomendacji sama bym chyba nie wymyśliła. Dołączyłam do mojego CV wszystkie dokumenty i zaczęłam rozsyłać odpowiedzi na ogłoszenia, modląc się, żeby moja aplikacja nie trafiła do kolejnego domu wariatów. Przez parę dni mój telefon milczał, nie traciłam jednak nadziei, wciąż miałam trochę czasu do zdjęcia bransoletki – nie było opcji, żebym wcześniej zaczęła pracę; przez ten czas miałam obowiązek informować każdego pracodawcę o fakcie posiadania kryminalnej przeszłości. Na razie też nie zastanawiałam się, co się stanie, kiedy zostanę poproszona o zaświadczenie o niekaralności – w aktualnej sytuacji nie wiem, jaki cud musiałby się stać, żebym legalnie załatwiła taki papier. Niezrażona brakiem odpowiedzi, dalej wysyłałam moje dokumenty.

W końcu dostałam telefon z agencji, do której trafiła moja aplikacja. Zostałam zaproszona na rozmowę w dniu następnym. Tu więc pojawił się pierwszy problem – przez najbliższe tygodnie nie mogę nigdzie pojechać. Udało mi się jednak przekonać panią do odbycia rozmowy przez Skype'a; jako powód podałam, że jestem z wizytą w domu rodzinnym. Druga prośba stanowiła większe wyzwanie. Pani powiedziała, że wysłała na maila do podpisania zgodę do sprawdzenia kartoteki karnej, więc opcja podrobienia dokumentu odpadła. Stwierdziłam, że raz koźie śmierć, przynajmniej będę wiedziała, co takiego mam w kartotece. Wypełniłam wniosek i odesłałam – teraz zostało mi już tylko czekać na rozmowę. Następnego dnia ubrałam się elegancko od pasa w górę, ponieważ kamerka obejmowała tylko tę część ciała, i zasiadłam przed laptopem. Takie rozmowy mogę odbywać – miałam na sobie białą koszulę, dół od piżamy i ciepłe kapcie. W pewnym momencie dziewczyna przeprowadzająca rozmowę poprosiła mnie o przeczytanie kilku danych z paszportu. Nie byłoby z tym żadnego problemu, gdyby nie wymagało to ode mnie wstania i podejścia do torby. Jeśli to zrobię, to wyda się, że poniżej mojej bielutkiej koszuli znajdują się spodnie od piżamy ozdobione wzorem w misie. Szybko próbowałam wymyślić, co zrobić – to była pierwsza firma, która odezwała się, od kiedy zaczęłam na nowo szukać pracy, nie chciałam zaprzepaścić tej szansy z powodu spodni w misie. Musiałam działać zdecydowanie...



Szybkim ruchem wyrwałam kabel z internetu... stopą. Połączenie od razu zostało zerwane. Natychmiast podbiegłam do torby z dokumentami – na wszelki wypadek zgarnęłam też wszystkie inne moje dokumenty, drugi raz taka akcja nie przejdzie. Wróciłam szybko do komputera, podłączyłam kabel i wybrałam na Skypie nazwę agencji.

– Przepraszam, coś zerwało połączenie, ale mam już paszport – powiedziałam z najbardziej profesjonalnym uśmiechem, na jaki było mnie stać.

Na szczęście udało mi się. Reszta rozmowy przebiegała bez zakłóceń. Po wszystkim otrzymałam całą stertę dokumentów, które musiałam wypełnić, łącznie z oświadczeniem o nieudzielaniu informacji prasie. Liczyłam, że nie szykuje mi się praca u kolejnego dilerka albo alfonsa.

Po kolejnych kilku dniach otrzymałam zaproszenie na dzień próbny. Chciałam wierzyć, że nie zrujnuję tego wszystkiego informacją o statusie kryminalisty. Dostałam adres, pod który miałam stawić się następnego dnia. Akurat w przededniu tego dnia pozbyłam się wreszcie niechcianej obrączki. Mimo że posiadałam piękny samochód, to nijak nie pasował on do osoby, za jaką chciałam być uważana w nowej pracy. Poza tym z tego, co widziałam, został zapakowany fotelikiem dla dziecka i innymi dziecięcymi akcesoriami (Elle przed miesiącem urodziła maleństwo). To zdecydowanie odstraszało mnie od prowadzenia tego auta. Zostało mi więc zaplanowanie wycieczki pociągiem. Zgodnie z kodem pocztowym, miałam się zjawić w bardzo bogatej dzielnicy – z informacji w Google wynikało, że na mieszkania tam stać tylko sławnych i bogatych. Ciekawe pod czyje drzwi rzuci mnie tym razem los. Następnego dnia, kolejny już raz w moim życiu, ubrałam się najlepiej, jak potrafiłam – miałam szczęście, że posiadałam teraz całą szafę modnych i obłędnie drogich ubrań od Jill, więc po raz pierwszy nie miałam problemu, co na siebie założyć.

Dotarłam pod podany adres paręnaście minut przed umówionym czasem – chciałam przyjrzeć się budynkowi, zanim pójdę na rozmowę. Moje plany pokrzyżował jednak wysoki mur, który szczelnie zakrywał jakikolwiek widok na dom i obejście. Nie zostało mi nic innego, jak na

ławce niedaleko domu poczekać na czas, kiedy powinnam zjawić się na rozmowie. Rozkoszowałam się wczesnowiosennym porankiem, kiedy poczułam dzwoniący w kieszeni telefon. Na wyświetlaczu zobaczyłam numer agencji, która skierowała mnie tutaj na rozmowę - od razu poczułam, że nie mają dla mnie dobrych wieści.

- Witam, dzwonię odnośnie rozmowy o pracę. Mamy problem z twoimi dokumentami. Jest pewna rozbieżność pomiędzy tym, co oświadczyłaś, a tym, co otrzymaliśmy z rejestru. W tym przypadku nie możemy zaoferować ci pracy.

Rozłączyła się, a ja siedziałam na ławce, patrząc na mur, za którym skrywał się zapewne piękny dom, który miał się stać moim nowym lokum. Smętnie powlokłam się z powrotem do mojej kamienicy. Czyli teraz już nie dostanę żadnej pracy, jestem notowana, co na starcie całkowicie mnie skreśla. Więc do końca życia zostaje mi pub.

Nikommu w pubie nie pochwaliłam się, że idę na rozmowę, dzięki temu nie musiałam się teraz tłumaczyć, jakim nieudacznikiem jestem.

Chyba wpadłam w depresję - kolejne dni to była praca w barze i leżenie w łóżku, nie miałam na nic siły ani ochoty. Nie miało sensu szukanie pracy - każda sensowniejsza oferta miała zawartą klauzulę, że wymagane jest zaświadczenie o niekaralności. Wolałam oszczędzić sobie rozczarowań i zostawić wszystko tak, jak jest. Któregoś dnia, gdy leżałam w łóżku, mój wzrok padł na telefon, który dostałam od Jill. Czułam potrzebę wygadania się z tego wszystkiego, co leżało mi na sercu. Wybrałam jej numer, niestety odpowiedziała mi cisza. Nawet ona o mnie zapomniała. Nie zostało mi nic innego jak ostatecznie pogрузić się w rozpacz.

Zdażyłam już pogodzić się z tym, że do końca życia będę nalewać piwo i roznosić jedzenie. Przestało mi już zależeć - widać takie moje przeznaczenie. Poza tym nie miałam czasu na myślenie nad swoim życiem. Elle była pochłonięta opieką nad swoją córką, więc jej obowiązki, pomimo zatrudnienia wspomnianych wcześniej nowych osób, częściowo spadły na mnie. Pub stał się okoliczną atrakcją, więc nie narzekaliśmy na nadmiar wolnego czasu.

Tak nadeszła zima, a za nią kolejne święta. Tradycją już chyba stawało się, że spędzaliśmy je we własnym gronie. Grupa kompletnie obcych sobie ludzi stała się dla siebie jedyną rodziną – to chyba faktycznie musiało być przeznaczenie. Jak co roku po kolacji siedzieliśmy w mieszkaniu Boba i rozkoszowaliśmy się z powodu nasycenia smacznym jedzeniem. Nagle Bob rzucił:

- Średnio ostatnio wyglądasz, coś cię trapi?

- Po prostu jestem zmęczona, mieliśmy więcej pracy. - Nie miałam ochoty zwierzać się nikomu z tego, w jaki marazm popadłam i jak bardzo wszystko przestało mnie obchodzić.

- Powinnaś pojechać na jakieś wakacje albo coś... - powiedział, wyraźnie strapiony.

- Może powinnam, pomyślę nad tym - ucięłam. Po wszystkich niepowodzeniach, jakie spotkały mnie w ostatnich latach, nie chciało mi się nawet myśleć, co mogłoby się wydarzyć na wakacjach.

Mimo to, po powrocie do mieszkania zaczęłam przeglądać ogłoszenia biur podróży. Ze zdjęć kusily mnie piaszczyste plaże i kolorowe drinki. Może faktycznie przyda mi się urlop? Zastanowiłam się, kiedy ostatni raz byłam na wakacjach... Planowanie urlopu przerwał dźwięk telefonu. Po odebraniu usłyszałam radosną jak zwykle Jill.

- Wesołych świąt! - krzyknęła tak głośno, że aż musiałam odsunąć telefon od ucha.

- Cieszę się, że chociaż tobie dopisuje świąteczny humor - odpowiedziałam z przekąsem.

- Co się stało? Mój prezent nie sprawił ci przyjemności? Opowiadaj!

Wreszcie mogłam zrzucić z siebie to, co trapiło mnie przez ostatnie miesiące. Nieudane poszukiwania pracy, brak perspektyw i to, że utknęłam bez wyjścia.

- Mam pomysł. Przyjedziesz do mnie na wakacje! - rzuciła radośnie Jill.

- Co rozumiesz przez „do mnie”? - Ostatnie, czego potrzebowałam, to utknięcie w jakimś podejrzanym miejscu. Po ostatnim pomysłе Jill dalej miałam w nocy koszmary.

- Bardzo przyjemne miejsce, nawet teraz jest ciepło... I jest tequila!

- zachęcała mnie Jill.

Dobra, przekonała mnie.

Kolejne dni zeszły mi na pakowaniu się i szybkim zamawianiu potrzebnych rzeczy. Na szczęście sprawą biletu zajęła się Jill - przyszedł prosto na moją skrzynkę mailową.

Z ciekawością spojrzałam na miejsce mojego przylotu... Lecę na Kubę!

## Raj na ziemi

W pubie powiedziałam wszystkim, że wykupiłam urlop na dwa tygodnie i przyślę im pocztówki. Zapakowałam do taksówki swoje piękne walizki i pojechałam na lotnisko. Kiedy wysiadłam przed terminalem, tknęła mnie jeszcze jedna rzecz: na lotnisku będą bardzo dokładnie sprawdzać dokumenty – a jeśli się okaże, że jestem poszukiwana i mnie deportują? Zaczęłam pocić się ze stresu, ale taksówka już odjechała, więc nie miałam wyjścia. Załadowałam bagaż na wózek i poszłam do hali odlotów. Gdy oddawałam bilety stewardesie, ręce trzęsły mi się ze stresu.

- Proszę się nie stresować lotem, załoga zadba, żeby minął spokojnie – powiedziała do mnie z uśmiechem. Szkoda że nie wiedziała, że turbulencje są moim najmniejszym zmartwieniem.

Odprawiłam bagaż i z duszą na ramieniu szłam na odprawę celną. Podając paszport celnikowi, prawie zwymiotowałam ze strachu. Dawno się tak gorąco nie modliłam jak wtedy, kiedy celnik lustrował moje dokumenty. Gdy oddał mi je, życząc miłego lotu, prawie popłakałam się ze szczęścia. Teraz do pełnego sukcesu brakowało mi tylko wizyty w strefie bezcłowej. Stwierdziłam, że w nagrodę za przejście kontroli celnej mogę kupić sobie jakiś kosmetyk, albo nawet kilka.

Trochę mnie poniosło z tym świętowaniem, bo ledwo wcisnęłam torbę z zakupami do walizki. W sumie nie wiem, po co mi tego tyle, prawie w ogóle się nie maluję, bo nigdzie nie wychodzę. Ale może kiedyś wreszcie mój los się odmieni – jestem przynajmniej na to przygotowana.

Dopiero gdy siedziałam w samolocie, przypomniało mi się, że czeka mnie jeszcze kontrola po przylocie na miejsce docelowe. Stres z tym związany leczyłam darmowym szampanem. Jill wykupiła dla mnie miejsce w pierwszej klasie. Szampan, miękkie kocyki i bardzo uprzejme stewardesy – tak zdecydowanie mogłabym być bogata. Lot był długi, ale

znużona stresem i szampanem większość przespałam. Gdy tylko koła samolotu dotknęły płyty lotniska, stres wrócił - znowu zaczęłam w myślach zaklinać los i prosić o kolejny łut szczęścia. Był środek nocy i celnicy chyba byli już zmęczeni pracą - ledwo jeden z nich rzucił okiem w kierunku moich dokumentów i zaraz mi je oddał. Myślałam, że zacznę skakać z radości; zamiast tego odebrałam resztę bagażu i pobiegłam w kierunku wyjścia. Wzorkiem szukałam Jill, miała się ze mną przecież tutaj spotkać. Hala była zapełniona do granic możliwości i nigdzie nie widziałam mojej przyjaciółki. Zaczęłam się stresować; nie znałam tutaj przecież nikogo, nie miałam dokąd pójść. Moje przemyślenia przerwało lekkie klepięcie w ramię.

- Przepraszam, pani Anna? - odwróciłam się, a za mną stał mężczyzna w uniformie.

- Eeee... tak? - Miałam nadzieję, że to nie celnik, który jednak stwierdził, że nie podoba się mu moja gęba.

- Pani Juliette wysłała mnie, żebym panią odebrał z lotniska i zabrał do hotelu. Pozwoli pani, że zabiorę walizki?

Stałam z otwartą buzią i nie wiedziałam, co powiedzieć. Kierowca chyba uznał moje milczenie za zgodę, bo zabrał moje toboły i poszedł w kierunku parkingu. Nie zostało mi nic innego, jak pójść za nim. Stanął przed piękną czarną limuzyną, otworzył mi tylne drzwi i ruchem ręki zaprosił do wejścia do środka. Czułam się jak ktoś ważny. Gdyby teraz zobaczył mnie Bob, wsiadającą do limuzyny z kierowcą, zapewne zapytałby, kto za to zapłacił i musiałabym powiedzieć, że moją wycieczkę zasponsorowali Bonnie i Clyde. Tę wiedzę wolałam jednak zostawić dla siebie.

Jechaliśmy dość długo. Nic nie widziałam, bo za szybą panowała ciemność. W końcu zatrzymaliśmy się w - jak mi się wydawało - porcie. Zostałam poproszona o przejście na łódź, która miała mnie przetransportować na wyspę należącą do Jill. Próbowałam nie pokazać po sobie, jakie wrażenie zrobiła na mnie ta wiadomość. Własna wyspa?! Serio?! A ja się cieszę z nowej walizki. Władowałam się na małą motorówkę, zostałam otulona kocem i posadzona na kanapie. Ruszyliśmy w nieznanym kierunku - miałam cichą nadzieję, że nie

zostanę poćwiartowana i moje ciało nie zostanie na zawsze na dnie oceanu. Na szczęście po dwudziestu minutach dopłynęliśmy do małego mola. Łódź została przycumowana, a ja zapakowana do małego samochodziku. Ile razy będę musiała zmieniać środek transportu, żeby dojechać do miejsca pobytu Jill? Po paru minutach dotarliśmy pod jakiś dom – spodziewałam się hotelu, ale byłam ciekawa, co może mnie zastać w środku. W drzwiach wejściowych czekała już na mnie Jill. Wyściskałyśmy się za wszystkie czasy.

- Jest strasznie późno, pokażę ci twój pokój, a pogadamy jutro rano.  
- Zaprowadziła mnie na piętro.

W środku czekały już na mnie bagaże.

- Śpij dobrze, widzimy się jutro o dziesiątej na śniadaniu.

Zostałam sama. Pokój, a raczej apartament, robił wrażenie, urządzone go z klasą, ale i z przepychem. Miałam własną łazienkę z ogromną wanną i wielki taras. Z tarasu można było podziwiać plażę i ocean. Czyli to tak żyją piękni i bogaci? Chciałam posiedzieć na tarasie, ale zmęczenie zrobiło swoje, oczy same mi się zamykały. Szybko się wykąpałam, przebrałam w piżamę i wdrapałam na ogromne łożo z baldachimem. Czułam się jak prawdziwa księżniczka. Nie wiem, czy to zasługa wygodnego łóżka, czy mojego zmęczenia podróżą, ale mimo podniecenia usnęłam w momencie, kiedy przyłożyłam głowę do poduszki.

Obudziłam się nad ranem. Musiało być bardzo wcześnie, bo w domu panowała cisza. Byłam tak podekscytowana, że szybko ubrałam się i wyszłam z pokoju. W świetle wczesnego poranka mogłam podziwiać panujący w całym domu przepych. Wszędzie królowało ciemne drewno, obrazy w grubych złotych ramach i pełno drogo wyglądających bibelotów. Myślę, że ten dom mógłby spokojnie konkurować z Opactwem o miano bardziej sztywnego. Przeszłam niezauważona przez cały dom – chyba wszyscy jeszcze spali. Miałam nadzieję, że Jill nie będzie mi miała za złe, że troszkę pozwiedzam jej dom. Gdy doszłam do kuchni, która była wielkości całego pubu u Boba, zauważyłam z tyłu drzwi prowadzące do ogrodu. Liczyłam, że przez ogród dostanę się na plażę, którą widziałam poprzedniego dnia z mojego okna. Szłam przez ogromny ogród, wdychając słone powietrze... ocean musiał być gdzieś

blisko. Sam ogród robił podobne wrażenie jak dom - był pełen egzotycznych roślin, na jednym z drzew zauważyłam nawet banany. Cały ogród sprawiał wrażenie labiryntu - w krętych ścieżkach można było zabłądzić. Szłam, kierując się zmysłem słuchu, coraz głośniejszy szum oceanu świadczył o tym, że zmierzam w dobrym kierunku. Na końcu ogrodu zauważyłam wysoki drewniany płot. Już chciałam się poddać i wrócić później, kiedy zauważyłam drewnianą furtkę - tylko ona dzieliła mnie od zamoczenia stóp w oceanie. Zaczęłam siłować się z zamkiem, który za żadne skarby nie chciał się otworzyć. Szarpałam drzwiami, kiedy zamek wreszcie niespodziewanie puścił i poleciałam do tyłu razem z drzwiami. Kiedy się pozbierałam, zza furtki - zamiast oceanu - spoglądał na mnie ubrany na czarno mężczyzna. Kiedy uważniej mu się przyjrzałam, zauważyłam, że ma przy sobie broń. Nie wiedziałam, czy mam uciekać, czy czekać, aż będzie próbował mnie zastrzelić. Na szczęście rozwiązanie przyszło samo - z ogrodu dobiegł mnie głos Jill.

- Nic się nie martw, to nasz ochroniarz, jeszcze cię nie poznał. - Powiedziała coś do niego w języku, którego nie zrozumiałam, a ten zamknął furtkę i zniknął z pola widzenia.

- Dlaczego twój ochroniarz nosi broń?

- Wiesz, są ludzie, którzy niekoniecznie za nami przepadają, a strzeżonego Pan Bóg strzeże, tak? - odparła beztrosko z uśmiechem.

Wolałam chyba nie drążyć na razie tematu, poza tym czy ktoś mi wreszcie może pokazać ocean?

- Najpierw zjedzmy coś, a później zabiorę cię na naszą plażę.

Do wczoraj nie wiedziałam, że można mieć plażę. Teraz wiem, że można mieć nie tylko plażę, ale i wyspę. Gdy już kiedyś stanę się bogata, muszę mieć i jedno, i drugie.

„Śniadanie” bardziej przypominało wystawne przyjęcie - stół uginał się od jedzenia, które mogłoby zadowolić nawet bardzo wymagających gości. Ogromnie mnie to ucieszyło, bo mimo nieustającego podniecenia sytuacją, w jakiej się znalazłam, mój brzuch domagał się jedzenia.

Zgodnie ze złożoną obietnicą, po śniadaniu Jill zabrała mnie na plażę. Zapytałam, czy mam zabrać ze sobą jakiś ręcznik; zaczęła się śmiać i powiedziała, że ona o wszystko zadbała. Faktycznie, kiedy - tym



razem bez przygód - otworzyła furtkę prowadzącą na plażę, moim oczom ukazały się leżaki z parasolami i bar - tak, Jill miała własny bar na plaży. Muszę to też dopisać do mojej listy noworocznych życzeń.

- Obiecałam ci przecież drinki, prawda?

Jill obiecała drinki, a ja obiecałam sobie, że będę siedzieć na tej plaży przez dwa tygodnie. Przez pierwsze parę dni realizowałam mój plan w stu procentach - nawet posiłki przynoszono nam na plażę. Czułam się jak księżniczka, nie chciałam w ogóle myśleć o powrocie do domu. Nie chcę wyjść na niewdzięcznicę, ale nie można nawet porównać miejsca, w którym teraz jestem, do pubu u Boba. Życie tutaj toczyło się całkowicie innym rytmem, wszyscy byli zrelaksowani i uśmiechnięci, nikt się nigdzie nie spieszył i nikt nie pytał o płacenie rachunków.

Przez te parę dni próbowałam wycisnąć z Jill jakieś informacje. Po pierwsze wiedziałam już przecież, że nie dorobiła się tego wszystkiego jako sprzątaczką. Po drugie, dopytywałam się, gdzie w ogóle jest George. Jedyne, co mi powiedziała, to że George jest przeszłością. Nie wiedziałam, jak to interpretować. Rozstali się? Nie żyje? Zbywała mnie jakimiś głodnymi kawałkami, kiedy jednak nie przestawałam naciskać, powiedziała mi w końcu, że im mniej wiem, tym lepiej dla mnie. Wtedy odpuściłam - faktycznie, gdyby tak znowu przyczepiła się do mnie policja, nie będę musiała kłamać, bo ja po prostu faktycznie nic nie wiem. Odpuściłam swoje wypytywanie i zajęłam się podziwianiem otaczającej mnie przyrody.

A było co podziwiać: na niebie nie było nawet jednej chmurki, a fale rozbijające się o piasek działały hipnotyzująco. Jill chyba zrobiło się przykro, że tak mnie potraktowała, bo powiedziała, że następnego dnia zabiera mnie na jacht. No tak, to przecież oczywiste: ma jacht - mając wyspę, musisz mieć jacht.

Nazajutrz wcześnie rano pojechaliśmy na drugą stronę wyspy - jak się okazało, naszym celem była przystań. W marinie przekonałam się, że nie był to byle jaki jacht. Jak dla mnie wyglądał jak ogromny statek (ale nie mam jachtu, więc mogę się nie znać). Przy wejściu na pokład przywitała nas załoga - a jakże, czym by innym - kieliszkiem szampana. Moja wątroba długo będzie pamiętać ten urlop. Od razu zostałam

zaprowadzona do mojej kajuty. Jill poinformowała mnie, że zostajemy tutaj na noc, przygotowała też dla mnie ubrania, które mogłam włożyć. Nie wiem, czy ten gest był podyktowany wyrzutami sumienia, czy faktem przeanalizowania i negatywnej oceny garderoby, którą przywiozłam ze sobą z domu. Jak tak dalej pójdzie, to Jill zasponsoruje mi wymianę całej szafy. Skłamałabym, jeśli bym powiedziała, że przykro mi z tego powodu. Sama kajuta odpowiadała temu, co widziałam na pokładzie. Bardziej przypominała luksusowy pokój w hotelu, niż kajutę na statku. Do swojej dyspozycji miałam ogromne łóże oraz równie imponującą łazienkę – wystrój był utrzymany w bardzo marynarskich niebiesko-białych klimatach. Przebrałam się szybko i wróciłam na pokład. Jill już na mnie czekała, leżąc na jednym z plażowych łóżek. Położyłam się obok niej i relaksowałam się kolejnym kieliszkiem szampana. Zamknęłam oczy i rozkoszowałam się promieniami słońca i lekkim kołysaniem oceanu. To jest życie – jedenasta przed południem, a ja jestem już w połowie butelki szampana. Gdyby teraz mógł mnie zobaczyć ktoś z moich bliskich, leżącą w drogich ubraniach na prywatnym jachcie... Żyć nie umierać! Obsługa usługiwała mi, dbając o mnie niczym o księżniczkę – zapewne gdybym poprosiła, to któryś z postawnych mężczyzn zaniósłby mnie na plecach do łazienki. Kiedy podczas obiadu przechodził koło mnie kelner z całym naręczem półmisek, zauważyłam, że za paskiem ma schowaną broń – czyli oni też należą do ochrony Jill. Czego ona się obawia, że nawet jej kelner ma pistolet? Zastanawiałam się, czy to paranoja, czy faktycznie ktoś może dybać na jej życie. Liczyłam, że nie zacznie przypadkiem czyhać też na moje. Dzień upłynął na słodkim lenistwie, opalaniu i piciu szampana. Tak to bym mogła żyć! Mogę tylko podejrzewać, czym tak naprawdę zajmuje się Jill, ale benefity są zachęcające.

Opróżniłam kolejnego drinka i już chciałam zawołać któregoś z kelnerów, kiedy Jill obwieściła, że chętnie rozprostuje nogi i sama przyniesie nam coś do picia. Nie zwróciłam na to większej uwagi – oddałam jej kieliszek i patrzyłam, jak oddała się w kierunku baru. Trochę dziwne wydało mi się, że kiedy już niosła drinki, wychodziła z dolnego pokładu, a nie od strony baru, ale może coś mi się

przywidziało? Po wypiciu drinka przyniesionego przez Jill, zaczęłam źle się czuć: język mi się plątał, cały świat wirował, a nogi się pode mną ugiwały. Ostatnie, co pamiętałam, to droga do kajuty na rękach jednego z ochroniarzy Jill.

Ocknęłam się w środku nocy. Głowa o mało mi nie eksplodowała. Wstałam z łóżka i o mało od razu nie upadłam. Coś było nie tak – mogłam się upić, ale to nie było to, bo w taki sposób czułam się po raz pierwszy. Postanowiłam poszukać Jill i poprosić o coś przeciwbólowego. Statek pogrążony był w półmroku, tylko gdzieś tam świeciły się lampy. Szłam cichutko w kierunku górnego pokładu, gdy nagle usłyszałam jakieś głosy. Mężczyzna mówił coś w niezrozumiałym dla mnie języku. Najciszej, jak potrafiłam, weszłam na górny pokład; głosy dochodziły z części, gdzie była loża. Z miejsca, w którym stałam, nic nie widziałam, zakradłam się więc cichutko na wyższy poziom i przykucnęłam za leżakami. Z tej pozycji dostrzegłam, że w loży jest Jill wraz z kilkoma mężczyznami, których widziałam pierwszy raz w życiu. Mało co słyszałam, ale w sumie i tak bym nie zrozumiała, bo rozmawiali w innym języku. W przytłumionym świetle widziałam jednak, że na stole stoi skrzynka. Jeden z mężczyzn otworzył ją, a ze środka wyciągnął srebrną paczkę. Sprawnym ruchem przeciął opakowanie małym nożykiem, a ze środka wysypał się biały proszek. O matko, jaka jest szansa, że Jill w środku nocy, na środku oceanu sprzedaje mąkę?! Cóż, aparycja panów nie pozostawiała złudzeń: moja przyjaciółka sprzedaje narkotyki. I to nie jak jakiś leszcz w szemranej dzielnicy małą paczuszkę, tylko wielką pakę, która wyglądała, jakby ważyła co najmniej kilka kilogramów. A prawdopodobnie to tylko test towaru. W co ja się znowu wpakowałam? Przy tym bracia Wright to pikuś. Gdyby mnie tutaj z nią złapano, zapewne do końca życia oglądałabym świat z za krat. Pudło zniknęło ze stołu, a zamiast niego pojawiła się walizka. Jill otwierała ją, a w środku zauważyłam gotówkę – pokaźną ilość gotówki.

Z walącym sercem cicho wycofałam się z powrotem na dolny pokład. Nie wiedziałam, co zrobić – przecież nie wyskoczę za burzę, na policję też raczej nie zadzwonię. Muszę dotrwać do końca tego urlopu i uciekać, gdzie pieprz rośnie. Siedziałam w mojej kajucie i nagle

usłyszałam pukanie do drzwi. Tak mnie to zaskoczyło, że prawie spadłam z łóżka. Nieśmiało podeszłam do drzwi i zapytałam:

- Kto tam?

- To ja, Jill, przyszedłam sprawdzić, jak się czujesz.

Otworzyłam drzwi i wpuściłam ją do środka.

- Już wyglądasz o wiele lepiej. Potrzebujesz czegoś?

Tak, potrzebuję ponton, żeby uciec z tego przeklętego statku! Zamiast powiedzieć to głośno, poprosiłam o wodę i coś na ból głowy. Jill poprosiła, żebym poszła za nią, to coś postara się znaleźć. Poszłam. Jak się okazało, do jej kajuty. Wskazała mi drzwi do łazienki i powiedziała, że za lustrem znajdę coś na ból głowy. Otworzyłam szafkę, w której znalazłam paracetamol i jeszcze jedną fiolkę przepisaną przez lekarza. Pacjentem na pewno nie była jednak Jill - nazwisko na fiołce było inne. Za to nazwa leku - dziwnie znajoma. Spojrzałam, czy Jill mnie nie widzi i szybko zrobiłam zdjęcie nazwy medykamentu. Sprawdzę to później. Chciałam już wyjść z łazienki, kiedy mój wzrok spoczął na kosmetyczce należącej najprawdopodobniej do Jill. W środku zauważyłam małą purpurową książeczkę. Wreszcie miałam szansę zobaczyć, z kim naprawdę się zadaję. Otworzyłam paszport na ostatniej stronie - twarz ta sama, ale dane zdecydowanie inne. Aparat w telefonie przydał się kolejny raz - szybko zrobiłam zdjęcie i odłożyłam paszport na miejsce. Pożegnałam się szybko z Jill i pobiegłam do swojej kajuty.

Otworzyłam laptopa i najpierw wpisałam nazwę leku, który znalazłam w łazience mojej koleżanki. Potwierdziły się moje przeczucia - to był mocny lek nasenny. Najprawdopodobniej to on znalazł się w moim drinku i mnie powalił. Zapewne Jill chciała mieć pewność, że nie przeszkodzę jej w nocnych interesach. Jednego nie przewidziała - lata bezsenności skutecznie uodporniły mnie na tego typu preparaty. Jill na pewno nie wiedziała, że potrzeba dużo większej dawki, żeby mnie skutecznie znokautować. Drugą rzeczą, jaką sprawdziłam, były dane z paszportu znalezione w jej kajucie. Po wpisaniu ich w przeglądarkę, wyskoczyły dziesiątki artykułów - we wszystkich przewijał się jeden nagłówek: „narkotykowa baronowa”. Jeśli dobrze rozumiałam, Jill - czy jak się tam nazywała - jest jedną z najbardziej poszukiwanych

przestępczyni. Przebrnęłam przez większość artykułów, każdy z nich był ozdobiony zdjęciem mojej przyjaciółki – nie mogło być mowy o pomyłce. Ręce zaczęły mi się trząść z nerwów – muszę czym prędzej stąd uciec!

Następnego dnia, nie mogąc się doczekać chwili, gdy zejść z łodzi, szybko się spakowałam i czekałam na dobiecie do brzegu. Nie chciałam niczego jeść, mimo że brzuch dawał znać, iż jest pusty; do picia brałam tylko butelkowaną wodę mineralną. Jill pytała, czy się dobrze czuję, ale zbyłam ją tym, że mam kaca. W myślach modliłam się, żeby tylko jakoś wypłatać się z tej całej sytuacji. Kiedy zeszliśmy na ląd, od razu obwieściłam Jill, że chcę skrócić mój urlop, bo pasuje mi jak najszybciej wrócić do pubu. Nawet za bardzo nie oponowała. Miałam nadzieję, że się nie domyśla, iż wiem, kim jest.

Wróciłam do rezydencji i zaczęłam pakowanie. Czemu za każdym razem, kiedy trafiam do raju na ziemi, okazuje się ono piekłem? Pakując obrzydliwie drogie ubrania do równie drogich walizek, łykałam łyżki upokorzenia. Nie nadaję się do świata pięknych i bogatych, nie nadaję się do szemranych interesów. Chcę wrócić do domu i zapomnieć o tym wszystkim!

Ostatni raz poszłam podziwiać wspaniały widok na ocean. Gdy siedziałam na plaży, wydawało mi się, że nawet fale szumią szyderczo. Jak mogłam sobie pomyśleć, że moje życie może się ot tak odmienić? Jestem przecież skazana na porażkę. Spojrzałam na zegarek – czas wracać do szarej rzeczywistości. W salonie stały już moje bagaże i czekała na mnie Jill.

– Dziękuję, że mnie odwiedziłaś. Nawet nie wiesz, jaką przyjemność mi sprawiłaś.

– To ja ci dziękuję za niezapomniane wrażenia... – Tu akurat nie skłamałam, nigdy nie zapomnę, że byłam świadkiem sprzedaży narkotyków na środku oceanu.

– Mam dla ciebie mały prezent. – Wręczyła mi paczkę. – Odpakuj, proszę!

Z ciekawością odpakowałam błyszczący papier. W środku był najnowszy model iPhone'a, nie wiedziałam nawet, że można go już kupić. Nie spytałam, ile kosztował.

- Och, Jill, to za wiele, nie mogę przyjąć tak kosztownego prezentu.
- Nie gadaj głupstw, dziękuję za wszystko.

Ochroniarz zabrał moje walizki i odbębniłam dokładnie tę samą trasę, co poprzednio, tylko w drugą stronę. W drodze myślałam, jak przewrotne jest życie: półtora tygodnia temu jechałam tędy dumna z siebie, z tego, gdzie jestem, teraz marzę tylko o powrocie do pubu i do Boba. Z ulgą wydostałam się z samochodu, załadowałam wszystkie bagaże na wózek i poszłam na odprawę. Oddałam bagaże i zanim skierowałam się na odprawę celną, weszłam do toalety. Chciałam się trochę odświeżyć przed lotem. Szukając kosmetyczki, w walizce zobaczyłam małą paczkę, której nijak nie kojarzyłam. Wzięłam ją do ręki i zauważyłam przypiętą od spodu kartkę, na której widniał napis:

„Ostatnia przysługa, wrzuć ją, proszę, do kosza w damskiej toalecie na lotnisku. Dzięki – Jill”.

Właśnie mnie olśniło: wykorzystała mnie kolejny raz! Co, jeśli bym nie zauważyła tej paczki i poszła na odprawę? Zrobiło mi się niedobrze, ręce mi się trzęsły. Co miałam zrobić? Przecież nie podejść do celnika i nie powiem, że ktoś podrzucił mi paczkę narkotyków. Wytarłam paczkę i trzymając przez bluzkę, wrzuciłam zawiniątko do śmietnika. Siedziałam w kabinie i na przemian śmiałam się i płakałam. Zastanawiałam się, co jeszcze, o czym nie wiem, jest w moich walizkach. A co z walizkami, które już oddałam przy odprawie? Przecież ich już teraz nie odzyskam. W panice wyrzuciłam wszystko z torby i walizki, przeglądałam każdą rzecz, szukając śladów ingerencji Jill. Jedyną rzeczą, która nie należała do mnie, była paczka z telefonem, otrzymana przed wyjazdem. Siedziałam na ziemi, dzierżąc w dłoniach prezent, i rzucałam przekleństwami pod adresem „narkotykowej baronowej”. Jak mogła mnie tak zdradzić?! Przecież nazywała siebie moją przyjaciółką! Kolejny raz w życiu zaufałam komuś, kto mnie po prostu wykorzystał.

Przez całe zamieszanie z bagażem, nie zauważyłam, jak późno się zrobiło. Do rzeczywistości przywołał mnie głos z głośników, wzywający moje nazwisko na odprawę. Nie ma opcji, że zostanę w tym przeklętym kraju, nie dałam się zapuszkować w domu, to tu też nie dam! Szybko pobierałam swoje rzeczy z powrotem do toreb, a wychodząc z toalety,

położyłam karton z telefonem na blacie umywalki. Nie chcę od niej niczego, ktoś inny będzie miał prezent. Z duszą na ramieniu szybko pobiegłam w kierunku odprawy celnej. Podczas przeglądania walizki prawie zemdlałam – musiałam nieciekawie wyglądać, bo celnik zapytała, czy dobrze się czuję. Nawet nie spojrzałam w kierunku strefy bezcłowej – wszystkie te świece i pachnidła wydały mi się teraz nic nie warte, tak jak moja przyjaźń z Jill.

Na miękkich nogach doszłam do samolotu, a cały lot przesiedziałam jak na szpilkach – marzyłam tylko o bezpiecznym powrocie do domu i o tym, żeby zapomnieć ten koszmar przeżyty w raju na ziemi. Gdy przed wejściem na lotnisko zobaczyłam Boba, prawie popłakałam się ze szczęścia. Odechciało mi się luksusu i pieniędzy. A szampana nie tknę do końca życia.

## Zaczynam od nowa

Życie przeszłością powoduje, że marnuję sobie przyszłość. Dlatego muszę zacząć od nowa. Nie wiem który już raz, ale może wreszcie to będzie ten ostatni, gdy się uda...

Pierwszą rzeczą w tym kierunku było pozbycie się telefonu, przez który kontaktowała się ze mną Jill. Kartę SIM zniszczyłam, a aparat oddałam Jimowi. Ucieszył się jak dziecko. Przepisałam też na niego i Elle samochód - im się na pewno bardziej przyda, a mnie robi się niedobrze, gdy tylko na niego patrzę. Kolejną rzecz stanowiło skasowanie mojego konta na portalu, w którym wysyłałam esemesy internetowym napaleńcom. Koniec z szemranymi i nielegalnymi interesami. Jak dalej będę prowadzić taki styl życia, to dostanę zawału przed trzydziestką. Przyjrzałam się sobie ostatnio krytycznie - siwe przerzedzone włosy, szara, zmęczona cera, wory pod oczami i nadwaga. Wszystkie moje życiowe niepowodzenia były widoczne na mojej twarzy i moim ciele.

Mimo wszystkich problemów i niepowodzeń, w przeszłości udało mi się odłożyć dość okazałą sumę pieniędzy. Nie mogłam ich trzymać na koncie, ale mimo wszystko wreszcie mogłam pozwolić sobie na docenienie samej siebie. Może najwyższy czas, żeby umeblować moje mieszkanie? Mieszkam w nim już od grubo ponad roku, a nadal śpiam na materacu rzuconym na podłogę. Uprosiłam Boba, żeby pożyczył mi vana, i pojechałam do najbliższej Ikei. Tam znalazłam wszystko, co było mi potrzebne, żeby zamienić moje mieszkanie w dom. Przyjechałam autem załadowanym prawie po dach. Po drodze do domu kupiłam dwie skrzynki piwa i pizzę. Pod pretekstem wyzerki zaprosiłam wszystkich do mojego mieszkania; w drzwiach każdy dostał piwo i śrubokręt. Meble same się nie złożą.



Jak już miałam sprawę mieszkania z głowy musiałam coś zrobić z sobą. Przez ostatnie lata nie miałam albo czasu, albo gotówki, żeby trochę o siebie zadbać. Stwierdziłam, że na początek trzeba odwiedzić fryzjera. Poszperałam trochę w internecie i na twórcę mojej przemiany wybrałam fryzjera o często powtarzającym się w komentarzach nazwisku. Umówiłam się na najbliższy termin i w wybranym dniu udałam się do salonu. Sam fryzjer, każący nazywać siebie artystą, krytycznie spojrział na mnie i cmokając z niezadowolenia, dotykał moich włosów. Wyraz twarzy miał taki, jakby kazano mu dotykać czegoś co najmniej mocno nieświeżego. Posadził mnie w fotelu, owinął peleryną i zaczął mieszać jakieś farby. Najdziwniejsze w tej całej sytuacji było to, że przede mną nie było lustro. A, i jeszcze dziwniejsze: pan artysta nawet nie zapytał mnie, co chcę mieć na głowie. Miałam nadzieję, że nie będzie aż tak źle - w tym kraju było trochę za ciepło, żeby nosić cały czas czapkę, nawet w lutym. Dwie godziny później usłyszałam, że dzieło jest zakończone. Zostałam zaprowadzona do osobnego pomieszczenia, w którym był tylko fotel i ogromne lustro. Pełna obaw podeszłam do lustra, z którego spoglądała na mnie... całkiem obca osoba. Z ciemnej brunetki stałam się prawie blondynką, ale nie tandetnie tlenioną. Wyglądałam, jakbym urodziła się z takim kolorem włosów. Samo cięcie też było perfekcyjne. Nie kryłam zachwyty. Ten facet naprawdę jest cudotwórcą! Z salonu wyszłam nie tylko z nowym kolorem włosów, zaopatrzyłam się też w okazały zapas szamponów i innych rzeczy do pielęgnacji mojej nowej fryzury. Końcowa kwota, którą zobaczyłam na wyświetlaczu kasy, przyprowadziła mnie o minizawał, ale stwierdziłam, że było warto. Wreszcie robię coś tylko dla siebie.

W domu Bob skwitował tylko, że wyglądam jak całkowicie nowa osoba. A o to mi właśnie chodziło, więc cel został osiągnięty. Pogodziłam się już z tym, że moje życie kręci się wokół pubu. Skończyłam już rozpaczliwe próby znalezienia nowego zajęcia - przecież każda z tych prób wpędzała mnie w jeszcze większe kłopoty. Mogę do końca życia być barmanką, ale przynajmniej będę jakoś wyglądać. Podczas mojego lotu na Kubę wreszcie zaopatrzyłam się we wszystkie kosmetyki, które polecała mi wizażystka Kim. Dzięki filmikom na YouTube wiedziałam, jak

ich użyć, żeby uzyskać podobny efekt. Coraz mniej przypominam siebie i coraz bardziej mi się to podoba!

Kolejne na mojej liście były kosmetyczka i zakupy. Co prawda dzięki Jill moja szafa była nieźle zaopatrzona, ale wreszcie chciałam kupić coś sama i za własne pieniądze. Jest jedna rzecz, która śniła mi się po nocach i zawsze była poza moim zasięgiem. Piękne buty na wysokim obcasie z czerwoną podeszwą. Zawsze usychałam z zazdrości, widząc te buty na nogach gwiazd, teraz wreszcie miałam szansę sobie takie sprawić. Wyglądałam już na bogatą osobę, więc miałam szansę, że w sklepie nie będą patrzeć na mnie z wyższością. Jak postanowiłam, tak zrobiłam. Z mojej skrytki u Boba wybrałam resztę moich oszczędności i w mój dzień wolny wybrałam się do City zakupić buty, których cena może przyprawić o zawał. Z całą pewnością siebie, na jaką było mnie stać, weszłam do butiku. Musiałam chyba robić niezłe wrażenie, bo od razu podbiegła do mnie pracownica, chętna do pomocy. Miałam jasno wyznaczony cel - czarne klasyczne szpilki. Zostałam usadzona na wygodnej kanapie, podano mi kieliszek szampana i czekałam na moją wymarzoną parę. W końcu się doczekałam - ubrałam je na stopy i poczułam się, jakby ktoś zrobił te buty tylko dla mnie. Obcas był niebotyczny, ale w ogóle tego nie odczuwałam - mogłabym w tych butach pobiec w maratonie. Spojrzałam na swoje odbicie. Nie przypomiinałam siebie, czułam się jak gwiazda filmowa. Nawet nie zapytałam o cenę, niedbale rzuciłam do dziewczyny, że biorę. Oddałam spory zwitek gotówki i zostałam właścicielką moich wymarzonych butów. Wychodziłam ze sklepu, trzymając karton jak największy skarb. Nie obchodziło mnie, ile kosztowały i jak długo muszę pracować, żeby tyle zarobić - spełniło się moje marzenie. Przy wyjściu zostałam potrącona przez mężczyznę, który wchodził do butiku - uderzył mnie w ramię i karton z butami wypadł mi z rąk. Oboje schyliliśmy się, żeby je pozbierać, i wtedy spojrzałam, kto był przyczyną tego zamieszania. Zerknęłam nieznajomemu w oczy i świat stanął w miejscu. Przestały się liczyć moje drogie buty porzucane po podłodze - mogłam tak stać i patrzeć w ten błękit do końca świata. Można się zakochać w czyichś oczach w dziesięć sekund? Chyba można, bo mogłabym oddać moje

nowe buty, byle ta chwila trwała wiecznie. Niestety, to nie film, mój nieznajomy z uroczym uśmiechem na ustach oddał mi mój karton i zaczął się tłumaczyć:

- Przepraszam najmocniej, zagapiłem się na telefon.

Żaden problem, daj mi tylko swój numer i jesteśmy kwita. Ale zamiast tego wyjąkałam tylko:

- Nic się przecież nie stało...

Mój romantyczny moment przerwał syk, najwyraźniej jego partnerki.

- Ileż możesz stać i gadać? Przyszliśmy tu chyba coś dla mnie kupić... - I ciągnąc go za rękaw, poszła w głąb sklepu.

A ja dalej stałam w drzwiach i czekałam nie wiadomo na co. Czułam się, jakbym była pijana - podwójne szczęście: mam moje wymarzone buty i chyba właśnie się zakochałam. Problem w tym, że nie miałam zielonego pojęcia, kim jest właściciel najpiękniejszych oczu na świecie. Nie zostało mi nic innego, jak wyjść ze sklepu, zresztą pracownice zaczęły mi się dziwnie przyglądać. Wyszłam przed sklep i zauważyłam, że na właściciela błękitnych oczu czeka kierowca z samochodem. Widziałam już takie i miałam świadomość, kto nimi jeździ: obrzydliwie bogaci. Obiecałam sobie, że będę się trzymać od takich ludzi z daleka, więc uczucia na bok.

Wróciłam do domu i postawiłam moje buty na szafce - wyglądały jak okaz z muzeum. Zastanowiłam się, dokąd też mogę w nich pójść... Ostatni raz na miasto wyszłam z Jill, a wszyscy dobrze pamiętamy, czym się to później skończyło. Wychodzi na to, że wydałam trzy wypłaty na buty, których nigdy nie ubiorę. Cóż, potraktuję to jako lokatę.

\*

Któregoś dnia przyjechałam z zaopatrzeniem i zobaczyłam Boba siedzącego przy jednym ze stolików z dystygowaną damą. Nie miałam zielonego pojęcia, kto to może być, nie za bardzo pasowała do naszego pubu. Mimo że prestiż naszego lokalu wzrósł do wysokiego poziomu, ona wyglądała, jakby szła raczej na herbatkę i ciasteczka do pałacu Buckingham, a nie do Boba. Może biedna zabłądziła?

- To dziewczyna, o której ci mówiłem - powiedział do tamtej kobiety Bob, kiwając na mnie ręką.

Miałam nadzieję, że nie powiedział jej za dużo.

- Dzień dobry, mam na imię Rose - wyciągnęła w moim kierunku rękę obwieszoną nieprawdopodobną liczbą złotych pierścieni.

Przez sekundę przeszło mi przez myśl, że oczekuje ode mnie ucałowania pierścienia. Na szczęście tylko ucisnęła moją dłoń. Przyjrzałam się jej teraz dokładnie. Co prawda czas zrobił swoje, ale byłam już prawie pewna, że Rose to kobieta ze zdjęcia, które znalazłam na samym początku mojej przyjaźni z Bobem. Czyli coś łączyło ją z Bobem i nie była to tylko przyjaźń.

- Rose jest moją przyjaciółką z dawnych lat. Wpadła się przywitać i wspomniała, że ma pewne problemy z pracownikami, mianowicie szuka osobistej asystentki. Pomyślałem, że może jakoś się dogadacie.

Nie powiem, Bob zaskoczył mnie tą propozycją, i za bardzo nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie chciałam urazić ani Boba, ani jego pięknej przyjaciółki, ale na ten moment wyleczyłam się z wszelkich potrzeb zmiany miejsca pracy. Co prawda Rose nie wyglądała jak dealer narkotyków, ale życie nauczyło mnie już, żeby nie oceniać nikogo tylko na podstawie jego wyglądu. Poza tym wiedziałam, że prędzej czy później wyjdzie na jaw mój udział w aferze w Opactwie.

- Mówiłem Rose, że poprzednio pracowałaś w Opactwie.

Czyli już wie. Zastanawiam się, co tu jeszcze w takim razie robi.

- Znam właścicieli Opactwa i wiem, ile mają za uszami. Przykro mi, że musiałaś przekonać się o tym osobiście - wtrąciła Rose, a ja, nie wiedząc, co odpowiedzieć, skinęłam tylko głową. - Szukam nowej asystentki, jeżeli jesteś zainteresowana, może odwiedzisz mnie jutro na lunchu i przedyskutujemy szczegóły? - kontynuowała Rose.

Nie miałam innego wyjścia. Zawsze była to jakaś okazja, żeby się wyrwać z domu. Może ubiorę moje nowe buty?

Umówiliśmy się na jutrzejszy dzień w jej domu. Już sam adres sugerował, że to nie byle jaka dzielnica.

Przed spotkaniem z Rose musiałam jednak wyjaśnić sobie z Bobem, dlaczego zaoferował mi tę posadę. Nie byłam pewna, co mam o tym

wszystkim myśleć. Tego samego dnia wieczorem poszłam z nim porozmawiać. Miałam uczucie, jakbym przeniosła się w czasie. Już kiedyś przerabiałam taką rozmowę z nim i niedługo potem wróciłam z podkulonym ogonem z powrotem do pubu. Nie chcę przechodzić przez coś takiego jeszcze raz. Każda porażka niszczy moje i tak kruche poczucie własnej wartości.

Bob jak zwykle okazał się oazą spokoju i wyrozumiałości – opowiedział mi pokrótce historię swoją i Rose. Okazało się, że dorastali w tej samej okolicy i mimo dzielących ich różnic w pochodzeniu zaprzyjaźnili się. Każde z nich poszło swoją drogą, ale nadal utrzymują przyjacielskie stosunki. Nie wspomniał, żeby łączyło ich coś więcej, a ja nie chciałam naciskać – dowiem się w swoim czasie.

- Z Rose będziesz bezpieczna. Znam ją od ponad czterdziestu lat, szczytem ekstrawagancji jest dla niej wejść samodzielnie do sklepu po kawę – zaśmiał się Bob.

- Tak, ale znowu będę się musiała wyprowadzić... A jak mi nie wyjdzie, to wrócę z płaczem do ciebie? Ile razy będziemy wałkować to samo? – próbowałam przekonać Boba.

- Decyzja należy do ciebie, ale uważam, że twoje miejsce nie jest za barem. Zawdzięczam ci wiele i dlatego chcę dla ciebie jak najlepiej. Po prostu idź na to spotkanie i zobaczysz sama. – Uciął tymi słowami dyskusję, a ja pocałowałam go w policzek na dobranoc i poszłam do siebie.

Całą noc śniły mi się koszmary – we śnie widziałam Rose, która przepytывała mnie, sprawdzając moją wiedzę i asertywność.

- Powiedz, Anno, którym znanym podróżnikiem chciałabyś zostać i dlaczego.

Na moją odpowiedź, że nie znam żadnego podróżnika, śmiała się szyderczo i od nowa zadawała to samo pytanie. Obudziłam się w środku nocy zlana potem – pierwszą rzeczą, jaką zrobiłam, było sprawdzenie na Wikipedii, kto zapisał się w historii jako odkrywca.

Rano, mimo zmęczenia, czułam ekscytację. Ubrałam się w najlepsze ubrania i przed samymi drzwiami zerknęłam na moje buty, nadal udające muzealny eksponat. Jeśli nie dzisiaj, to kiedy? Ale jednej rzeczy

nauczyłam się podczas mieszkania w tym wielkim mieście – nigdy nie ubieraj drogich butów na podróż komunikacją miejską. Dlatego moje piękne szpilki trafiły do torebki, a na nogi ubrałam wygodne baletki. Przejrzałam się ostatni raz w lustrze – wyglądałam jak milion dolarów. Powinnam jeszcze schudnąć parę kilo, ale do tego potrzebowałabym miliona dolarów. Nie wszystko na raz, na razie czas na spotkanie z tajemniczą Rose.

Po godzinie w pociągu i kilku minutach spaceru stanęłam przed okazałą bramą domu Rose. Szybko rozejrzałam się na boki, czy nikt nie patrzy, i przebrałam moje baletki na szpilki. Ostatnie psiknięcie perfumami i byłam gotowa na spotkanie z moją potencjalną pracodawczynią. Nacisnęłam dzwonek i po chwili usłyszałam dobiegający z intercomu głos:

- Witam pani Anno, lady Rose już na panią czeka – Ok, muszę przyznać, że Rose coraz bardziej mnie intryguje.

Droga do domu zajęła mi pięć minut. Prowadziła przez najpiękniejszy ogród, jaki widziałam; wszystko było dosłownie skąpane w kwiatach. Ktoś tu robi kawał dobrej roboty. Nie zdążyłam zadzwonić do drzwi wejściowych, kiedy otwarły się przede mną, a moim oczom ukazał się mężczyzna, najpewniej kamerdyner. Po okresie pracy w Opactwie nareszcie potrafiłam rozróżnić ubranie kamerdynera od garnituru pana domu.

- Dzień dobry, zaprowadzę panią do lady Rose.

Zdjęłam płaszcz, a gdy podawałam go kamerdynerowi, usłyszałam:

- Pozdrów Boba od Johna – i puścił mi oczko.

Czyżby Bob obsadził cały ten dom swoimi znajomymi? Rozejrzałam się ciekawie po pomieszczeniu, w którym się znalazłam. Mimo że z zewnątrz dom wyglądał bardzo klasycznie, w środku był wyjątkowo nowoczesny. Głównymi kolorami były biel i srebro, wszystkie meble i dodatki współgrały ze sobą. Choć jak dla mnie było trochę za dużo bieli – czułam się jak w szpitalu. Poszłam za Johnem w głąb domu, podeszliśmy pod drzwi, John otworzył je i wszedł do środka.

- Lady Rose, pani Anna już jest.

Nieśmiało weszłam za nim do środka.

- Witaj, Anno, napijesz się ze mną drinka?

Nie czekając na moją odpowiedź, John wyszedł z pokoju, udając się po szklaneczki z trunkiem.

- Proszę, usiądź, zaraz porozmawiamy, tylko skończę pisać maila. Nie za dobrze mi to idzie.

Usiadłam na srebrnym fotelu, mimo że nie wyglądał na bardzo wygodny. Ciekawie rozglądałam się naokoło. Nie wiedziałam, czy to zasługa Rose, czy wynajętego dekoratora, ale w tym pokoju też wszystko było idealnie dopasowane - srebrne zasłony pasowały do mebli; nawet ramy obrazów były srebrne. Nagle w jednej z ram zauważyłam dzieło, które kompletnie nie pasowało do reszty pokoju. W sumie nie wiem, czy powinnam to w ogóle nazywać dziełem - bardziej wyglądało jak bohomaz; albo jakby komuś wylało się coś na płótno. Wydawało się to coś podobne do obrazu, o którym czytałam ostatnio w gazecie - okrzykniętym najdroższym obrazem na świecie.

- Widzę, że zwróciłaś uwagę na ten obraz. Wiesz, kto jest autorem?

Szybko przeczesywałam pamięć, żeby przypomnieć sobie, o kim pisano w gazecie.

- Nie jestem pewna, przypomina obraz Pollocka, ale nigdy nie widziałam oryginału, więc ciężko mi powiedzieć.

- Właśnie patrzysz na oryginał, więc przyglądaj się do woli. Ale, nie powiem, zaskoczyłaś mnie.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Czyli znajduję się przy bohomazie wartym sto pięćdziesiąt milionów dolarów? Siedziałam sparaliżowana, pozerając wzrokiem obraz. Uznałam, że muszę zapamiętać każdy szczegół - zapewne to moja jedyna okazja, żeby być tak blisko takiego dzieła sztuki. Nawet jeżeli jest obrzydliwie brzydkie.

Moją fascynację obrazem przerwał John, wchodząc do pokoju z dwiema szklankami. Z daleka już wiedziałam, co jest w środku - whisky. Nienawidzę whisky, na sam jej zapach dostaję mdłości.

- John, czy otworzyłeś butelkę, o którą cię prosiłam?

- Tak, lady, Chivas Regal Ray Salutem. - Podał mi srebrną tacę ze szklanką.

Nie miałam wyboru, wychodzi na to, że Rose zafundowała mi dość

kosztowny trunek. Sama nazwa sugeruje, ile kosztował. Nie zostało mi nic innego, jak skorzystać z tej oferty. Wzięłam szklankę i nieśmiało powąchałam napój. Cóż, co prawda nie śmierdział tak jak whisky z supermarketu, ale już wiedziałam, że nie stanę się miłośniczką tego napoju.

- To co? Zdrowie! Za naszą współpracę - powiedziała radośnie Rose, wychylając zawartość szklanki.

- Tak, zdrowie lady Rose - odpowiedziałam niepewnie, moczając usta w whisky. Tak, cena nic nie zmieniła, po prostu bimber; drogi, ale w dalszym ciągu bimber. Czy to znaczy, że ja już tu pracuję? Czy każdy dzień mojej pracy będzie tak wyglądać? A czy możemy zamiast whisky pić coś innego?

- Anno, szukam asystentki; nie służącej i nie opiekunki. Szukam kogoś, kto ułatwi mi codzienne życie i trochę je ogarnie. Jestem dość roztrzepaną osobą - opowiadała moja przyszła szefowa.

Droga Rose, gorzej nie mogłaś trafić, zapewne w zawodach na najbardziej roztrzepaną osobę mogłabym cię pobić. Zostawiłam jednak tę wiedzę dla siebie. Dialog Rose został przerwany przez sygnał zwiastujący nadejście nowej wiadomości e-mail. Obserwowałam, jak Rose siłuje się z tabletem, próbując go odblokować.

- Może mogę ci pomóc? - zapytałam nieśmiało. Co jak co, ale technologiczne zabawki nigdy nie sprawiały mi trudności.

- Tak! Bierz to ode mnie, nie lubię technologii, wiem, że ułatwia życie, ale jej nie lubię. Mam nadzieję, że ty ją lubisz i będziesz takie rzeczy za mnie robić - powiedziała, rzucając w moim kierunku tablet.

Ledwo go złapałam, próbując przy tym nie wyłączyć zawartości mojej szklanki.

Spojrzałam szybko na wyświetlacz, odczytałam Rose treść wiadomości, moja przyszła szefowa szybko podyktowała mi odpowiedź. Dwie minuty i gotowe.

- Musisz zostać moją asystentką, potrafisz poskromić mój tablet, to z innymi rzeczami też dasz sobie radę - powiedziała ze śmiechem.

Cóż, chyba właśnie ponownie zostałam zatrudniona. Przedyskutowałam z Rose resztę szczegółów i ustaliłyśmy, że mogę



zacząć pracę od przyszłego poniedziałku - nie mogłam przecież zostawić Boba z dnia na dzień. Rose dała mi numer do firmy przeprowadzkowej, która zawsze organizowała jej przeprowadzki. Po raz pierwszy nie będę musiała przewozić moich rzeczy w czarnych worach. Chciałam już wyjść, kiedy Rose zapytała:

- Nie wypijaś swojego drinka. Nie smakował ci? - Spojrzała na mnie uważnie.

Nie chciałam zrobić jej przykrości, więc wzięłam szklanekę i jednym haustem opróżniłam kryształ. Prawie się udusiłam, ale ze łzami w oczach przełknęłam piekący napój.

- Nie, Rose, było pyszne! Do zobaczenia w poniedziałek.

Wyszłam z pokoju odprowadzona przez Johna. Nie zdążyłam jeszcze dojść do końca korytarza, kiedy drzwi się otworzyły i wychyliła się głowa Rose.

- A tak poza tym, masz świetne buty! - powiedziała i jej głowa zniknęła za drzwiami.

Cóż, właśnie Rose kupiła sobie moją przyjaźń.

- I co, dostałaś tę pracę? - zapytał mnie John.

- Wychodzi na to, że tak - odpowiedziałam.

- Cieszę się! Kolejna osoba do naszej rodziny - powiedział wyraźnie zadowolony.

Pożegnałam się z nim i poszłam w kierunku wyjścia. Kiedy już miałam wychodzić przez furtkę, zobaczyłam, że brama się otwiera i wjeżdża przez nią dziwnie znajomo wyglądający samochód. Przez chwilę nie potrafiłam przypomnieć sobie, skąd znam to auto, aż nagle mnie olśniło: To był mój tajemniczy mężczyzna, którego spotkałam w butik. Co on tu robi?! Czy jest spokrewniony z Rose?! Albo jest jej kochankiem?! Stałam i gapiłam się na samochód, który przejechał obok mnie i zniknął za zakrętem alejki prowadzącej do domu. Chciałam zawrócić, ale co miałam powiedzieć? „Cześć, poznaliśmy się w sklepie, widziałam cię na oczy przez dwie minuty, ale cię kocham”? No, bez przesady, skoro tutaj jest, to zna Rose, więc może dowiem się o nim od niej czegoś więcej. Nowa praca wydaje się coraz ciekawsza.

Wróciłam do domu i poszłam szukać Boba. Musiałam mu obwieścić,

że znowu go opuszczam. Znalazłam go w jego biurze – siedział za biurkiem ze szklanką whisky w ręce. Czy dzisiaj jest jakieś święto whisky, które przegapiłam?

- I co, dzieciaku? Zostawiasz mnie znowu – bardziej obwieścił, niż zapytał.

- No cóż, Bob, sam mnie w to wpakowałeś. Na pewno nie chcesz, żebym została?

- Dobrze ci robi wyrwanie się od nas. Ja dam sobie radę, jestem w dobrym towarzystwie. Napijesz się ze mną szklaneczkę? Dobry rocznik.

Nie chciałam robić przykrości Bobowi, pomimo że po pierwsze piłam już dzisiaj dużo lepszy rocznik, a po drugie na samą myśl robiło mi się słabo.

- Nalej mi, proszę, ale tylko troszkę.

Siedzieliśmy sobie w ciszy – on sączył swoje whisky, ja starałam się swojego nie wymiotować. Miałam dziwne przeczucie, że siedzimy tak razem po raz ostatni i jest to swego rodzaju pożegnanie.

W niedzielę do moich drzwi zapukała ekipa od przeprowadzek. Chciałam zaproponować, że przecież przeprowadzka była zaplanowana na poniedziałek. Ale, jak wytłumaczył mi pan z tej firmy, przyjechali oni po to, żeby mnie spakować. Jak to, obcy ludzie będą pakowali moje gacie?! Udało mi się wynegocjować możliwość samodzielnego spakowania kosmetyków i niektórych ubrań – swoje gacie pakuję sama. Następnego dnia wyszłam z domu z jedną tylko małą walizką – reszta chwilę wcześniej pojechała do mojego nowego domu. Specjalnie wybrałam dość wczesną godzinę – chciałam uniknąć kolejnego łzawego pożegnania ze wszystkimi; czekał więc na mnie tylko Bob.

- Kolejny raz cię żegnam. Mam nadzieję, że jak spotkamy się następnym razem, to znajdziesz już swoje szczęście – powiedział, przytulając mnie.

- Nawet nie wiesz, jak bym tego chciała. Dziękuję ci, Bob, za wszystko – próbowałam powstrzymać łzy, ale nie dałam rady.

- Nie dziękuj, dzieciaku, obydwójce uratowaliśmy sobie nawzajem tyłki, jesteśmy kwita – odpowiedział, niezdarnie ocierając łzy z moich

policzków. Jesteśmy z Bobem bardzo do siebie podobni, zupełnie nie umiemy zachować się w takich sytuacjach.

Bob powinien wiedzieć, że nawet jeżeli wybuduję mu pomnik ze szczerego złota, to nie będziemy kwita. Dał mi bowiem coś więcej niż tylko dach nad głową i pracę. Dzięki niemu pierwszy raz od wielu lat miałam poczucie bezpieczeństwa; stał się też moją rodziną. A to jest bezcenne.

# Brzydkie kaczątko nie zawsze zamienia się w łabędzia

Świat budził się do życia po zimie, a ja zaczynam od nowa kolejny raz – gubię się już w tym, ile razy pakowałam swoje rzeczy i ile z nich po drodze zgubiłam. Czuję się, jakbym miała sto lat; jedyne, czego pragnę, to własne miejsce na ziemi, do którego będę pasować. Kiedy zbliżałam się do mojego nowego domu, myśl, że właśnie to miejsce zostawiam za sobą, z każdą minutą coraz bardziej mi doskwierała.

Ale perspektywa ponownego zamieszkania w jednej z najbardziej prestiżowych lokalizacji w mieście, była nęcąca. No i Rose – odrobiłam zadanie domowe i przeczytałam w internecie wszystko, co tylko znalazłam na jej temat. Moja nowa szefowa, mimo że arystokratka, nie była napuszoną damulką – jest znana ze swojego rozrywkowego trybu życia, długiej listy eksmeżów i wielkiej hojności. Jak się dowiedziałam, właśnie zakończyła kolejny rozwód, a dom, w którym mam z nią mieszkać, otrzymała od byłego małżonka na otarcie łez, wraz z dodatkowymi milionami na koncie. Ciekawe, czy ma własną wyspę...

Podjechaliśmy pod dom. Świat tonął w strugach deszczu. Na szczęście nie musiałam targać żadnego bagażu, bo moją małą walizeczkę wniósł kierowca.

W drzwiach czekał już na mnie John. Przywitał mnie bardzo serdecznie i poprosił, bym poczekała w jadalni na Rose, bo zaraz będą podawać śniadanie. Jadalnia nie różniła się od reszty domu, poza tym że była granatowo-srebrna. Usiadłam na jednym z pluszowych krzeseł i czekałam na Lady R. Moją uwagę przykuł obraz wiszący nad kominkiem – nie był to kolejny bohomaz jak ten, który widziałam poprzednio. Wprawdzie nie był to też klasyczny obraz, ale miał przynajmniej jakiś sens. Chciałam mu się bliżej przyjrzeć, wstałam więc

i do niego podeszłam, próbując rozszyfrować podpis umieszczony w rogu, ale za każdym razem wychodziło mi „Picasso”. Przecież niemożliwe, żeby Picasso wisiał, ot tak sobie, w jadalni. Zapewne jakaś kopia... Wydaje mi się, że wszystkie oryginały wiszą sobie gdzieś w pilnie strzeżonych muzeach. Tak dumającą nad tym podpisem znalazła mnie Rose.

- Witaj, Anno, podoba ci się mój Picasso? To prezent od mojego pierwszego męża, zawsze będę miała do niego sentyment - powiedziała, patrząc na płótno.

Tak więc to oryginał! Czułam się, jakbym miała zamieszkać w galerii sztuki. Jeśli chcę dotrzymać Rose kroku, to muszę podszkolić się z historii malarstwa; nie chcę wyjść na ignorantkę...

- Dzień dobry, lady Rose, miło cię widzieć. Twoja kolekcja obrazów naprawdę zapiera dech w piersi, nigdy nie myślałam, że zobaczę Picassa na żywo bez szyby ochronnej - próbowałam trochę jej się przypodobać.

- Nie trzeba nazywać mnie lady, to spadek po moim pierwszym mężu... Dlatego mam do niego taki sentyment: mam po nim tytuł i wspaniałe obrazy - rzuciła nonszalancko.

Podobało mi się jej poczucie humoru. Mimo że mogła mnie kupić z małej kieszeni, traktowała jak równą sobie. Mam nadzieję, że się to nie zmieni.

- Anno, musimy ogarnąć chaos, jaki ostatnio króluje w moim życiu. Nie wiem, co gdzie mam, gubię wszystko. Uwierzysz, że to już mój trzeci telefon w tym tygodniu, który gdzieś zapodziałam? - Mówiąc to, wymachiwała mi przed nosem najnowszym smartfonem.

Ja po moim uniesieniu się dumą i wyrzuceniu telefonu, który dostałam od Jill, musiałam zadowolić się jednym ze starszych modeli. Rose chyba czytała mi w myślach, bo z komody obok wyciągnęła taki sam model jak jej nowy telefon i po chwili wylądował on w moich rękach.

- Będiesz go potrzebować, żeby się ze mną komunikować. Musisz mi przypominać o moich spotkaniach, a najlepiej mnie na nie wozić. Zdarza mi się pić szampana do śniadania, a poza tym nie potrafię się skupić na prowadzeniu samochodu. Jak ostatnio chciałam pojechać na spacer, staranowałam dwa inne auta... Załatw, proszę, sprawę z polisą.

Lista zadań była bardzo długa, dobrze że mój nowy telefon jest wyposażony w dyktafon, bo będę musiała chyba zacząć ją nagrywać. Liczyłam, że będę mogła wypytać Rose o mojego tajemniczego mężczyznę, niestety nie udało mi się wcisnąć w jej monolog nawet jednego zdania. Nie zostało mi nic innego jak tylko czekać na jego kolejną wizytę.

Na koniec musiałam przygotować Rose drinka i mogłam zająć się organizacją jej dnia. Zalogowałam się do wspólnego kalendarza, ale jedynym, co tam znalazłam, był chaos. Nie dostrzegłam nic istotnego, poza otwarciem nowego butiku - to wydarzenie oznaczyłam jako istotne. Udało mi się w miarę uporządkować bałagan w terminarzu, dopisałam się do polisy i mogłyśmy ruszać na pierwsze spotkanie.

Łatwo powiedzieć. Co prawda dużo podróżowałam samochodami, ale samochód, do którego dostałam kluczyki, do malutkich zdecydowanie nie należał. Wspinając się do ogromnego range rovera, czułam się, jakbym miała prowadzić czołg. Dobrze że Rose posiada bardzo dobrą polisę, bo może się przydać. Podjechałam pod salon kosmetyczny. Chciałam wysadzić Rose i pojechać z powrotem do domu, bo z tego, co opowiadała, mogło jej zejść kilka godzin, ale stanowczo zaprotestowała:

- Idziesz ze mną! Chyba sobie nie wyobrażasz, że będę tam siedzieć sama? - powiedziała z wyrzutem. - Tak, właśnie tak to sobie wyobrażałam.

W tej sytuacji nie pozostało mi nic innego, jak zaparkować auto i pójść za nią. Salon kosmetyczny okazał się luksusowym spa. Kolejne zaskoczenie spotkało mnie, kiedy chciałam rozgościć się na kanapie dla oczekujących, tymczasem zostałam pociągnięta za rękę z kwestią wypowiedzianą tonem nieznoszącym sprzeciwu:

- Idziesz ze mną, mamy dużo do przedyskutowania, więc spożytkujemy ten czas w dobry sposób. Poza tym musimy zaplanować bal! - opowiadała z przejęciem.

Boże, co ona bredzi?! Wypiła przecież tylko jeden kieliszek szampana. Do Sylwestra zostało jeszcze trochę czasu, więc co to za bal ona chce urządzać?

Usiadłam na wygodnym fotelu, nogi włożyłam do baseniku z ciepłą

wodą, do ręki dostałam szampana, za którego musiałam jednak podziękować. Na trzeźwo mam problem z prowadzeniem tego auta, co by to było, gdybym się napiła. Kiedy już wszystkie przygotowujące nas rytuały zakończyły się, mogłam w spokoju zapytać, o co chodzi z tym balem.

- No jak to? Organizujemy bal maskowy! - powiedziała tak, jakby chodziło o wycieczkę do Tesco.

- Hmm, no super, ale... z jakiej okazji? - nie kryłam zainteresowania. Co prawda widziałam już kilka imprez pięknych i bogatych, ale patrząc na rozmach, z jakim Rose wszystko organizuje, ten bal może pobić wszystkie inne.

- Z okazji mojego rozwodu! Za każdym razem, kiedy się rozwodzę, organizuję bal maskowy. Wydaje mi się, że z tego powodu za każdym razem, kiedy biorę ślub, wszyscy kibicują, żebym się rozwiodła - mówiła beztrąsko. - Moje bale maskowe są sławne na całe miasto! Musimy wymyślić motyw przewodni, no i - co najważniejsze - za co się przebierzemy.

- Jak to... my?

Chyba nie uważa, że jestem w stanie zorganizować bal?! Ledwo opanowuję własne życie, a i to czasem marnie mi wychodzi.

- Nie wyobrażasz sobie chyba, że przyjdiesz na taki bal w normalnych ubraniach?! Oczywiście, że się przebieramy! Nie wiesz nawet, jakie to zabawne - powiedziała, śmiejąc się.

No tak, moja nowa praca wydaje się coraz ciekawsza...

- Jest tylko jedna sprawa: musimy cię odchudzić - rzuciła kolejnym newsem.

Cóż, ona mnie jeszcze nie zna i nie wie, że jak ognia unikam diet, ćwiczeń i wszelkiej aktywności fizycznej. Wiem, że obwód mojej talii jest podobny do obwodu księżyca; przeszkadza mi to, ale nic z tym nie robię. Tak, moje lenistwo przekracza wszelkie granice. Jeżeli ona liczy, że uda się jej tak łatwo zmusić mnie do odchudzania, to jest w błędzie. Zatrzymałam jednak te informacje dla siebie, przytaknęłam tylko i nadal rozkoszowałam się masażem stóp.

## Piękna czy bestia?

Rose jak obiecała, tak zrobiła: następnego dnia przedstawiła mi mój plan żywieniowy na najbliższe tygodnie. Szybko przebiegłam wzrokiem po kartce – wychodziło na to, że głównym składnikiem mojej diety będzie kurz zlizywany z mebli. Pytając na nią spojrzałam... Jak mam żyć i pracować, skoro prawie nie będę jeść?

– Rób tak jak ja: jeśli czujesz głód, pij szampana albo whisky. To właśnie takiej diecie zawdzięczam młody wygląd – stwierdziła.

Tak, i zapewne marskość wątroby też.

Stwierdziłam, że oficjalnie zgodzę się na dietę, a będę jeść na mieście albo podjadać, kiedy ona będzie zajęta. Rose była chyba jednak sprytniejsza, niż mi się wydawało, zaczęła bowiem planować kolejne dni tak, że byliśmy razem prawie przez cały czas. Po zapoznaniu się z grafiką stwierdziłam, że chyba zostanie mi głodowanie w dzień i podjadanie w nocy – liczyłam, że nie planuje stać na straży moich drzwi. Jedynym plusem tej sytuacji był fakt, że dni miałam napięte do granic możliwości. Nigdy nie organizowałam żadnego balu, ale teraz już wiedziałam, że to ciężka praca. Dostałam długą listę rzeczy, które muszą zostać zarezerwowane i dograne, żeby bal maskowy spełnił wysokie standardy mojej pracodawczyni. Według mojej opinii miałam na to zdecydowanie za mało czasu, więc zostanie mi mało czasu na myśleniu o jedzeniu. Tak, jedzenie, chyba jestem od niego uzależniona. Pierwszego dnia w okolicach południa zaczęło mi burczeć w brzuchu; starałam się to zignorować i pić dużo wody. Jedynym efektem było jeszcze większe burczenie i bieganie co piętnaście minut do toalety. Wożąc Rose po mieście, marzyłam, żeby wskoczyć do którejś z knajpek i pożreć wszystko, co wdzięcznie prezentowało się na witrynie. Niestety strażnik mojej wagi był nieugięty, na wszelkie próby mojego



zagadywania o lunch słyszałam pogardliwe prychnięcie.

Na kolejną już prośbę o przerwę na coś do zjedzenia, Rose podsunęła mi pierśiówkę.

- Napij się, od razu przejdzie ci apetyt.

Podejrzewałam, że w środku raczej nie ma zupy.

- Rose, nie uważasz, że prowadząc samochód, nie powinnam raczyć się tym, co trzymasz w tej pierśiówce? - zapytałam moją najwyraźniej niezrównoważoną szefową.

- Nie był to dla mnie nigdy problem - odpowiedziała, wzruszając ramionami.

Tak, Rose, dlatego, jak się dowiedziałam z kuchennych plotek, zabrano ci prawo jazdy i odzyskanie go będzie cię dużo kosztowało.

Podczas oczekiwania na Rose w jednym z butików, udało mi się wymknąć ze sklepu i pobiec do pobliskiego sklepiku. Szłam w kierunku jakichś chipsów albo innej szybkiej przekąski, kiedy za swoimi plecami usłyszałam ostry jak brzytwa głos:

- Chyba już mam to, czego szukasz, chodź do kasy - powiedział mój prześladowca.

Odwróciłam się i zobaczyłam Rose trzymającą w ręce... jabłko. Wyglądała jak zła królowa z bajki o królewnie Śnieżce. Ale w sumie jabłko i tak jest lepsze niż kurz z podłogi. Lepsze to niż nic. Prawie je połknęłam - nigdy jeszcze jabłko nie smakowało mi tak bardzo.

Kiedy wieczorem dojechałyśmy do domu, umierałam z głodu. Marzyłam o wysłaniu Rose do łóżka, zakradnięciu się do lodówki i wyczyszczeniu jej zawartości. Niestety, moje plany pokrzyżował gość czekający na mnie w salonie.

- Anno, to twój nowy trener personalny, od dzisiaj będzie z tobą ćwiczyć. Oddaję cię w jego ręce - zakończyła i zniknęła za drzwiami.

Spojrzałam podejrzliwie na siedzącego na kanapie mężczyznę. Wyglądał groteskowo w tych obcisłych ciuszkach, z wystylizowaną fryzurą i absurdalnie wielkimi mięśniami.

- Cześć, jestem Tom, od dzisiaj jesteśmy drużyną. Przebierz się, proszę, i zaczniemy trening.

- Co?! Przykro mi, ale nie wiedziałam, że dzisiaj mam z tobą

ćwiczyć, nie mam żadnych ubrań ani butów. – Nie było to kłamstwem, łatwiej znaleźć w barze wegetariańskim mięso niż w mojej szafie ubrania do ćwiczeń.

– To żaden problem, mam dla ciebie wszystko przygotowane. – To mówiąc, podał mi torbę z logo znanego projektanta.

Spojrzałam do środka. Tak, jak podejrzewałam, nie było tam pięknych szpilek, tylko kolorowe szmatki, w których zapewne będę wyglądać jak parowa. Spojrzałam na mojego trenera. Nie miałam szans, żeby uciec, a zapewne pod drzwiami czekała Rose. Westchnęłam nad swoim losem i poszłam do siebie się przebrać. Może znajdę jakąś zagubioną paczkę chipsów.

Niestety nie znalazłam.

Zrezygnowana wróciłam do Toma. Zauważyłam, że nasze ubrania pasują do siebie kolorystycznie – wyglądałam przy nim jak jego upośledzony bliźniak. Wyszliśmy z domu i chciałam iść w kierunku samochodu, kiedy Tom obwieścił:

– Nie jedziemy samochodem, cały dzień kisisz się w aucie, więc teraz przebiegniemy ten kawałek, wiesz, gdzie jest siłownia, prawda?

– Jaki kawałek? To przecież prawie pół miasta! Byłam tam raz z Rose i jechaliśmy tak długo, że zdążyła się upić po drodze.

– To dlatego, że miasto jest wiecznie zakorkowane. Nam zajmie to góra piętnaście minut.

Mam biec przez piętnaście minut?! Czy on do reszty postradał rozum?! Nie pamiętam, kiedy ostatni raz gdzieś biegłam, nie pamiętam, czy w ogóle kiedykolwiek biegałam. Nawet w szkole zawsze miałam zwolnienie z zajęć ruchowych. Niechętnie ruszyłam za Tomem. Po pięciu minutach truchtu zaczęłam tracić oddech, po kolejnych dwóch poczułam dziwny ból w klatce piersiowej, a po paru kolejnych urwał mi się film.

Ocknęłam się i pierwszym, co zobaczyłam, była przerażona twarz Toma oraz facjata ratownika medycznego. Powoli usiadłam, chciałam zapytać, co się stało, ale uniemożliwiała mi to maska tlenowa, którą miałam na twarzy.

– Proszę nie ściągać maski z twarzy – uprzedził mnie ratownik.

Tom zauważył chyba moje przerażone spojrzenie, bo zaczął

tłumaczyć:

- Zemdlałaś. Nie wiem, czy przez wysiłek, czy przez to, że nic nie jadłaś przez cały dzień... - Wyglądał na szczerze przejętego.

Cóż, uprzedzałam, że mam alergię na ćwiczenia i dietę.

Ratownik chciał mnie zabrać na obserwację do szpitala, ale broniłam się tak gwałtownie, że odpuścił. Wierzę, że na miejsce czeka bardziej potrzebujący niż ofiara diety Rose. Do domu zawiózł mnie Tom, który całą drogę przeproszał, że naraził mnie na niebezpieczeństwo. Nie martw się, Tom, wykonywałeś tylko polecenia szefowej. Z ulgą wysiadłam z samochodu - od ilości słodzenia ze strony Toma mogłabym dostać próchnicy.

W domu znalazłam Rose leżącą na kanapie. Próbowałam ją obudzić, żeby zaprowadzić do łóżka, ale niestety spała twardo. Pusta butelka stojąca obok kanapy wyjaśniła, skąd u Rose taki twardy sen. Nie pozostało mi nic innego, jak przynieść koc i postawić koło kanapy butelkę wody. Obolała powlokłam się do siebie. Przez całą noc śniło mi się, że chciałam uciec przed Rose, a stałam ciągle w miejscu. W środku nocy obudził mnie dźwięk zbitego szkła. W pierwszym momencie myślałam, że ktoś włamuje się do domu i chciałam dzwonić na policję. Usłyszałam jednak jakiś jęk dochodzący z holu. Wzięłam do ręki najcięższy kryształowy wazon, jaki ozdabiał mój pokój, i tak uzbrojona poszłam sprawdzić, co się dzieje. Wychyliłam głowę zza drzwi i zamiast złodzieja zobaczyłam leżącą na podłodze Rose - widać grawitacja ją pokonała. Próbowała z nią walczyć, ale jedynym skutkiem były porozbijane wazony i porozrzucone świeczniki. Odłożyłam mój wazon w bezpieczne miejsce - jak tak dalej pójdzie, tylko on zostanie nam w domu - i poszłam ratować moją szefową. Niestety, nogi odmówiły jej posłuszeństwa, musiałam więc złapać ją pod rękę i ciągnąć w kierunku jej sypialni jak worek. Na szczęście jej dieta przynosiła świetne efekty - ważyła tyle, co nic. Sapiąc, ułożyłam ją w łóżku, przezornie pozabierałam wszystkie delikatne rzeczy, które mogła postrącać, i poszłam do siebie. Mam nadzieję, że dzisiaj na tej jednej wycieczce sprawa się zakończy. Jedno wiem na pewno: lady Rose ma problem z alkoholem.

Rano obudziło mnie uczucie, że ktoś na mnie patrzy. Otworzyłam oczy i zobaczyłam stojącą nade mną Rose.

- Co zrobiłaś biednemu Tomowi, że zrezygnował po jednym dniu?

Byłam jeszcze lekko nieprzytomna, więc za bardzo nie wiedziałam, co mam jej powiedzieć. Nagle mnie olśniło, że wyrzuty sumienia okazały się za wielkie i Tom zrezygnował z bycia moim prywatnym trenerem. Zrobiło mi się go trochę żal, nie jego wina, że mam kondycję jak dziewięćdziesięciolatek.

- Rose, miałam wczoraj mały wypadek i Tom chyba trochę za bardzo się tym przejął - próbowałam wyjaśnić, co się stało. - Opowiedziałabym ci wczoraj, ale jak wróciłam, spałaś już. - Doceń, moja droga, że użyłam słowa „spałaś”, a nie narąbałaś się jak stodoła.

- To tylko wymówki! Nie myśl sobie, że ci odpuszczę! Zbieraj się szybko, mamy dzisiaj dużo roboty!

Kolejny dzień spędziłam na dobieraniu serwetek dopasowanych kolorystycznie do dekoracji. Na szczęście ostatnim punktem popołudnia był wybór przystawek. Kiedy Rose wybierała kolor lukru, udało mi się porwać kilka przysmaków. Nigdy nie myślałam, że moim największym problemem będzie żywieniowe gestapo nad głową.

Odwiozłam moją pracodawczynię do domu, ale zamiast iść wreszcie coś zjeść, przebrałam się w moje sportowe ubrania i poszłam w jedyne miejsce, w którym mogłam znaleźć mojego byłego trenera - na siłownię. W sumie „poszłam” to złe słowo - pojechałam autem. Nie pomyliłam się, znalazłam go obok jakiegoś urządzenia, którego na pewno używała hiszpańska Inkwizycja. Kiedy mnie zobaczył, uśmiechnął się niewyraźnie. Podeszłam do niego i spytałam, czy mógłby zrobić sobie małą przerwę na rozmowę ze mną.

- Naprawdę cię przepraszam za wczoraj - zaczął od razu.

- W porządku, nic się nie stało, będziemy mieć co wspominać - chciałam rozładować sytuację. - Przykro mi, że zrezygnowałaś. Chciałabym cię poprosić, żebyś został moim trenerem, tylko na trochę innych zasadach, wystarczy mi jeden kapo w domu.

Obydwoje się roześmialiśmy.

- Tak, Rose potrafi dać w kość, gdy sobie coś umyśli. Wiesz, że jak

mnie złapała na tym, że palę, kazała mi wypalić paczkę na raz? Liczyła, że się struję i nigdy więcej nie zapalę.

- Rose zdecydowanie powinna mieć dzieci, żeby miała kogo dręczyć... Rzuciłeś palenie?

- Po tym, co kazała mi zrobić, palę jeszcze więcej.

Cóż, chyba właśnie mam nowego kolegę.

Ustaliłam z Tomem, jak będziemy się spotykać i co robić. Tak dobrze się nam gadało, że poszłam z nim z powrotem na siłownię i trochę poudawałam, że wymachuję jakimś ciężarkiem.

Jak się zmieniać, to na całego.

Na drugi dzień od razu po otwarciu oczu pożałowałam moich wczorajszych decyzji. Nie mogłam nawet ruszyć ręką. Z łóżka zwlokłam się z wielkim problemem. Cały dzień chodziłam na drewnianych nogach, co nie było łatwe, biorąc pod uwagę tempo, jakie narzucała Rose.

\*

Dni zamieniały się w miesiące, nasze wielkie przyjęcie maskowe zbliżało się wielkimi krokami. Parę dni przed balem moja szefowa obwieściła, że jedziemy na przymiarki sukien balowych. Z obawą jechałam na to spotkanie, czułam, że przygotowała dla mnie kiecki w rozmiarze zero, i nie spocznie, póki mnie w nią nie wciśnie. Przymiarkę miałyśmy w jednym z bardziej snobistycznych butików. Standardowo przywitano nas szampanem - wydaje mi się, że wszyscy bogaci są wiecznie na haju. Rozłożyłam się na wygodnej kanapie i czekałam na Rose. W końcu drzwi do przymierzalni otworzyły się i wyszła. A raczej wyszła jej suknia, która była wykonana z takim rozmachem, na jaki tylko moja szefowa mogła sobie pozwolić. Wyglądała obłędnie, suknia bowiem opinała jej ciało, uwypuklając każdą krągłość. Całość zwieńczał ogromny kołnierz z piór. Odebrało mi mowę, widok był naprawdę wspaniały.

- Widzisz, warto się głodzić, żeby potem zrobić na kimś takie wrażenie!

Nie, Rose, nadal uważam że nie warto, choć rzeczywiście wyglądasz super.

- Teraz pora na ciebie. Wybrałam kilka modeli, przymierzysz

i zdecydujemy się na coś razem.

Tak, o ile uda mi się wcisnąć w nią chociaż nogę.

Gdy tylko weszłam do przymierzalni, zajęły się mną dwie krawcowe. Mimo że nigdy nie brały moich wymiarów, sukienka, którą przymierzyłam jako pierwszą, leżała prawie idealnie. Spojrzałam na siebie w lustrze – moja dieta i ćwiczenia dały chyba efekt, bo wyglądałam całkiem znośnie. Sukienka była wykonana z koronki, która w newralgicznych miejscach była tak gęsta, że nic nie było przez nią widać. Była niezwykle opinająca, ale na dole była ślicznie rozkloszowana – czułam się jak Kopciuszek mający iść na bal. Nie chcę przymierzać żadnej innej kiecki, chcę tą! Wyszłam pokazać się Rose. Spodziewałam się jakichś złośliwości, bo jeśli ona przymierzyłaby tę sukienkę, to owinęłaby się nią dwa razy.

– Wyglądasz pięknie! Wiedziałam, że będzie leżała idealnie.

– Skąd wiedziałaś, jaki rozmiar powinnam mieć?

– Mam dobre oko – zaśmiała się.

Nie ściemniaj, jesteś ślepa jak kura i nie chcesz nosić okularów – chyba za dobrze ją już znałam, żeby wierzyć w takie kity.

– No ok, przyszłam kiedyś w nocy do twojego pokoju i zmierzyłam cię.

Żałuję, że zapytałam. I muszę zacząć zamykać drzwi na klucz.

Suknie wybrane, wszystkie inne rzeczy związane z balem również dopięte. Pozostało tylko odliczać dni do soboty.

## Kopciuszek wraca na salony

Wreszcie nadszedł długo oczekiwany dzień. Już od paru dni w domu czyniono przygotowania, a ja spędzałam całe dni z Rose u kosmetyczek i fryzjerek. W wielkim dniu zostałam zerwana z łóżka o piątej rano. Musiałam pozałatwiać jeszcze kilka rzeczy, a zaraz po dwunastej byłam umówiona z wizażystką i fryzjerką. Jak to brzmi – jeszcze niedawno za szczyt luksusu uznawałam kupienie sobie lepszej odżywki do włosów, teraz czekałam na własną fryzjerkę. Nie wiedziałam, co planuje wyczarować na mojej głowie, znowu zdałam się na Rose – z sukienką trafiła w dziesiątkę, miałam nadzieję, że podobnie będzie z resztą mojego wyglądu. Cierpliwie znosiłam czesanie, szarpanie, dopinanie kilogramów sztucznych włosów do mojej głowy. Kiedy doszły do tego sztuczne rzęsy, czułam się najbardziej włochatym człowiekiem na świecie. Gdybym wiedziała, że posiadanie dużej ilości włosów jest takie istotne, to odpuściłabym sobie ostatnią sesję depilacji woskiem.

W końcu, po kilku godzinach, miałam na głowie piękne fale, całkiem inną twarz i fantastyczne paznokcie. Zostało mi tylko wcisnąć się w moją suknię. Przez ostatnie parę dni byłam tak podekscytowana całą tą imprezą, że praktycznie nic nie jadłam. Z pomocą krawcowej ubrałam moją suknię i... Mówię to chyba pierwszy raz w życiu: była za duża! Niewiele, ale jednak było widać, że trochę odstaje. Szczególnie w newralgicznych miejscach na gorsecie. Niestety, wraz ze spadkiem wagi znacznie skurczył się też mój biust. Chciało mi się płakać, teraz będę na pewno myśleć o tym przez cały wieczór. W tym krytycznym momencie weszła do pokoju Rose.

- Co taka smutna mina? Co się stało?

Nie musiałam nic mówić, pokazałam tylko mój na pół pusty gorset.

- Nie martw się, zaraz coś na to poradzimy.

Zniknęła za drzwiami i po pięciu minutach wróciła, trzymając w ręce jakieś pudełko.

- Masz, ubierz i zawsze trzymaj przy sobie.

Zaciekawiona, otwierałam pudełko. W środku znajdował się silikonowy stanik, który wyglądał w sumie bardziej jak sztuczne cycki. Nie za bardzo byłam przekonana do tego pomysłu. Nie chcę się schylić i zobaczyć, jak cycki wypadają mi na stół. Rose jednak stała nadal przede mną z pytającym spojrzeniem. Wzięłam galaretowaty stanik i włożyłam do gorsetu. O dziwo, efekt był całkiem niezły, gorset od razu się wypełnił, a stanik był całkiem przyjemny w dotyku. Teraz muszę tylko uważać, żeby nie zgubić go gdzieś po drodze.

Kiedy sprawa biustu, a raczej jego braku, została rozwiązana, zostało mi tylko ubrać moje wspaniałe buty, które były kropką nad i. Czułam się jak księżniczka - kopciuszek wreszcie zmienił się w księżniczkę. Chciałam tańczyć ze szczęścia. Poszłam do Rose zobaczyć, jak jej idą przygotowania. Znalazłam ją w jej sypialni. Mimo że był to bal z okazji rozwodu, zdecydowanie zamierzała znaleźć na nim nowego męża. Miała na to spore szanse, bo prezentowała się jak milion dolarów.

- Chodź, mam coś dla Ciebie.

Poszłam za nią do jej garderoby. Tam, na środku, leżał wielki karton.

- Rozpakuj.

Z ciekawością otwierałam pudełko. Kiedy przedarłam się już przez kilka warstw papieru, znalazłam na dnie maskę balową. Wygląda, jakby była zrobiona specjalnie dla mnie; nawet koronka, z której została uszyta, była taka sama jak na mojej sukni. Rose założyła mi maskę i zawiązała atlasowa tasiemkę z tyłu mojej głowy. Spojrzałam na siebie w lustrze - w życiu bym siebie nie poznała. Maską Rose również była dopasowana do jej sukni, wykonano ją więc z piór. Wyglądała bosko... nie tak jak ja, ale w dalszym ciągu.

- Skoro już wyglądamy jak gwiazdy, warto iść zobaczyć, co z naszym przyjęciem. Z tego, co słyszałam, goście już przychodzą. Pamiętaj, dzisiaj nie pracujesz dla mnie, więc baw się dobrze.

Uścisnęłam ją i poszliśmy do największej sali, która była już pełna



pań w pięknych sukniach i panów w smokingach. Między nimi lawirowali kelnerzy z tacami pełnymi kieliszków. Od razu jeden zgarnęłam, ale zanim się napiłam, poczułam burczenie w brzuchu. Może warto wreszcie spróbować tych wszystkich przekąsek?

Stałam w zacienionym kącie sali i obserwowałam wirujące na parkiecie pary. Zespół spisywał się naprawdę świetnie, grali na przemian klasykę z nowymi przebojami. Co chwila migłała mi przed oczami Rose, za każdym razem z innym partnerem. Chyba się całkiem dobrze bawi na swoim rozwodowym przyjęciu. Poszłam do ogrodu zobaczyć, jak tam wszystko wygląda – robił równie dobre wrażenie jak reszta domu. Wydawało mi się, że wszędzie są jacyś ludzie. Byłam tak podniecona, że nawet nie tknęłam mojego szampana, a że napój zdążył się już wygazować, oddałam kieliszek przechodzącemu kelnerowi. Chciałam zobaczyć jeszcze jedno miejsce: taras na dachu domu. Lubiłam tam przebywać na co dzień, dzisiaj na pewno wygląda bajkowo. Przedarłam się przez tłumy w domu i w końcu dotarłam na balkon widokowy. Był jak z bajki – wszędzie porozstawiano szezlongi i kanapy, można było się na nich wyłożyć i podziwiać panoramę miasta. Poszłam do położonego najwyżej punktu na dachu – był stąd najlepszy widok na ogród i miasto. Mogłam obserwować wszystko z jednego miejsca. Siedziałam z zamkniętymi oczami, słuchając wspaniałej muzyki. Z błógiego stanu wyrwał mnie męski głos:

– Mogę się przysiąc?

Aż z wrażenia podskoczyłam, tak niespodziewane to dla mnie było. Spojrzałam, kto ośmielił się zakłócać mój spokój i... aż oniemiałam. To on! Mój książę! Pan mojego serca! Jak zwykle w takich sytuacjach zapomniałam języka w gębie i tylko gapiłam się na niego z otwartą buzią. A zdecydowanie było się na co gapić. Teraz po raz pierwszy miałam okazję lepiej mu się przyjrzeć. Był wysoki, bardzo dobrze zbudowany; jego brązowe włosy były idealnie ułożone, a w niebieskich oczach można było utonąć. W końcu trochę się opamiętałam i szybko powiedziałam:

– Oczywiście, miejsca starczy dla nas dwojga.

A jak nie, to chętnie mogę usiąść na twoich kolanach – pomyślałam

rozmarzona.

- Napijesz się? Widzę, że tutaj kelnerzy nie docierają - powiedział mój książę, podając kieliszek szampana.

- Tak - odpowiedziałam z uśmiechem. Miałam nadzieję, że uśmiechnęłam się zalotnie, a nie szczyrzyłam się jak głupia do sera.

- Nie lubisz takich imprez, że siedzisz tu sama? - zapytał.

- Lubię, ale stąd jest piękny widok na całą okolicę. - Lepsza taka wymówka niż ujawnienie prawdy, że tańczę jak kołek i lepiej trzymać się z daleka od ludzi, którzy mogliby chcieć mnie poprosić.

- Ale dasz się skusić na jeden taniec?

Zabijcie mnie! Dlaczego on mi to robi?!

- Oczywiście, jak bym mogła odmówić tak uroczemu, ale nadal tajemniczemu mężczyźnie?

Uff, wróciła mi zdolność mowy. W dalszym ciągu jednak pozostaje kwestia tańca... Może powinnam rzucić się ze schodów, żeby mieć lepszą wymówkę do nietańczenia z nim?

- Przepraszam, z nerwów zapomniałem o najważniejszym. Mam na imię Matthew - odpowiedział ze słodkim uśmiechem.

- Nic się nie stało. Anna. Miło mi cię poznać - podałam mu trzęsącą się rękę.

- To skoro już się znamy, możemy teraz zatańczyć? - zapytał znowu. Nie czekając na odpowiedź, wziął moją dłoń i pociągnął delikatnie w kierunku sali tanecznej. Wychodzi na to, że się nie wykręcę.

Kiedy tylko weszliśmy, orkiestra zaczęła grać jakiegoś smętnego przytulasa. Matthew objął mnie ramieniem, w drugą rękę wsunął moją dłoń. Nigdy w całym swoim życiu nie tańczyłam w taki sposób. Nie mogę przecież liczyć wygibasów na wiejskich potupajkach. Bałam się, że podepczę jego buty albo się potknę. On chyba był jednak dużo lepszym tancerzem niż ja, przytulił mnie mocno i po prostu porwał za sobą. Kręciliśmy się po całej sali, szło nam całkiem nieźle. Oplącało się oglądać wszystkie sezony „Tańca z gwiazdami”. Piosenka wkrótce się skończyła i mój towarzysz wziął mnie za rękę i poprowadził w kierunku schodów na taras. Po drodze zabrał z tacy oniemiałego kelnera butelkę szampana.

Boże, to mi się śni, prawda? Jeśli tak, to mam nadzieję, że zapadłam w śpiączkę i już nigdy się nie obudzę.

Poszliśmy w to samo miejsce, w którym się sobie przedstawiliśmy. Usiedliśmy, on nalał szampana i w tym momencie gotowa byłabym oddać nerkę tylko po to, żeby czas stanął w miejscu. Siedzieliśmy przez chwilę w ciszy. Nie wiedziałam, co mam powiedzieć, bałam się, że ze stresu palnę coś w stylu „Ładna pogoda, ożeń się ze mną”. Na szczęście mój towarzysz okazał się bardziej rozmowny.

- Co cię tutaj sprowadza? - zapytał.

- Pracuję dla Rose, a ty? - odpowiedziałam, odwzajemniając pytanie.

- Zawdzięczam Rose wszystko. Byłem prawie bezdomny, kiedy ją poznałem. Ona mi dała dom, wykształcenie i pracę. Wszystko, co teraz mam, zawdzięczam jej - opowiadał Matthew.

Jak tak dalej pójdzie, to żonę też będziesz jej zawdzięczał - pomyślałam sobie.

- A co teraz robisz? - Byłam ciekawa, co Rose oferuje swoim wychowankom.

- Pracuję w przemyśle muzycznym - odpowiedział dość wymijająco.

Mam nadzieję, że nie jest grajkem ulicznym. Chociaż nie, nawet jeżeli jest, to i tak go kocham.

Rozmowa mijiała przyjemnie, gładko przechodziliśmy z tematu na temat. Już bez skrępowania wypytywałam Matthew o szczegóły z jego życia. Był sporo ode mnie starszy, ale dobrze się trzymał... Mam nadzieję, że nie jest na tej samej diecie co Rose.

- A gdzie jest twoja partnerka? - wypaliłam w pewnej chwili.

Spojrzał na mnie zaskoczony.

- Jaka partnerka? - spytał.

- Ta, z którą kupowałeś buty jakiś czas temu, pamiętasz? Staranowałeś mnie w drzwiach sklepu - próbowałam mu przypomnieć chwilę, w której się pierwszy raz widzieliśmy.

- To ty?! Wiedziałaś, że wyglądasz znajomo! Teraz już wiem, skąd cię kojarzyłem! - roześmiał się. - To jest moja była partnerka, generalnie od tamtego czasu nie jesteśmy już razem.

Tak, szanowni państwo, teraz otwieramy szampana i odpalamy

fajerwerki!

- A gdzie jest twój partner? - zapytał, zerkając na mnie.

- Nie mam żadnego partnera, już nie pamiętam, jak to kogoś mieć. Praca ostatnio pochłania mnie w stu procentach. - Wydawało mi się, że gdy to usłyszał, uśmiechnął się.

Zupełnie straciłam rachubę czasu - tak dobrze mi się z nim rozmawiało, że nawet nie wiedziałam, która jest godzina. Uświadomił mi to dopiero pokaz sztucznych ogni, który miał się rozpocząć o północy. Siedzę z miłością mojego życia, piję szampana i oglądam sztuczne ognie - czy życie może być jeszcze piękniejsze? Mimo podekscytowania, poczułam na rękach gęsią skórę - w nocy zrobiło się dość chłodno. Matthew od razu to zauważył i okrył mnie swoją marynarką. Pachniała tak jak on wyglądał - po prostu bosko. Siedzieliśmy na tym tarasie i rozmawialiśmy, jakbyśmy znali się sto lat. Nie pamiętałam już, kiedy ostatni raz tak dobrze mi się z kimś rozmawiało.

- Wiesz, czuję się, jakbym cię znał od zawsze - powiedział cicho.

No nie mogę, nie dość, że przystojny, to jeszcze czyta mi w myślach!

- Może jesteś moją bratnią duszą? - zapytał z śmiechem.

Nawet nie wiem, kiedy Matthew położył się na szezlongu obok mnie. Mówiliśmy do siebie coraz rzadziej i w pewnym momencie usłyszałam... jak chrapie! Spojrzałam na niego zaskoczona - spał w najlepsze. Miałam nadzieję, że to nie dlatego, iż jestem aż tak nudna. Posiedziałam chwilę, popatrzyłam na jego twarz. Chciałam nawet zrobić sobie zdjęcie, ale stwierdziłam, że jest to trochę za blisko bycia psycho-laską. Wreszcie uznałam, że sprawdzę, co dzieje się na dole. Podeszłam do barierki tarasu i spojrzałam na ogród. Parę niedobitków jeszcze kręciło się na parkiecie, a kilka grupek gości siedziało przy stolikach. Przeszłam na drugą stronę, spojrzałam w kierunku oświetlonego City. Stoję na szczycie domu w najlepszej dzielnicy, za mną śpi mężczyzna mojego życia - co lepszego może mnie jeszcze spotkać? Usłyszałam za sobą jakiś ruch. Obróciłam się i zobaczyłam Matthew stojącego za mną z telefonem w ręce - najwyraźniej robił mi zdjęcie. Zmieszał się trochę, kiedy się odwróciłam i przyłapałam go na gorącym uczynku.

- Co robisz? Czy ty właśnie próbujesz zrobić mi zdjęcie? -

zapytałam.

- Wyglądasz pięknie i chciałem mieć jakąś pamiątkę z dzisiejszego wieczoru - odpowiedział, uśmiechając się.

Teraz już wiem, że ma sekretną broń. Mógłby nawet zamordować kogoś na moich oczach, ale wystarczyłoby, żeby się uśmiechnął, a ja już biegłabym pomóc mu ukryć zwłoki.

- No ok, ale ja też chcę jedno. - Wyciągnęłam z torebki mój telefon i podeszłam do niego. Włączyłam aparat i w momencie gdy rozbłysła lampa, Matthew mnie pocałował. Świat stanął w miejscu, nie liczyło się nic ani nikt inny. Tylko ja i on. Myślałam, że to się dzieje tylko w filmach, miękkie nogi, motyle w brzuchu. Nie, wydarzyło się to mnie, człowiekowi z sercem z kamienia.

Niestety, nic nie może trwać wiecznie, Matthew spojrzał na zegarek i oznajmił, że musi się już zbierać. Jutro ma ważne spotkanie i musi być na nie choć trochę wypoczęty. Niechętnie odprowadziłam go do drzwi wejściowych; na pożegnanie dostałam kolejnego całusa. Prawie w podskokach pobiegłam do swojej sypialni. Chciałam sprawdzić, co dzieje się z Rose, ale sama powiedziała, że dzisiaj nie pracuję. Sprawdzę rano.

Nie chciało mi się spać, chciało mi się śpiewać i tańczyć. Nie wierzyłam w to, co wydarzyło się dzisiejszego wieczoru. Czułam się jak prawdziwy Kopciuszek, który znalazł swojego księcia na balu. Nigdy nie myślałam, że takie coś może mi się przydarzyć. Życie nauczyło mnie, że nie ma co marzyć i chodzić z głową w chmurach. Poza tym, nie sądziłam, że ktoś jest w stanie poruszyć moje skamieniałe serce. Ostatnie kilka lat było na tyle ciężkie, że ostatnią rzeczą było myślenie o miłości i romansie. Stojąc pod prysznicem, śpiewałam piosenki; idąc do łóżka, kręciłam się i tańczyłam, jakbym była na najlepszej imprezie. Nie poznaję samej siebie! Położyłam się do łóżka i przytuliłam twarz do marynarki, którą zostawił Matthew. Pachniała obłędnie. Owinęłam się w nią i czekałam na sen.

# Maska

Sen nie chciał nadejść, zaczęły mnie za to nachodzić dziwne myśli. Nadal nie wierzyłam, że dzisiejszy dzień to nie był sen. Czy wreszcie moje życie się odmieni? Czy wreszcie odnajdę w tym wszystkim sens? Tylko co dalej? Wiedziałam, że to, co się zdarzyło, zupełnie nie rozwiązuje moich problemów. Niestety, moja przeszłość ciągnęła się za mną jak mokry i ciężki koc. Na co dzień starałam się o niej zapominać i udawać, że o niej nie myślę. Ale ciemną nocą, kiedy zostawałam sama ze swoimi myślami, strach wracał do mnie ze wzmożoną siłą. Co, jeżeli moja przeszłość upomni się o mnie właśnie teraz? Nadal nie mam za co spłacić moich długów. Co prawda co miesiąc znaczną część moich zarobków wysyłałam, żeby coś spłacić w Piekiełku, ale przypominało to raczej gaszenie pożaru łyżeczką do herbaty niż działanie, które miało przynieść sukces. Przez ostatnie parę lat nie miałam czasu się nad sobą użalać. Wiedziałam, że albo zacisnę zęby i dam radę, albo przegram wszystko. Trudno zliczyć, ile razy z płaczem wykonywałam obowiązki, ile razy ktoś mnie poniżył. Wydaje mi się, że czasem jestem jak mały piesek rzucony na głęboką wodę, rozpaczliwie machający łapkami, żeby nie utonąć. Jediną nadzieją jest wtedy to, że ktoś wyciągnie cię na brzeg i przygarnie. Wiem, że uśmiechem losu było poznanie Boba - bez niego nie wiem, jak bym skończyła.

Desperacja zawsze jest złym doradcą, prawda? Czuję się tak, jakbym z jednej strony miała wszystko, a z drugiej... wiem, że jeśli szybko nie podejmę zdecydowanych kroków, mogę to wszystko stracić. Tylko, co mam zrobić? Nie napadnę na bank. Szanse, że wygram na loterii też są raczej marne. Staram się, jak mogę, ale mam ograniczone możliwości. Raczej z dnia na dzień nie odkryję w sobie jakiegoś supertalentu i nie stanę się międzynarodową gwiazdą. Minuty mijały,

a ja myślałam o tym wszystkim, co się wydarzyło, zanim tu przyjechałam. Jak wielu ludzi, których nazywałam przyjaciółmi, odwróciło się ode mnie. Jak wiele osób zdradziło mnie i wbiło mi nóż w plecy. Skończyła się kasa, skończyli się znajomi. Nie miał kto płacić za wypadki na miasto, to przestano mnie na nie zapraszać. Mój telefon milczał jak zaklęty, mimo że w tamtym czasie rozpaczliwie potrzebowałam przyjaciela. Potem ludzie zaczęli się dowiadywać więcej szczegółów - o tym, że była u mnie w domu policja, i o tym, że wyprowadzono mnie z własnego mieszkania z rękami skutymi kajdankami. Po tym wydarzeniu znowu mój telefon zaczął dzwonić. Ale nikt nie chciał mnie zaprosić na wspólne wyjście z domu, chcieli po prostu wyciągnąć ze mnie jak najwięcej pikantnych szczegółów, żeby móc rozsiewać plotki. Tak oto stałam się dilerem narkotyków, luksusową prostytutką i złodziejem samochodów. Nie miało sensu prostowanie tych podłych plotek; na każde moje słowo przychodziły kolejne oszczerstwa. Poddałam się.

Potem przyszedł strach - strach przed wstaniem rano z łóżka, strach, żeby ktoś nie zadzwonił do drzwi. Nauczyłam się chodzić po własnym mieszkaniu na palcach, żeby nikt stojący pod drzwiami nie usłyszał, że jestem w środku. Na zakupy wymykałam się wczesnym rankiem albo w nocy biegłam do sklepu całodobowego. Telefon wyłączyłam, zaciągnęłam rolety w oknach, siedziałam w ciemności, poddając się paraliżującemu strachowi. Już parę miesięcy wcześniej czułam, że powinnam wyjechać, zaoszczędziłoby mi to wielu przykrych sytuacji; jednak znowu zamiast swojego przeczucia, posłuchałam moich „przyjaciół”. Ale podobno to, co nas nie zabije, to nas wzmocni. Podobno!

Miałam w sobie kiedyś wiele nienawiści. Do wszystkich naokoło. Każdego obwinałam o moje niepowodzenia. Każdy był czemuś winny, nie potrafiłam dostrzec, że najbardziej winna byłam ja sama. Kiedyś byłam otwartym i ufnym człowiekiem, duszą towarzystwa, która potrafiła rozkręcić każdą imprezę. Potem życie nauczyło mnie, że nie powinno się ufać każdemu i należy uważniej dobierać sobie przyjaciół. Najlepszym przyjacielem depresji jest nienawiść. Leżysz w nocy w łóżku

i zaczynasz nienawidzić wszystkich naokoło siebie, potem przychodzi etap, że nienawidzisz samej siebie. Jeśli nic z tym nie zrobisz, będziesz czuć tak wielkie obrzydzenie względem samego siebie, że jedynym wyjściem z tej sytuacji będzie zafundowanie sobie biletu na tamten świat. Ja już byłam od tego o krok. W ostatnim przebłysku zdrowego rozsądku uzmysłowiłam sobie, że albo wyjadę, albo któregoś dnia zabraknie mi siły, żeby bronić się przed głosem z tyłu mojej głowy. Ten głos szeptał mi, jak bardzo powinnam nienawidzić wszystkich naokoło, jak bardzo powinnam winić siebie za każde niepowodzenie. A potem mówił, że powinnam się ukarać za wszystkie swoje złe decyzje w życiu. „A najlepszą karą będzie połknięcie wszystkich tabletek, które znajdziesz w apteczce”. Ciężko jest polemizować z głosem – on wie dokładnie, jak bardzo spieprzyłeś swoje życie, potrafi wypomnieć każdą złą decyzję. Jest też sprytny, czeka na moment, kiedy będziesz najbardziej bezsilny i słaby. Wtedy wyciąga największy kaliber, dowala ci tak, że brakuje tchu.

Dziś poczułam, że po raz pierwszy od bardzo długiego czasu... właściwie od kiedy pamiętam, nie czuję nienawiści. Że nie mam już do nikogo o nic żalu. Czułam absolutny spokój. Ale gdzieś głęboko dalej siedział mój głos, i było tylko kwestią czasu, kiedy znowu będzie miał coś do powiedzenia.

Nie miałam pojęcia, dlaczego po tak wspaniałym wieczorze, nachodzą mnie tak ciemne myśli.

Leżąc w ciemności, miałam dziwne przeczucie. Coś się wydarzy. I czułam, że to może być początek końca tej przygody.



# Celebrytka

Jednego mogę w swoim życiu być pewna – swojego przeczucia. Gdybym kilka lat temu posłuchała jego zamiast rad „przyjaznych mi ludzi”, to teraz nadal wiodłabym spokojne życie, zamiast ukrywania się na drugim końcu świata. A jeśli mowa o ukrywaniu się, a raczej jego spektakularnym końcu, muszę tu przypomnieć sytuację, która miała miejsce kilka tygodni temu.

Rose została zaproszona na bal charytatywny. Co może pójść źle na tego typu imprezie? Cóż, moja lady nauczyła mnie, że wszystko. Bal był organizowany przez lokalnych bogaczy, miał na celu zbieranie funduszy na szpital dziecięcy. W praktyce był to pokaz mody i okazja do upicia się. Co do tego drugiego, Rose bardzo wzięła to sobie do serca. Około północy otrzymałam od niej telefon – bełkotała do słuchawki, czy przyjadę ją odebrać. Wydawało mi się to dziwne, ponieważ powinien czekać na nią kierowca. Mimo wszystko postanowiłam pojechać tam i sprawdzić, czy jest w tak złym stanie, jak brzmiała. Kolejną rzeczą, która odbiegała od normy, było miejsce, z którego miałam ją zabrać. Nie była to sala bankietowa, w której odbywał się bal, tylko modny klub w centrum miasta. Czyżby impreza się przeniosła? Nie pozostało mi nic innego, jak to sprawdzić. Ubrałam się i pojechałam we wskazane miejsce.

Pod wejściem do klubu zastałam kilkudziesięciu paparazzich, którzy próbowali robić zdjęcia osobom wchodzącym do klubu i wychodzącym z niego. Zaciągnęłam kaptur kurtki na głowę i precyzyjnie się do bramkarza. Wyjaśniłam mu, po kogo przychodzę. Zerknął na swój tablet i otworzył przede mną drzwi. Uderzyła mnie fala gorąca i głośnej muzyki. Nie pamiętałam, kiedy ostatni raz byłam w takim miejscu. Na mojej drodze do loży VIP-ów musiałam pokonać kłębowisko giętkich ciał,

które chyba tańczyły. Bardziej jednak wyglądało to jak jakiś taniec godowy. Ale tak – jak mówiłam – nie pamiętałam, kiedy byłam w miejscu takim jak to, więc sporo mogło się pozmieniać. W końcu, po paru minutach, dotarłam do łoży, w której powinnam znaleźć Rose. Zamiast niej zauważyłam jakiegoś mężczyznę, a pod nim Rose. Oni też zdecydowanie odstawiali jakiś taniec godowy. Nie bardzo uśmiechało mi się przerywać im tę chwilę uniesienia, ale nie miałam wyboru. Zdecydowanie nie chciałam tu sterczeć i gapić się, jak ocierają się o siebie niczym koty w rui. Dyskretnie potrząsnęłam ramieniem amanta. Zero reakcji. Próbowałam przekrzyczeć muzykę, wołając Rose, jednak też bez efektu. Nie pozostało mi nic innego, jak powziąć zdecydowane kroki. Wzięłam stojącą na stoliku butelkę szampana i wylałam zawartość na plecy mężczyzny. To przyniosło oczekiwany skutek.

– Ej! Co robisz?!

– Ups, przepraszam, niestety twoja randka dobiegła końca. Wypad!

Facet był obrzydliwie młody i zapewne był początkującym modelem. Ona się nigdy nie zmieni!

Wyciągnęłam ją z łoży, ogarnęłam rozmazany makijaż i okryłam ją dorodnym futrem. Droga do wyjścia była jak przeprawa przez dżunglę. A Rose nie ułatwiała mi zadania – próbowała dołączyć do grupki tańczących i dwa razy musiałam jej wyciągać jakiś nieznanego pochodzenia drink. W końcu dotarliśmy do wyjścia. Spojrzałam na nią, czy się jakoś trzyma, i weszłam w otwarte przez bramkarza drzwi. Oślepił mnie blask fleszy; nie wiedziałam, co się dzieje. Z każdej strony słyszałam wołanie paparazzich.

– Rose! Rose, uśmiechnij się do zdjęcia!

Oślepiąca i ogłuszająca szukałam Rose. Ta wdzięczyła się do fotografów. Udało mi się odzyskać wzrok, więc pociągnęłam ją w kierunku samochodu. Przejście przez klub pełen tańczących ludzi to nic w porównaniu z przedarciem się przez hordeę fotografów. W końcu wsadziłam Rose na tylny fotel i pobiegłam za kierownicę. Wsiadłam do samochodu, odwróciłam się, żeby sprawdzić, czy moja szefowa jest na swoim miejscu, i... jedynym, co zobaczyłam, był fotel. Pusty. Spojrzałam przez okno i zobaczyłam Rose pozującą do zdjęć. Ramiączko sukienki

niebezpiecznie zsunęło się z jej ramienia, jeszcze chwila i będzie dramat. Wskoczyłam z samochodu, zgarnęłam z ziemi futro, podbiegłam do Rose, pociągnęłam ją w kierunku drzwi, wepchnęłam na fotel i narzuciłam na nią futro. Zanim zdążyła się wyplątać, już jechałyśmy w kierunku domu.

Boże, moja droga, naprawdę masz chyba problem z pićciem!

W domu zawlokłam nieprzytomne ciało do jej sypialni i rzuciłam na łóżko, przykrywając ją brudnym futrem. Tyle dobrze, że nie nosi prawdziwych futer, to już nadawało się wyłącznie do wyrzucenia.

Na drugi dzień, gdy siedziałam przy kawie, przybiegła do mnie zaaferowana czymś pokojówka.

- Widziałaś dzisiejsze gazety? - zapytała z wypiekami na twarzy.

- Jeszcze nie zdążyłam dopić kawy, co w nich ciekawego?

- Nie co, tylko kto! - Rozrzuciła na stole przede mną codzienne gazety.

Z okładki jednej z nich spoglądał... nie kto inny jak ja! Wielkie na całą stronę moje zdjęcie ciągnącej za sobą Rose do samochodu. „Lady Rose i jej alkoholowy problem” krzyczał nagłówek. Z bijącym sercem otworzyłam artykuł:

*„Znana wszystkim z rozrywkowego trybu życia lady Rose tym razem potrzebowała pomocy swojej asystentki, żeby dostać się do domu. Chyba już czas pomyśleć o odwyku, czyż nie?”*

Boże, moje zdjęcie jest dzisiaj w dzienniku, który można kupić w całym kraju! Odrzuciłam gazetę i pobiegłam do pokoju. Wszystko będzie pod kontrolą, dopóki nie znajdę swojego zdjęcia w internecie. Szybko wbiłam adres największej strony z plotkami. Strona się załadowała, a ja... zamarłam. Jeszcze więcej zdjęć, jeszcze więcej pikantnych opisów i oczywiście soczystych wyznań amanta Rose, z którym ta zabawiała się poprzedniej nocy. Nie zapomniał i mnie obsmarować, nazywając „niezrównoważoną furiatką”. Na każdym ze zdjęć wyglądałam jak zjawa - nie spodziewałam się sesji zdjęciowej, więc na twarz nie nałożyłam nawet grama makijażu. Za to Rose straszyla rozmazanym makijażem i błędnym spojrzeniem. Piękna z nas para. Jak ona to zobaczy, to się wścieknie! Zeszłam na dół i znalazłam

Rose w jadalni, czytającą gazety.

- Hej, nie przejmuj się, dzisiaj piszą o tobie, jutro napiszą o kimś innym... Chyba nie uważasz, że nagłówek w jakimś szmatławcu mnie w jakikolwiek sposób zainteresuje?

- Nasze zdjęcia są też w internecie...

- Nieważne jak mówią, byleby mówili.

Poczułam w tym momencie, że sława, jaką ściągnęła na mnie Rose, jeszcze odbije mi się czkawką.

## Moje życie to bajka

Zerwałam się z półsnu, nie wiedząc, gdzie jestem i co się dzieje. Położyłam się bardzo późno, a teraz nie wiedziałam, czy wczorajszy bal to był tylko sen, czy to wydarzyło się naprawdę. Zdezorientowana zerknęłam na telefon. Wyświetlacz informował mnie, że mam jedną nieprzeczytaną wiadomość. Kliknęłam w ikonkę i wyświetlił mi się eemes od nieznanego numeru:

*„Wczorajszy wieczór był wyjątkowy, mam nadzieję, że dasz się porwać dzisiaj na kolację. Matthew”.*

Serce zabiło mi szybciej. Czyli po pierwsze to nie był sen, a po drugie nie był to tylko jednonocny romans! Tfu! Jaki romans?! Muszę powstrzymać swoją wybujałą wyobraźnię, zanim zacznę planować imiona dla naszych dzieci. Poszłam poszukać Rose - z tego, co widziałam, bawiła się wyśmienicie. Weszłam do jej pokoju, rozsunęłam kotary, odwróciłam się i zobaczyłam wpatrującą się we mnie bardzo zaskoczoną męską twarz. Nie jest to nic nowego, nie raz przez ten miesiąc byłam świadkiem parady wstydu, jak nazywałam ukradkowe próby ewakuacji mężczyzn, którzy towarzyszyli jej w nocy. Tym razem jednak ta twarz była dość znajoma. Musiałam się chwilę zastanowić, ale... tak, zaskoczona twarz należała do przyszłego następcy tronu tego państwa! Cóż, sypialnia Rose właśnie zyskała na prestiżu. Ukłoniłam się elegancko i szybko wyniosłam się z pokoju - mogę nie znieść widoku królewskiego tyłka. Poszłam do jadalni i sącząc kawę, czekałam na Rose. W międzyczasie sprawdziłam, co piszą o naszym wczorajszym przyjęciu w prasie. Obejrzałam zdjęcia, kto i jak się bawił. Z powodu tego, że poznałam wreszcie mężczyznę mojego życia, przegapiłam przecież prawie cały bal.

W końcu Rose zaszczyciła mnie swoją obecnością - zeszła do mnie,

wesoło nucąc jakąś piosenkę. Dawno nie widziałam jej w tak dobrym humorze. Książę chyba dobrze na nią wpływa.

- Hej, Rose, gratuluję udanego przyjęcia. Chcesz mi opowiedzieć o tym niezwykle miłym panu, którego spotkałam w twojej sypialni?

- Chętnie ci o nim opowiem, ale może lepiej sprawdź Instagram swojego wczorajszego towarzysza.

Co?! Jaki Instagram? Nie mam czegoś takiego. Zatrzymałam się na czasach Facebooka i to mi wystarczy.

- Chodź, pokażę ci - posunęła w moim kierunku swój telefon.

Zobaczyłam na wyświetlaczu swoje zdjęcie, które Matthew musiał zrobić wczoraj. Nie widać mojej twarzy, stoję na szczęście bokiem. Pod zdjęciem był opis „Ten moment, kiedy poznajesz kobietę i od razu wiesz, że to twoja druga połowa”. Nie wiedziałam, że z niego taki romantyk.

- No dobra, wrzucił na swój profil moje zdjęcie, co w tym takiego niesamowitego?

- Kochana, zdjęcie zostało od wczoraj udostępnione prawie dwa miliony razy, cały świat chce wiedzieć, na czym punkcie oszalał najbardziej pożądanym kawaler na świecie!

- Stop... pomińmy już to zdjęcie, ale jakim sposobem tylu ludzi się interesuje jego Instagramem i czemu on jest najbardziej pożądanym? Coś mi umknęło? Rozumiem, że jest słodki i przystojny, ale bez przesady...

- Czy ty nie wiesz, z kim wczoraj spędziłaś wieczór? - Spojrzała na mnie wyraźnie zaskoczona.

- No jak to nie wiem? Przecież to Matthew, sama doskonale go znasz...

Rose zabrała mi swój telefon, coś w nim wklepała i oddała mi. Zerknęłam na wyświetlacz, który ukazywał jedną z podstron Wikipedii. Szybko czytałam zawartość. Do informacji, które właśnie przyswajałam, nie pasowało mi tylko zdjęcie, z którego uśmiechał się Matthew. To musi być jakaś pomyłka, na pewno nie spędziłam wczorajszego wieczora z najbogatszym raperem na kuli ziemskiej. To był normalny i miły facet, a nie milioner, który może mnie kupić za drobne z kieszeni.

Skołowana patrzyłam na Rose, nie wiedząc, co mam o tym myśleć. Dlaczego mi nie powiedział, że jest sławny i bogaty? Myśli, że polecę na

jego kasę? Ja nawet nie wiedziałam, że on ma jakąkolwiek kasę!

- Matthew to naprawdę dobry chłopak, jest po prostu ostrożny w dobieraniu ludzi, którymi się otacza. Na pewno dzisiaj opowie ci o wszystkim.

- Skąd wiesz, że się dzisiaj mamy spotkać? ... Poza tym jeszcze się nie zgodziłam.

- Proszę cię, nie próbuj mnie oszukać. Znam cię już trochę i wiem, że nie możesz się już doczekać. Odpisz mu prędko i opowiesz mi jutro resztę. Idę się położyć, jestem wykończona wczorajszym baleem...

Taa, jasne, chyba bardziej wizytą księcia. Ale nie zdążyłam jej już tego powiedzieć. Siedziałam niezdecydowana, patrząc na esemesa od Matthew. Czułam się dziwnie teraz, gdy wiedziałam, kim naprawdę jest. Jak w ogóle mógł zwrócić na mnie uwagę? Jestem biedna do granic możliwości, moich długów nie zdołam spłacić nawet jeśli będę pracować do śmierci. Nie mam domu, samochodu, niczego - jestem jego całkowitym przeciwieństwem.

W końcu przełamalam się i napisałam mu, że chętnie się z nim spotkam. Odpisał, że będzie po mnie o ósmej. No nic, teraz poza przygotowaniem na randkę pozostało mi pogrzebać w Internecie, żeby dowiedzieć się czegoś jeszcze o moim towarzysz. A informacji było sporo. Przeczytałam między innymi, że napuszona panna ze sklepu z butami to bardzo znana topmodelka. Wiem też, że Matthew jest ojcem córki - owocu nieudanego związku, kiedy miał zaledwie siedemnaście lat. Robi się coraz ciekawiej. Doszłam w końcu do jego twórczości. Teraz wszystko już było jasne: piosenka, którą ostatnio wiele razy słyszałam w radiu, to jego dzieło. Podobnie kilka innych, które znałam ze słyszenia. Niestety jestem celebryckim ignorantem i nie śledzę z wypiekami na twarzy, co ciekawego dzieje się w świecie sławnych i bogatych. Po moich wielu doświadczeniach z nimi, nie mam po prostu na to ochoty. Za dobrze już wiem, że piękne domy, drogie samochody i ubrania od projektantów maskują po prostu jacy ci ludzie są w środku zepsuci.

Nie mogłam za długo grzebać w telefonie, bo musiałam zacząć zbierać się na moją dzisiejszą randkę. Nie wiedziałam, dokąd pójdziemy,

bałam się, że ubiorę się nieodpowiednio do miejsca, w którym mamy przebywać. Na szczęście w mojej szafie miałam kilka bezpiecznych zestawów na każdą okazję. Ubrałam się w małą czarną i szpilki – gdziekolwiek pójdziemy, będzie pasować. No chyba że zabierze mnie do zoo albo do wesołego miasteczka. Liczyłam, że nie – nienawidziłam obu.

Równo o ósmej zabrzmiał dzwonek do drzwi. Wyprzedziłam wszystkich i dopadłam do nich pierwsza. Otworzyłam je, a za nimi zobaczyłam ogromny bukiet róż. Dopiero zza niego wystawała czupryna Matthew.

- Piękne kwiaty dla mojej pięknej damy – powiedział, uśmiechając się słodko.

- Dziękuję, nie musiałeś...

Naprawdę nie musiał, nie lubię ciętych kwiatów. Ich piękno i uroda są ucinane sekatorem. Zdecydowanie wolę kwiaty w doniczce, mogę wtedy pielęgnować je i cieszyć oko na dłużej. Ale co tam, nie ma co narzekać. Wzięłam kwiaty i ruszyłam do salonu w poszukiwaniu wazonu, którego Rose nie stłukła podczas pijackich maratonów, odpowiednio wielkiego, żeby pomieścił ten bukiet.

- No więc gdzie mnie dzisiaj zabierasz?

- To niespodzianka – odpowiedział z uśmiechem.

- Ok, ale mam nadzieję, że dobrze tam karmią, bo umieram już z głodu.

Z tego wszystkiego zapomniałam dzisiaj czegokolwiek zjeść, teraz mój brzuch wydawał dziwne dźwięki.

- Znam właściciela od długiego czasu, sprawą jego honoru jest dobrze nakarmić mnie i moich gości. – Znowu próbował oczarować mnie swoim uśmiechem.

- Nie mogę się doczekać – odpowiedziałam, odwzajemniając uśmiech.

Pomógł mi ubrać płaszcz i poszliśmy do samochodu.

Zdecydowanie próbuje przetestować, czy jestem materialistką. Na podjeździe zobaczyłam co prawda audi, ale starsze od mojego. Cóż, nigdy nie przykładałam wagi do tego, czym jeżdżę, liczyło się tylko to, żebym dojechała w jednym kawałku. Dopóki nie kupiłam sobie swojego



poprzedniego samochodu, jeździłam starymi gratami, które psuły się, kiedy tylko się na nie spojrzało. Jakoś moja duma na tym nie ucierpiała. Nie dałam więc nic po sobie poznać. Wsiadliśmy do samochodu i pojechaliśmy do restauracji. Zamiast jednak w kierunku City, ruszyliśmy do mniej znanej dzielnicy. Matthew zaparkował pod jednym z lokali. Wsiadłam z samochodu i mój nos wyczuł najpiękniejszy zapach na świecie – pizzy!

- Nie mów, że idziemy na pizzę prosto z pieca?! - zapytałam go z nadzieją.

- Oryginalna włoska pizza... uwaga: pieczona przez oryginalnego Włocha!

Było to jak miód na moje serce. Kocham pizzę, mogłabym ją jeść codziennie, tylko rosnący obwód pasa mnie przed tym powstrzymuje. Prawie pociągnęłam Matthew za sobą, taka byłam już głodna. Weszliśmy do środka. Była to mała, ale bardzo przytulna pizzeria, której centralnym punktem był ogromny piec do wypiekania pizzy. Od razu podbiegł do nas mały mężczyzna, który przypominał mi Mario z kultowej gry.

- Senior Matthew! Dobrze cię widzieć z taką piękną kobietą! Bonjorno Seniora! Stolik już czeka - mówił ze śmiesznym włoskim akcentem.

Dostaliśmy stół na uboczu. Zamiast krzeseł były przy nim wygodne kanapy. Dobrze rozegrane, Matthew. Usiedliśmy wygodnie, w sekundzie na stoliku znalazły się kieliszki i wino. Popijałam pyszny trunek, czekając, kiedy wreszcie ktoś przyniesie menu. Żołądek już wykręcał mi się z głodu. W końcu nie wytrzymałam i wypaliłam:

- Kiedy dostanę menu? Bo, szczerze, umieram z głodu!

- Tu nie ma menu, Rizzi sam wie, co chcesz zjeść. Wierz mi, zawsze trafia w dziesiątkę!

Nie pozostało mi nic innego, jak zdać się na gust szefa kuchni. Miałam nadzieję, że cokolwiek przyniesie, to zrobi to bardzo szybko – mój żołądek dawał jasno do zrozumienia, że jest bardzo pusty. Paręnaście minut później na stole wylądowała pizza. Samym jej zapachem można było się najeść. Nie chciałam wyjść na spożywczego

desperata, ale głód wygrał - nie czekając na zaproszenie, porwałam jeden kawałek i zjadłam szybko. Smakowała jeszcze lepiej, niż pachniała. Rizzi oficjalnie stał się moim ulubionym szefem kuchni. Matthew był chyba tak samo głodny jak ja, bo połowę pizzy pochłonęliśmy w całkowitej ciszy. Dopiero zaspokoiwszy pierwszy głód, mogliśmy wrócić do rozmowy.

- Wiesz, muszę ci się do czegoś przyznać...

Ciekawe, czym chcesz mnie zaskoczyć... Ale oczywiście nie przyznałam się, że znałam jego biografię na pamięć.

- No więc... mam córkę... która jest już w sumie dorosła. Jedyna pozostałość po moim pierwszym małżeństwie.

Nie mogłam dać po sobie poznać, że wiem o tym wszystkim, więc powypytywałam go o kilka szczegółów.

- A ty chcesz mieć dzieci? - Takiego pytania się na pewno nie spodziewałam...

- Eeee, hmm - łyk wina - no więc... Wiesz... - krepująca cisza.

- Tak tylko pytam, jaki masz na tę sprawę pogląd - powiedział, widząc mnie krztuszącą się i czerwieniącą.

- Wiesz, nigdy nie trafiłam na kogoś, z kim bym chciała mieć dzieci. A ostatnie kilka lat nie nastrajało mnie do tego, żeby szukać ojca dla dziecka. - Patrząc na moje pomyłki życiowe, to chyba ja bardziej potrzebuję rodzica, ale to już zostawiłam dla siebie. - A ty planujesz jeszcze dzieci?

- Dobre pytanie... Dlaczego nie? Jak znajdę kogoś, kto będzie je chciał mieć ze mną... - Spojrzał na mnie takim wzrokiem, że mój żołądek chciał przewrócić się na drugą stronę.

Na szczęście temat dzieci został zakończony.

- Muszę ci się przyznać do czegoś jeszcze... Kiedy się pierwszy raz poznaliśmy, nie byłem z Tobą do końca szczery, co robię w życiu... Bo... tak jakby jestem... hmm... sławny

Nie pozostało mi nic innego, jak udawać totalne zaskoczenie.

- Ale jak to sławny?! Dlaczego? - Stwierdziłam, że go trochę podręcę.

- No... powiedzmy, że moja muzyka jest bardzo popularna, a co za

tym idzie ja też.

- Jesteś idolem nastolatek? Wzdychają do twoich plakatów powieszonych nad łóżkiem? - Wiem, to okrutne, ale naprawdę zabawnie było patrzeć, jak prawie wstydy się tego, o czym marzą setki ludzi na całym świecie: sławy.

- No, jest taka szansa.

- Czyli mam sporą konkurencję w drodze do twojego serca? - Dopiero jak skończyłam to mówić, to zorientowałam się, co palnęłam. Ostatnie, czego chcę, to wyjść na desperatkę.

Matthew chyba znowu czytał mi w myślach.

- Nie martw się, w kolejce do mojego serca masz pierwsze miejsce.

Nie zdążyłam nic odpowiedzieć na takie wyznanie, bo mój mężczyzna zamknął mi usta pocałunkiem.

- Nie będzie ci przeszkadzać, że jestem dość... hmm... rozpoznawalny? - zapytał, patrząc mi w oczy.

- Wiesz, to, że ty jesteś rozpoznawalny, nie za bardzo ma jakikolwiek związek ze mną, prawda? - Tu akurat może być spokojny, sława i blask fleszy to ostatnie, co mi się marzy.

- Z doświadczenia wiem, że jak tylko ktoś się dowie, że spotykam się z dziewczyną, prasa za wszelką cenę próbuje dowiedzieć się o niej wszystkiego...

W tym momencie stało się dla mnie absolutnie jasne to, że za wszelką cenę muszę utrzymać ten związek w tajemnicy.

# Tajemnica Poliszynela

Po naszej ostatniej randce Matthew musiał lecieć do Stanów Zjednoczonych, żeby zająć się swoimi interesami. Miał wrócić dopiero przed Nowym Rokiem, nie ukrywam, że było mi to na rękę; musiałam się mocno zastanowić, co dalej z tym wszystkim robić. Co prawda serce nie służy, ale nie mogłam pozwolić na to, żeby prasa na całym świecie zaczęła się mną interesować. Byłby to początek końca nie tylko mojego dopiero co raczkującego związku, ale zapewne też mojej pracy i mieszkania u Rose. Nie miałam innego wyboru, jak porozmawiać z nią o tym. Znalazłam ją w jej gabinecie.

- Rose, mogę z tobą porozmawiać?

- Błagam, tylko nie mów, że jesteś w ciąży i odchodzisz ode mnie. Nie zniosę szukania nowej asystentki. - Spojrzała na mnie z autentycznym przerażeniem.

- Nie, to nie to. To coś o wiele poważniejszego.

Usiadłam przed Rose i rozpoczęłam mój monolog. Podobno kiedy wyjawisz swój krępujący sekret, to przestanie on być dla ciebie krępujący. Nic bardziej mylnego - siedziałam przed nią i czułam się jak podły oszust. Czekałam jak na wyrok na jakikolwiek komentarz z jej strony.

Ona uważnie mierzyła mnie wzrokiem. Chciałam już wstać i powiedzieć, że spakuję swoje rzeczy i odejdę z jej domu, ale nie zdążyłam.

- Czy ty naprawdę uważasz, że tego nie wiedziałam? Czy myślisz, że jestem tak naiwna, iż wpuściłabym do mojego życia kogoś bez sprawdzenia go? To chyba mnie nie znasz! Moja droga, wiem o tobie WSZYSTKO! Wynajęłam detektywa, żeby cię sprawdził.

Aż zrobiło mi się słabo. Jak bardzo głęboko mógł grzebać w moim

życiu ten detektyw?! Znając Rose, to zapewne nie mam już przed nią żadnych tajemnic.

- Ale jak to wiesz? Wszystko to wiedziałaś od samego początku i nic mi nie powiedziałaś?

- Ty też nie kwapiłaś się do podzielenia się ze mną tymi informacjami.

Ok, jesteśmy kwita. Ale skąd Rose mogła to wszystko wiedzieć? Co prawda zwierzyłam się kiedyś Bobowi ze swoich problemów, ale znam go i wiem, że prędzej dałby się pokroić, nim coś by komuś powiedział.

- No, nie torturuj mnie już dłużej, mów, skąd to wszystko wiesz.

- Wysłałam prywatnego detektywa tam, skąd pochodzisz.

No tak, w świecie Rose nic nie jest w stanie mnie zdziwić.

- I co ci powiedział?

- Mniej więcej to, co ty... co prawda nie chlpał w chusteczkę w międzyczasie.

Świetnie, człowiek się otwiera i jedyne, co w zamian dostaje, to sarkazm.

- I co mi radzisz? - Skoro już wie o wszystkim, co mam na sumieniu, może chociaż jakoś pomoże mi zacząć to rozwiązywać.

- Na razie nic, Matthew nie wraca przed Nowym Rokiem, poczekaj, aż opadną te wszystkie emocje i wtedy coś pomyślimy. Na razie możesz się cieszyć z tego, że poznałaś bratnią duszę. - Dostałam buziaka w policzek i tyle ją widziałam.

W sumie jej plan nie był taki zły. Do końca roku zostało jeszcze trochę czasu. Co złego może się zdarzyć? Tak długo się ukrywam, że te parę tygodni faktycznie może nie zrobić różnicy. Nie zostało mi nic innego, jak zająć się pracą i odliczać czas do powrotu Matthew. Ten co prawda był na drugim końcu świata, ale nie dawał o sobie zapomnieć. Codziennie wysyłał mi esemesy, a co jakiś czas kurier przynosił prezenty. Za każdym razem pisałam do niego, że nie przyjmę żadnego z nich i oddam mu je, gdy tylko wróci. Były to piękne rzeczy, a ja, jako sroka, kocham wszystko, co się błyszczy. Ale nie uważam, żeby nasz związek - jeśli to, co nas łączy, można nazwać związkiem - był na tyle poważny, by wysyłał mi biżuterię wartą tyle, co moje roczne zarobki.

Któregoś dnia zobaczyłam, że dzwoni do mnie Jim. Poczułam kłujące wyrzuty sumienia. Od kiedy poznałam Matthew, nie miałam czasu nawet zadzwonić do Boba i zapytać, jak się sprawy mają. W tym momencie, kiedy Jim chciał się ze mną połączyć, też nie mogłam odebrać, byłam w środku spotkania z Rose, a wiedziałam, jak nie lubi, kiedy nam ktoś przerywa. Zauważyłam, że Jim zostawił wiadomość. Potem odsłucham i oddzwonię do niego. Niestety, mój plan został pokrzyżowany najpierw przez pracę u Rose, a potem przez długą rozmowę na Facetime z Matthew. Dopiero na drugi dzień rano przypomniałam sobie o zostawionej wiadomości. Wybrałam odpowiedni przycisk na telefonie i czekałam na połączenie z pocztą głosową.

- Hej, Ann, z tej strony Jim, oddzwon proszę... to pilne... Chodzi o Boba. Źle z nim...

Nie wiem, czy mówił coś jeszcze, w głowie miałam pustkę, słyszałam tylko w koło ostatnie zdanie „Źle z nim”. Co to znaczy? Nie mógł czegoś więcej powiedzieć? No tak, próbował się do mnie dodzwonić, ale niestety byłam zbyt zajęta, żeby z nim porozmawiać.

Gdy wybierałam numer Jima, trzęsły mi się ręce, a wzrok zamglił się za łzami. Czułam, że nie usłyszę nic dobrego.

Odebrał po piątym sygnale - dla mnie czas oczekiwania wydawał się wiecznością.

- Hej - usłyszałam Jima, który miał taki głos, jakby siedział co najmniej w innej galaktyce.

- Gdzie jesteście?! Co z Bobem?! Gdzie on jest?! - zasypywałam Jima pytaniami.

- Po prostu tu przyjedź. Pospiesz się. - Podał mi jeszcze tylko adres szpitala i rozłączył się.

Wiedziałam, że jest źle. Jim nigdy nie miał skłonności do przesady i paniki, nawet gdy mieszkał na ulicy miał w sobie zapas optymizmu. Pobiełam do Rose, chaotycznie wyjaśniłam, co się stało. Z kamiennym wyrazem twarzy poprosiła, żebym zabrała jej samochód i informowała ją na bieżąco, co się dzieje.

Do samochodu biegłam, po drodze do szpitala złamałam chyba wszystkie możliwe przepisy ruchu drogowego. Nie interesowało mnie

to, mogą mi nawet zabrać prawo jazdy, ale chcę zobaczyć Boba. Już teraz. Z daleka budynek szpitala majaczył złowrogo, deszczowa pogoda nie poprawiała mojego samopoczucia. Zostawiłam samochód na parkingu i pobiegłam do odpowiedniego skrzydła szpitala. Prawie zwyzywałam windę, tak wolno jechała na dziesiąte piętro. W końcu dobre piętro, pokój wskazany przez pielęgniarki. Weszłam przez drzwi i pierwszym, co zobaczyłam, był Jim siedzący przy łóżku i trzymający za rękę kogoś, kto na nim leżał. Dopiero za moment zobaczyłam Boba schowanego za całym labiryntem rurek i kabli. W tej niepokojącej ciszy było słycać tylko miarowe pischczenie sygnalizujące bicie serca. Bob najwyraźniej spał. Kiwnęłam tylko na Jima, żeby wyszedł za mną z sali. W drzwiach minęłam lekarza wchodzącego, żeby zbadać pacjenta.

Stanęłam na korytarzu i nerwowo skubałam mankiet kurtki. Po chwili Jim wyszedł z sali i podszedł do mnie.

- Mów szybko, co się stało! - prawie zaczęłam nim szarpać.

- Niewiele wiem, nie było nas wtedy w pubie, jedna kelnerka powiedziała, że widziała w knajpie jakichś oprychów. Doszło podobno do szarpaniny i jeden z nich postrzelił Boba.

Ta wiadomość odebrała mi mowę. Jak to ktoś postrzelił Boba?! To się nie przydarza normalnym ludziom, to się dzieje w filmach...

- A co mówią lekarze? - zapytałam, kiedy wreszcie byłam w stanie znowu się odezwać.

Nic mi nie odpowiedział. Uświadomiłam sobie, że też jest przerażony. Tym, że może stracić swojego przyjaciela, człowieka, który przygarnął go z ulicy i dał mu to wszystko, czego skąpił mu los.

- Przepraszam Jim, jest mi tak strasznie przykro!

Nic nie odpowiedział, przytuliliśmy się i czekaliśmy na przyjście lekarza.

Po dziesięciu minutach podszedł do nas ten sam lekarz, który badał przed chwilą Boba.

- Stan pacjenta pogarsza się. Odłamek kuli jest zbyt blisko serca, żeby operować. Niestety już nic nie możemy z tym zrobić. Poklepał mnie niezręcznie po ramieniu i odszedł do innych potrzebujących.

Nic nie można zrobić... To zdanie świdrowało mi w głowie. Co to

znaczy?! Czy to znaczy, że stracę najbliższą mi na całym tym bezdusznym świecie osobę? Popatrzyliśmy na siebie z Jimem, wydawał się tak samo zdruzgotany jak ja. Zanim wróciłam do Boba, zadzwoniłam do Rose. Nie była to łatwa rozmowa, przerywały ją ataki płaczu z mojej i z jej strony. Przemyłam twarz z szpitalnej łazienki, w świetle jarzeniówek wyglądałam jak martwa. I tak też się czułam: jakby coś we mnie umarło.



## Coś się kończy

Następne dni zlewały się w jedność. Czuwanie przy łóżku Boba, udawanie, że przecież nic złego się nie dzieje i wypłakiwanie sobie oczu w łazience. Ludzie przychodzili, smutno kiwali głowami, rzucali jakimiś nic nieznaczącymi frazesami i wychodzili. Zostaliśmy tylko ja i Jim. Bob cierpiał, ale znosił to jak zwykle z godnością, udając, że nic go nie boli. Ja widziałam, jak się męczy, widziałam, że chciałby już odejść, ale sama nie potrafiłam powiedzieć mu „Do widzenia”. Nie potrafiłam – bez niego zostanę sama. Tylko on był ze mną niezależnie od tego, czy było ze mną dobrze, czy źle. Cierpliwie wysłuchiwał mojego narzekania, jak bardzo znowu ktoś mnie skrzywdził; otwierał ze mną szampana, kiedy odniosłam jakikolwiek sukces. Jeśli on odejdzie, kto mi zostanie? Rose? Dzisiaj jestem jej potrzebna, jutro pozna jakiegoś biznesmena i zniknie z nim na nie wiadomo jak długo. Matthew? Nie jestem pewna, czy należymy do tego samego świata. Strach paraliżował mnie za każdym razem, kiedy szłam do łazienki. Prawie biegłam, bałam się, że w tym czasie nikt nie będzie pilnował Boba i odejdzie ode mnie.

Prawie już przyrosłam do krzesła przy jego łóżku, pielęgniarki już mnie nawet nie wyganiały. Stałam się elementem wyposażenia tej szpitalnej sali.

Któregoś dnia Bob wyglądał jeszcze gorzej niż zazwyczaj. Jak źle się czuł, mogłam się tylko domyślać. On nigdy się nie skarżył.

- Dzieciaku... a ty dalej tu kwitniesz... - powiedział z wyraźnym wysiłkiem.

- Bob, tak strasznie cię przepraszam, że mnie nie było z tobą...

- I co byś zrobiła? Pobiła ich wszystkich? Nic już nie mów, połącz się obok mnie.

Niezdarnie weszłam do łóżka i położyłam się obok Boba, bez

problemu mogłam go objąć. Szpital dosłownie wysysał z niego życie.

- Jestem tak strasznie zmęczony... - powiedział cicho.

W głębi ducha błagałam Boba, żeby już nic nie mówił. Czułam, co chce powiedzieć, i bałam się tego bardziej niż czegokolwiek innego na świecie.

- Bob, proszę... nie zostawiaj mnie... - cicho łkałam w jego koszulę.

- Zawsze przy tobie będę, dzieciaku... Moja mała Rose...

- Bob... - Miałam mu powiedzieć, że to ja, Rose tu nie ma, ale nie chciałam mu robić przykrości. Może tam, gdzie teraz jest, był razem z Rose.

- Po prostu leż, dobrze? - powiedział, całując mnie w czoło.

Leżałam przytulona do jego klatki piersiowej, licząc uderzenia serca i wsłuchując się w jego chrapliwy oddech.

\*

W szarym świcie poranka nieśmiało przebijały się promienie słońca. Po raz pierwszy od wielu dni nie padał deszcz. Obudził mnie jakiś dźwięk, nie wiedziałam, skąd pochodzi. Jeszcze nie do końca obudzona spojrzałam na łóżko Boba. Piszczący alarm obwieścił, że jego serce przestało bić.

Nie było go już ze mną.

Zostałam sama.

Mój świat właśnie się rozpadł.

\*

Cichy i skromny pogrzeb odbył się trzy dni później. Nie pamiętam z niego wiele. Podtrzymywana przez Jima ledwo kontaktowałam, co dzieje się naokoło mnie. Pamiętam tylko pełne żałości zawođenje księdza, trumnę znikającą w ziemi, ścianę deszczu i czarne parasole.

Chciałam wpaść do tej dziury i dać się zakopać razem z Bobem. Czułam, jakby ktoś rozdarł moje serce na dwie części, z których jedna właśnie została zakopana w ziemi. Nigdy w swoim życiu nie czułam takiej pustki i takiego bólu. Wiedziałam, że na ten ból nie ma żadnego lekarstwa.

Gdy wychodziłam z terenu cmentarza, zaczepił mnie mężczyzna w garniturze:

- Przepraszam, że nachodzę w takim momencie, ale uważam, że powinniśmy porozmawiać - powiedział, przytrzymując mnie za rękę.

- A kim pan właściwie jest? - zapytałam.

- Jestem detektywem z lokalnego posterunku - powiedział, podając mi wizytówkę.

„Detektyw Bema” - chyba nie miałam wyboru, nic już zapewne nie zdołuje mnie bardziej od śmierci przyjaciela.

Usiedliśmy w pobliskiej kafejce, zamówiliśmy po filiżance mocnej kawy i detektyw zaczął opowiadać.

- Na chwilę obecną wiemy, że pani przyjaciel został postrzelony przez dwóch bandytów. Jednego z nich już zgarnęliśmy, jak się okazało jest jednym z pracowników lokalnego gangu narkotykowego...

- Boże, co Bob mógłby mieć wspólnego z narkotykami?! Większego przeciwnika narkotyków niż on nie znam - wtrąciłam.

- Jak się dowiedzieliśmy, nie szukali Boba, ale pani - powiedział, patrząc mi w oczy.

Prawie udławiłam się kawą.

- Jak to mnie?! Co ja mam z tym wspólnego?! - zapytałam zszokowana.

- Jak się okazuje, całkiem sporo. Zapewne jest pani znana osoba Juliette Seymour? - zapytał.

No tak, wiedziałam, że prędzej czy później cała ta sprawa do mnie wróci.

- Tak, znam ją, wiem też, czym się zajmuje, ale nie mam zielonego pojęcia, co się z nią teraz dzieje. Nie mamy żadnego kontaktu.

- Jak widać ci panowie mieli inne zdanie, szukali pani i pani Seymour.

Czyli zabili Boba przeze mnie! Czy może wydarzyć się coś jeszcze gorszego?! Miałam ochotę zapaść się pod ziemię. Zniknąć.

To ja powinnam zginąć - nie Bob.

Detektyw podrzucił mnie do domu. Drogę pokonaliśmy w ciszy. Gdy wychodziłam z samochodu, powiedział do mnie:

- Gdyby się pani czegoś dowiedziała, proszę do mnie zadzwonić. - Ruszył, a chwilę później zniknął w strugach deszczu.

Stałam tak chwilę i mokłam. Weszłam do domu, ociekając deszczem i trzęsąc się z zimna. Poszłam prosto do swojego pokoju, nie chciałam z nikim rozmawiać. Telefon dawno już wyłączyłam. Nikt nie był w stanie zrozumieć tego, co czuję, a nie miałam ochoty słuchać bezdusznych kondolencji ludzi, którzy nie znali ani mnie, ani Boba.

Przez ostatnie noce niewiele spałam. Gdy zasypiałam, ciągle śnił mi się Bob. Wtedy czułam się szczęśliwa, wiedziałam, że wszystko będzie dobrze. Potem przychodziła pobudka i na nowo czułam ten rozdzierający ból. W noc po pogrzebie wyjątkowo usnęłam jak kamień i nic mi się nie śniło.

Z twardego snu wyrwało mnie łomotanie do drzwi mojej sypialni. Nie wiedząc, co się dzieje, podeszłam zobaczyć, kto mnie obudził. Za drzwiami stał tak samo jak ja zaspany John.

- Coś się stało z naszą lady! - Odwrócił się na pięcie i pobiegł w kierunku jej sypialni.

Ze złymi przeczuciami pobiegłam za nim. W jej pokoju była już chyba cała służba, wszyscy gapili się na trupioblada Rose leżącą na łóżku w plamie swoich wymiocin. Przebiłam się przez nich i podbiegłam do niej. Szukając pulsu, uświadomiłam sobie, jak zimna jest jej skóra.

- Czy ktoś zadzwonił po pogotowie? - Odpowiedziała mi cisza i wzruszanie ramion.

Jest puls, słaby, ale jest!

- Dzwońcie po pogotowie albo jutro wszyscy będziecie bezrobotni!

Ktoś się dodzwonił i podawał adres. Rozejrzałam się po pokoju, który wyglądał jak pobojuwisko - wszędzie walały się puste butelki po alkoholu i kilka opakowań po tabletkach. Chyba wiem, co tu się stało. Rose, jak mogłaś być tak samolubna! Po paru minutach do sypialni wpadli ratownicy, wsadzili jej do gardła rurkę, żeby mogła oddychać, i zabrali ją do szpitala. Pobiegłam do swojego pokoju, żeby się przebrać i pojechać za nią. W drzwiach zderzyłam się z Matthew.

- Co ty tu robisz?! - Jego ostatniego się spodziewałam.

- Słyszałam, co się stało z twoim przyjacielem, przepraszam, że nie mogłem być prędzej...

- To teraz nieważne, Rose jest w szpitalu, muszę tam jechać.

Pojechaliśmy z Matthew za wyjąca karetką. W myślach modliłam się, żeby Rose wyszła z tego cała. Nie zniosę kolejnej straty w moim życiu. Podjechaliśmy pod ten sam szpital. Aż mi się zrobiło słabo na samo wspomnienie tego, co ostatnio tutaj przeszłam. Pobiegliśmy na oddział ratowniczy i dowiedzieliśmy się, że jeszcze nie wiadomo, co się z stało z Rose i mamy czekać. Nie zostało nam nic innego jak w oczekiwaniu usiąść na niewygodnych szpitalnych ławkach.

Parę godzin później podszedł do nas lekarz i wyjaśnił, co wydarzyło się tej nocy. Rose zmieszała ogromną ilość alkoholu z tabletkami, które mogłyby powalić nawet konia. Na jej szczęście wszystko zwymiotowała. Przeszła już płukanie żołądka i poza obolałym przełykiem i zranioną dumą nic jej nie jest.

Poprosiłam Matthew, żeby na mnie poczekał. Znałam Rose i wiedziałam, że nie chciałaby, żeby w takim momencie ktoś obcy ją oglądał. Szłam do jej sali znajomymi korytarzami, tym razem jednak los był łaskawy.

Rose leżała na łóżku w paskudnej szpitalnej piżamie. Nie wyglądała najlepiej, w kącikach ust miała dalej ślady po płukaniu żołądka. Podeszłam do niej i usiadłam na plastikowym krzeselku.

- Rose, dlaczego... - Chciało mi się płakać. Dlaczego i ona chciała mnie zostawić?

- Anno, odejście Boba mnie zniszczyło, nie chcę bez niego żyć - powiedziała, szlochając.

Niezdarnie próbowałam ją przytulić, uważając, żeby nie zerwać jakiegoś kabla lub rurki.

- Wszyscy cierpimy, ale to chyba nie powód, żeby sobie robić krzywdę... - próbowałam ograniczyć drżenie głosu.

- Mieliśmy z Bobem taką umowę, że jak już będziemy starzy, to zamieszkamy razem. Mieliśmy to zrobić, jak skończę sześćdziesiąt lat - powiedziała Rose.

- To bardzo w stylu Boba, chciał się opiekować każdym...

- W przyszłym roku kończę sześćdziesiąt lat... teraz nie ma się kto mną opiekować. - Znowu zaczęła szlochać. - Jest tyle rzeczy, które powinnaś wiedzieć o mnie, o tobie i o Bobie... o nas! A teraz... teraz to wszystko nie ma sensu, moja mała Rose, wszystko bez sensu!

Nie wiedziałam, o co jej chodzi, może tabletki uspokajające zaczęły działać. Ale czemu znowu ktoś nazywa mnie Rose - nie umiałam wytłumaczyć.

- Rose, masz mnie. Ja się nigdzie nie wybieram! - To na pewno była prawda, nawet gdybym chciała, to nie mam gdzie. - Wszystko się jakoś ułoży, obiecuję.

Poczekaliśmy, aż Rose usnie, i wyszłam z powrotem do Matthew.

- Jak ona się ma? - Na jego twarzy było widać zatroskanie.

- Bywało lepiej, ale jest twarda, da radę. - Co innego miałam mu powiedzieć? Że właśnie byłam świadkiem jej załamania i nie wiem, jak damy sobie radę?

- Rozmawiał ze mną jej lekarz. Jej wątroba ledwo zipie.

Nie zaskoczyło mnie to w ogóle. Ilości alkoholu, które w siebie wlewała, robiły wrażenie, a wszystkie uwagi na ten temat Rose ignorowała.

- Czy nie powinna go obowiązywać jakaś tajemnica lekarska czy coś?

- Jestem wpisany w jej aktach jako osoba upoważniona.

- No tak. A wracając do jej wątroby, co teraz?

Nie znam nikogo, kto by miał taką moc, żeby zmusić Rose do zaprzestania nadużywania alkoholu. No, w sumie znam, a raczej znałam. Gdyby Bob widział, co się tutaj wydarzyło, szybko zrobiłby z nią porządek. Tak, ale jego już tutaj nie ma. Musimy sami sobie z tym poradzić.

- Nasza kochana Rose musi iść na odwyk.

Myszę, że łatwiej byłoby zaciągnąć szatana do kościoła. Rose zawsze powtarzała, że to jej dieta i styl życia zaczynać dzień od szklanki whisky, a kończyć na butelce szampana. Ale, jak widać, nawet na nią przyjdzie pora. Zostało mi kilka dni, żeby wymyślić, jak ją zaciągnąć na

odwyk.

Wychodząc z budynku, rzuciłam okiem na czasopisma leżące w kiosku. Większość okładek krzyczała o próbie samobójczej Rose. To zdecydowanie nie poprawi jej humoru. Miałam nadzieję, że do czasu, aż wyjdzie ze szpitala, zniknie z czołówek gazet.

## Początki końca

Rose wyszła ze szpitala, a ja w dalszym ciągu nie miałam pojęcia, jak jej powiedzieć, że albo pójdzie na odwyk, albo będzie mogła swoją wątrobę powiesić w ramce. Zaraz po jej przyjeździe usiadłyśmy w kuchni. Nadal nie wymyśliłam, jak zacząć, więc po prostu rzuciłam z grubej rury:

- Rose, musisz iść na odwyk! - Byłam przygotowana na wielką kłótnię.

- Wiem - odparła dość potulnie.

- Jak to wiesz? Skąd?! - Takiej postawy zdecydowanie się nie spodziewałam.

- No, oprócz wszystkich naokoło mój lekarz rozmawia też i ze mną. Powiedział mi, że stan jest dość poważny i muszę się tym zająć.

- I co o tym sądzisz?

- No jak to co? Nie mam przecież wyboru. Nie zostawię cię przecież samej. Poza tym mam dość, jak pismaki w gazetach robią ze mnie alkoholickę i niedoszłą samobójczynię! Widziałaś, jakie paskudne zdjęcia dali na okładki?

- Więc jednak je widziałaś?

- Oczywiście, przekupywałam pielęgniarki, żeby mi przynosiły gazety.

- Wracając do rzeczywistości: Co z tym odwykiem?

- Wybrałam klinikę w Tajlandii.

- Gdzie?! Z wszystkich krajów świata musisz wybrać tę najbardziej odległą?

- Ktoś mi ją polecił, poza tym z dala od znajomych będzie mi łatwiej, prawda?

Z tym argumentem nie mogłam się spierać. Nie pozostało nam nic innego jak zabukować termin w klinice, samolot i spakować Rose. To



ostatnie zadanie nie było łatwe, ponieważ mimo że miał to być odwyk, Rose upierała się, że zabierze ze sobą kilka balowych sukienek. W końcu, po wielu kompromisach, zapakowałam ją w samochód i pojechaliśmy na lotnisko.

Stojąc przed odprawą, znowu czułam, że właśnie kogoś tracę. Wiedziałam, że to tylko odwyk, ale zostaję sama. Rose chyba czytała mi w myślach, bo odwróciła się do mnie i powiedziała:

- Wracam zaraz po Nowym Roku, na pewno dasz sobie radę sama.
- Nie martw się o mnie, zawsze dam sobie radę.
- Tak, tylko co zrobisz w święta?
- Wproszę się do Jima, nie martw się o mnie.
- Oddaję ci mój dom, samochód i całą moją szafę. Korzystaj do woli.

Już za tobą tęsknię.

Przytuliłam ją. Chyba faktycznie miałyśmy tylko siebie. Chwilę później wywołano lot Rose, więc ta musiała iść. Stałam i patrzyłam, jak odchodzi, miałam nadzieję, że jeszcze się kiedyś zobaczymy.

Wracając z lotniska, odebrałam telefon od Matthew. Co prawda nie spędzimy razem świąt, ale zaproponował, żebyśmy wyjechali gdzieś na sylwestra. Nie chciał zdradzić gdzie, poprosił tylko, żebym była gotowa na lot. W końcu jakaś miła odmiana po tych wszystkich złych rzeczach, które ostatnio mnie przygniały.

Gdy rozłączyłam się z Matthew, zadzwoniłam do Jima. Od dnia pogrzebu nie rozmawialiśmy za dużo. Wiedziałam, że też ciężko to zniósł. Na szczęście miał wspaniałą rodzinę, która była dla niego nie lada wsparciem.

- Miałem właśnie do ciebie dzwonić - usłyszałam w słuchawce jego radosny głos.

- Cieszę się, że udało mi się ciebie ubiec.

- Kiedy do nas przyjdiesz?

- Mam nadzieję, że będę mogła zająć puste miejsce przy stole wigilijnym.

- Bardzo chętnie cię ugoszczę, tylko musisz przyjechać też wcześniej. Pojutrze jest odczytanie testamentu Boba.

Nie wiedziałam, że Bob w ogóle zostawił jakiś testament. Co

prawda posiada bar, kamienicę i parę samochodów, ale nie wiem, co ja mam z tym wspólnego. Umówiliśmy się, że będę u nich za dwa dni i Jim rozłączył się.

Przyjechałam do domu, w którym przywitała mnie cisza. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz w domu było tak spokojnie. Służba dostała wolne, tylko raz w tygodniu ktoś miał się pojawiać, żeby trochę posprzątać. Miałam cały wielki dom dla siebie. Poszłam do sklepu, kupiłam zgrzewkę piwa i chipsy. Dzisiaj nie ma diety, dzisiaj jest wygodna piżama i zabawna komedia. Tej nocy spałam jak dziecko. Śnił mi się Bob – gdziekolwiek był, był szczęśliwy.

Dwa dni później stanęłam w drzwiach pubu Boba. Nic się tu nie zmieniło, poza tym, że nie ma już najważniejszej osoby – Boba. Zgarnęłam Jima i pojechaliśmy razem do kancelarii adwokackiej. Po kilku minutach oczekiwania zostaliśmy zaproszeni do gabinetu. Nijaki mężczyzna poprosił nas, żebyśmy usiedli, i rozpoczął odczyt ostatniej woli Boba. Wychodziło na to, że oprócz mnie i Jima nikt więcej nie został zaproszony. Po wszystkich formalnościach adwokat odczytał:

– „Mój pub, nieruchomości do niego przylegające i samochody do niego przynależące przepisuję na moją przyjaciółkę Annę. Warunkiem otrzymania przez nią wyżej wymienionych rzeczy jest zachowanie wszystkich pracowników wraz z ich przywilejami”.

Siedziałam tam, patrzyłam na tego adwokata i nie wiedziałam, o co mu chodzi. Jim zaczął mnie ścisnąć i przytulać, a ja dalej nie do końca zdawałam sobie sprawę z tego, co właśnie usłyszałam. Bob przepisał mi pub?! Dał mi wszystko, co w życiu miał?! Ot, tak sobie?! Nie wiedziałam, czy mam skakać ze szczęścia, czy płakać. Musiałam podpisać wszystkie papiery i właśnie stałam się właścicielką pubu. Bob dbał o mnie nawet zza grobu.

Wracaliśmy do domu w wyśmienitym humorze. Kiedy weszliśmy do środka, przywitała nas Elle z butelką szampana. Rozlała do dwóch kieliszków i podała nam.

– Czy ty znowu jesteś w ciąży?

– Tak, kolejny powód do świętowania!

Siedzieliśmy przy stoliku, pijąc szampana i wspominając Boba. Jak

zmienił życie każdego z nas, jak bardzo jesteśmy mu wdzięczni.

- Nawet nie wiesz, jak nam ulżyło. Baliśmy się, że ktoś teraz przejmie pub i zostaniemy bez pracy i dachu nad głową. A jak widzisz, rodzina się nam powiększa.

- Bob dał nam najpiękniejszy prezent świąteczny.

Faktycznie, święta spędziliśmy w fantastycznych nastrojach. Ostatniego dnia mieliśmy uporządkować mieszkanie Boba. Uzbrojeni w kartony i chusteczki rozpoczęliśmy pracę. Pakowaliśmy wszystko do pudełek, co chwila przystając nad jakimś zdjęciem czy inną rzeczą. Nie zliczę, ile łez wylałam i ile razy wybuchałam śmiechem. Wszystkie rzeczy schowaliśmy do magazynu - nie było opcji, żeby trafiły na śmietnik albo do sklepu dla ubogich. Kiedyś może będę chciała kogoś zaprosić i przedstawić mu najwspanialszą osobę w moim życiu - wtedy wyciągnę te rzeczy i pokażę, kim był Bob.

Mimo tej ogromnej tragedii, jaka nas spotkała, czy może być lepiej? Dostałam własne miejsce na ziemi, nadal mam pracę, no i w dalszym ciągu jest mężczyzna, który stara się zdobyć moje serce.

# To jest już koniec

Święta szybko minęły i nadchodził Nowy Rok. Zgodnie z obietnicą Matthew mieliśmy razem gdzieś polecieć. Jak zwykle mój mężczyzna był bardzo tajemniczy, musiałam więc przygotować się na wiele możliwości. Krytycznie przyjrzałam się swojemu odbiciu w lustrze – ostatnie wydarzenia odbiły się na wyglądzie mojej twarzy. Miałam wory pod oczami, szarą cerę i sprany kolor na głowie. Gdziekolwiek jedziemy, nie chcę wyglądać jak strach na wróble. Szybko umówiłam się z kosmetyczką i fryzjerką, żeby przywrócić się do jakiegoś stanu. Wracając do domu, zadzwoniłam do Rose. Co prawda wiedziałam, że nie mogą tam mieć telefonów, ale też byłam przekonana, że prędzej piekło zamarznie, niż ona odda komuś swoją komórkę. Nie zdziwiłam się więc, kiedy po drugim sygnale zobaczyłam uśmiechniętą twarz mojej szefowej.

– Właśnie o tobie myślałam!

– No proszę, ostatnio udaje mi się ustrzelić dobry moment. Co u ciebie słyszać? Wyglądasz kwitnąco!

I to była prawda. Nie wiem, czy to faktycznie działanie odwyku, czy zmiana klimatu wpłynęła tak na Rose, ale wyglądała wspaniale. W białej lnianej tunice wyglądała prawie niewinnie.

– Jestem na specjalnej diecie, codziennie chodzę na masaże i zabiegi. Dobrze to na mnie działa. No i nie piję oczywiście. Bardzo ci polecam wizytę tutaj.

Tak, Rose, jak tylko szampan zacznie mi się wylewać uszami, szybko zgłoszę się na ten odwyk. Może dostanę zniżkę rodzinną.

– A co u ciebie? Słyszałam, że masz dzisiaj ważną randkę.

– Skąd to wiesz?! Słyszałaś coś? Powinam o czymś wiedzieć?

– Wszystkiego dowiesz się w swoim czasie. Muszę już kończyć,

życzę ci szczęśliwego nowego roku! Do usłyszenia!

I tyle ją widziałam. Wróciłam do domu i mając jeszcze kilka godzin do przyjazdu kierowcy, usiadłam na kanapie i przeglądałam internet. Na Instagramie Matthew zobaczyłam zdjęcie pierścionka z największym diamentem, jaki kiedykolwiek widziałam, z podpisem „Życzcie mi szczęścia”. Nie, to przecież niemożliwe, znamy się przecież tak krótko! Byliśmy na kilku randkach, to byłoby wariactwo, gdyby mi się dzisiaj oświadczył. Zrobiło mi się aż niedobrze, nie wiedziałam, czy się cieszę, czy boję dzisiejszego wieczoru. Próbowałam dodzwonić się do Rose, ale miała już wyłączony telefon. Bob by wiedział, co mi poradzić, ale go już ze mną nie ma. Co mam zrobić? Ze stresu gryzłam moje świeżo pomalowane paznokcie. Cóż, może w końcu to jest moja szansa na szczęście? Może wreszcie los się odmienił, a moja kara się skończyła? Czyżby wreszcie kopciuszek miał znaleźć swojego księcia? Zaczęłam coraz bardziej się cieszyć. Gdyby nie to, że miałam na twarzy perfekcyjny makijaż, to chyba bym się popłakała ze szczęścia.

Usłyszałam dzwonek do drzwi. Spojrzałam na zegarek. To za wcześnie na mojego kierowcę. Usłyszałam kroki Johna zmierzającego w kierunku drzwi. Stwierdziłam, że to i tak na pewno ktoś, kto szuka Rose, więc wróciłam do oglądania zdjęcia pierścionka, który – miałam nadzieję – wyląduje dzisiaj na moim palcu. Z zachwytu wyrwało mnie pukanie do moich drzwi. Z ciekawością otworzyłam je. Za nimi stał John z przerażoną miną.

- Ann, przy drzwiach jest policja i ma nakaz aresztowania na twoje dane... - wyjąkał.

No tak, a miało być tak pięknie...

KONIEC

# Spis treści

[Prolog](#)

[Nowe wyzwania, stare śmieci](#)

[Światelko w tunelu oznacza zazwyczaj nadjeżdżający pociąg](#)

[Co poszło nie tak?](#)

[Brudy spod łóżka](#)

[Kocham cię od zaraz](#)

[Wracam do domu](#)

[Zmiany](#)

[U pana Boba za piecem](#)

[Rozrywki pięknych i bogatych](#)

[Jak trwoga to do Boba](#)

[Raj na ziemi](#)

[Zaczynam od nowa](#)

[Brzydkie kaczątko nie zawsze zamienia się w łabędzia](#)

[Piękna czy bestia?](#)

[Kopciuszek wraca na salony](#)

[Maska](#)

[Celebrytka](#)

[Moje życie to bajka](#)

[Tajemnica Poliszynela](#)

[Coś się kończy](#)

[Początki końca](#)

[To jest już koniec](#)